NUMER ŚWIĄTECZNY
stron 20 cena 5zł

tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy
Łódź

NR 52 53 (1098 1099) ROK XXI 24 GRUDNIA 1978 R.

Czytelnikom
i Sympatykom
naszego pisma
pogodnych i radosnych
Świąt
życzy zespół „ODGŁOSÓW"

W NUMERZE:

- Jerzy Wawrzak o kulturze w tonacji nie tylko świątecznej
- Mirosław Kuźniak o teatrze robotniczym
- Konrad Frejdlich o „Listach do Warszawy"
- Tadeusz Błażejewski o twórczości Wandy Karczewskiej
- Jerzy Rzymowski o wznowieniu „Osnowy"
- Wojciech Roszewski o polskiej kinematografii
- Andrzej Makowiecki o sensacji wokół Clive'a Harrisa
- Zbigniew S. Nowak o „świętych Mikołajach"
- Jerzy Wilmański o łódzkim Disneylandzie
- Bogda Madej o obronie lasów przed skutkami cywilizacji
- Ryszard Binkowski o niezwykłej przygodzie brzydkiej dziewczyny
- Andrzej Jóźwiak o rozrywce

PONADTO:

- Relacje z łódzkich kabaretów, tajemnice jeziora Toeplitz oraz wszystkie stałe pozycje

Foto: W. Parys

Tomasz Soldenhoff

RZECZ KRAKOWSKA — RZECZ POLSKA

11 września 1978 roku przy szczelnie wypełnionej sali i — wyjątkowo drogich biletach odbył się w Krakowie uroczysty koncert, przygotowany przez tamtejszy Teatr Muzyczny, z Wiesławem Ochmanem jako solistą wieczoru. Dochód z tego koncertu wykonawcy i twórcy przeznaczyli na konto Zarządu Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa. Jest to pierwszy znany akt zbiorowej, społecznej pomocy dla ratowania perły polskich miast.

Po nim zjawiły się następne. 13 października 1978 r. apel **„o pełne włączenie się w dzieło odbudowy Krakowa"** ogłasza Uniwersytet Jagielloński. Do społecznej akcji pomocy Krakowowi zaczynają się włączać coraz szersze kręgi polskiego społeczeństwa. Za artystami i uczonymi idą zakłady pracy i organizacje społeczne, młodzież robotnicza i szkolna, a nawet polscy inżynierowie i robotnicy pracujący na zagranicznych budowach. 30 listopada 1978 roku wartość wszystkich: finansowych i rzeczowych świadczeń wynosiła już prawie **siedemnaście milionów złotych**, z czego siedem milionów zebrano ze składek prywatnych osób. Najniższa składka — ...dwa złote, najwyższa — 5 tysięcy; prawie 79 tysięcy zebrali sami tylko studenci V roku i pracownicy naukowi **Uniwersytetu Łódzkiego**: jest to jedna z najwyższych dotychczas społecznych składek.

Niemal symboliczne znaczenie mają deklaracje podkrakowskich hut: **Skawiny** i **Nowej Huty**; są to bowiem zakłady, których wpływ na zniszczenie zabytków Krakowa jest bezsporny. Skawina wpłaciła milion złotych, a Nowa Huta zadeklarowała gotowość odnowienia na własny koszt i własnymi siłami produkcyjnymi jednej z zabytkowych kamienic...

W chwili gdy piszę te słowa, zbiera się po raz pierwszy powołany niedawno **Społeczny Komitet Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa.** Pod przewodnictwem prof. dr **Henryka Jabłońskiego** opracuje on apel o dalszy, szeroki udział społeczeństwa polskiego w odnowie Krakowa, miasta, którego zabytkowa część włączona została ostatnio przez UNESCO do rejestru najcenniejszych dóbr w dziedzictwie całej ludzkości.

Odbudowa starego Krakowa jest więc już nie tylko zadaniem wynikającym z decyzji Kierownictwa Partii i Rządu. Stała się moralnym i patriotycznym obowiązkiem Polaków, jednym z naczelnych problemów polskiej kultury. — wie każdy, każdy czuje. Przypomnijmy jednak kilka faktów, które o jego niezaprzeczalnej wartości stanowią.

Jest Kraków największym w Polsce skupiskiem zespołów i obiektów zabytkowych o klasie pomnikowej. Wśród 3,5 tysięcy obiektów i zespołów, w tym 1000 o najwyższych walorach historycznych i artystycznych, znajduje się 11 budowli klasy „zerowej" i 93 klasy pierwszej.

Większość z nich powstała w okresie rozwiniętego gotyku i w epoce renesansu w obrębie dawnych średniowiecznych murów obronnych, a obecnie Plant (Stare Miasto) i na obszarze dawnego miasta Kazimierza. Układ urbanistyczny Starego Miasta pochodzi jeszcze z okresu lokacji w roku 1257 i reprezentuje całkowicie zachowany

Dalszy ciąg na str. 5

O KULTURZE NIEŚWIĄTECZNIE

Koniec roku to naturalny okres obrachunku we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego, okazja do sumujących refleksji. Nie zapomnimy tego uczynić także i na tych łamach. Inaczej ma się rzecz z kulturą. W tej dziedzinie koniec roku, to nawet nie półmetek „ROKU KULTURALNEGO i SEZONU ARTYSTYCZNEGO", jaki uroczyście inaugurujemy każdego września. Jednakże wydanie świątecznego numeru zachęca do podzielenia się z Czytelnikami choćby kilkoma refleksjami z tego obszaru życia intelektualnego, któremu z natury rzeczy poświęcamy w „Odgłosach" najwięcej miejsca.

Mówiąc o kulturze wymieniamy jednym tchem „twórczość" i „upowszechnienie". Trudno inaczej. Wspólne widzenie dwóch stron tego zjawiska jest naturalne. Jeśli się jednak w sposób możliwie zobiektywizowany przymierzy obydwa zjawiska do rzeczywistości, następuje konsternacja. Tę naturalną relację „twórca-odbiorca" trzeba oznaczyć wieloma znakami zapytania, zamiast — choćby umownego — znaku równości. Dlaczego tak się dzieje?

„**Powołaniem każdego twórcy** — powiedział we wrześniu ub. roku na spotkaniu ze środowiskiem kultury Łodzi tow. **EDWARD GIEREK — jest umacniać najlepsze wartości ideowe i moralne narodu, podnosić poziom jego świadomości, pomagać w określeniu stanowiska wobec problemów jakie stawia przed każdym człowiekiem współczesność. Ludzie oczekują od sztuki, że ułatwi im indywidualną odpowiedź na pytanie jak żyć, że pogłębi ich przeżycia i wzbogaci ich wiedzę**". Te słowa I sekretarza KC określają w pełni istotę wzajemnych relacji między twórcami a odbiorcami kultury. Tak wysokiego miejsca, jak w socjaliźmie, kultura nie miała w żadnej formacji społecznej na przestrzeni dziejów. Rozumiemy to doskonale od dawna, przekształcając na co dzień owe fakty w czyny. Rozumiemy to zwłaszcza tutaj, w Łodzi, mieście wytężonej pracy i prężnie rozwijającym się ponadregionalnym ośrodku twórczości artystycznej, gdzie te wzajemne powiązania, twórca-odbiorca, rysują się szczególnie wyraźnie i dobitnie. Taka jest prawda, ale prawdą jest również, że zarówno w odczuciu samych twórców, jak i opinii odbiorców stan dający pełną satysfakcję i zadowolenie obu stronom jest jeszcze daleko przed nami. Jest to teza na pewno dyskusyjna. Można by przy pomocy liczb, konkretnych osiągnięć itp. zabiegów kwestionować jej zasadność.

I rzeczywiście, spójrzmy na nasz stan posiadania. Jest on imponujący. Wielokrotnie na tych łamach prezentowany w różnego rodzaju „bilansach kulturalnych", a także poprzez szczegółową prezentację wszystkich środowisk twórczych: literackiego, plastycznego, teatralnego, filmowego, muzycznego. Nie ma potrzeby czynić tego raz jeszcze, przypomnijmy tylko, że mowa jest o ponad tysiąc osób liczącej społeczności twórców kultury. Można by nawet powiedzieć, gdyby kogoś satysfakcjonowały takie określenia, że mieszkańcy ponad milionowej aglomeracji łódzkiej są obywatelami samoistnej „republiki kulturalnej". Oczywiście obawa przed posądzeniem o prowincjonalizm i partykularyzm nakazuje pełną umiaru powściągliwość. Chociaż z drugiej strony biorąc, nie ma powodów do skrępowania; realizujemy przecież oficjalnie zadekretowany i praktykowany policentryczny model kultury. Zaś stan faktyczny sytuuje nas tuż po Warszawie i Krakowie. Istotne jest również i to, że rozwijają się na naszym terenie wszystkie zasadnicze gałęzie kultury, a także istnieją wszystkie niezbędne instytucje rozpowszechniania. **Wszystkie**, po jednej i po drugiej stronie, gwarantujące samoistny byt i rozwój zarówno twórcom poszczególnych dziedzin, jak i wszechstronne zaspokojenie zainteresowań odbiorców. Taki stan rzeczy **musi** satysfakcjonować, ale trzeba przy tym pamiętać, że nie został on miastu ofiarowany, lecz przez lata ciężko wypracowany, a nie raz wywalczony. I o czym nieraz za szybko zapominamy, że ów stan posiadania został uzupełniony szczególnie w ciągu ostatnich ośmiu lat (np. powstanie nowych galerii, bibliotek, wybudowanie nowej szkoły plastycznej, powstanie zespołu filmowego, Domu Środowisk Twórczych, oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej, reaktywowanie „Osnowy" itp.). Staliśmy się więc znaczącym ośrodkiem na mapie kulturalnej kraju, a także miejscem wielu poważnych wydarzeń o charakterze międzynarodowym i ogólnopolskim. Oczywiście drugie wynika z pierwszego. Te jakże pożądane odwiedziny miasta nie wynikają przecież z turystycznych atrakcyjności Łodzi, ale mają miejsce dlatego, że działają tu ludzie, którzy są partnerami do wspólnych przedsięwzięć, a także i dlatego, że potrafimy zapewnić odpowiednie warunki — nazwijmy umownie — organizacyjno-materialne. Można by także przytoczyć dziesiątki przykładów działań idących w odwrotnym kierunku: sukcesy naszych zespołów i indywidualnych twórców na tzw. arenie krajowej i międzynarodowej. Czytamy o nich dość często w gazetach. Przytoczę tylko jeden przykład, bo mi bliski, nie publikowany jeszcze, a i dziedzina, w której sukces odnieść najtrudniej (przekłady!). Mianowicie: łączny nakład książek łódzkich pisarzy w ZSRR osiągnął w ostatnim okresie blisko milion egzemplarzy.

Osiągnięte rezultaty, są wynikiem talentu i pracowitości naszych twórców. To prawda, ale daleko niepełna. **To w równej mierze sprawa warunków i stworzenia klimatu sprzyjającego rozwojowi kultury, właściwy stosunek do tego jakże skomplikowanego zagadnienia władz politycznych i administracyjnych miasta.** Więcej niż grzechem, bo głupotą byłoby tego faktu nie docenić.

Podstawowa zasada, jaką przyjęła łódzka organizacja partyjna w pracy ze środowiskami twórczymi polega **na partnerstwie i przyjęciu wspólnej odpowiedzialności za całokształt życia kulturalnego w mieście i jego dalszy rozwój.** W praktyce oznacza to przede wszystkim prowadzone w rozmaitych formach, systematyczne i częste konsultacje, organizowanie narad problemowych poświęconych poszczególnym rodzajom twórczości i ich upowszechnieniu, spotkania z grupami zainteresowanych w danym zagadnieniu twórców, zakrojone na szeroką skalę, niemal powszechne rozmowy indywidualne.

Jako wieloletni działacz ZLP i redaktor pisma kulturalnego mogę stwierdzić z całkowitym przekonaniem, że w okresie ostatnich lat, **nie podjęto w Łodzi żadnej ważniejszej decyzji bez konsultacji z twórcami i działaczami kultury.** I chyba mam rację, jeśli stwierdzę, że tylko taka formuła współpracy pozwala na dogłębne zrozumienie potrzeb i możliwości środowisk, pobudza je ideowo i emocjonalnie, stwarza klimat wzajemnego zaufania, co gwarantuje osiąganie maksymalnych efektów. Sytuacja taka, dodajmy dla pełnej jasności, dotyczy zarówno twórców partyjnych jak i bezpartyjnych. Wynika to zarówno z zasad polityki kulturalnej u podstaw której leży otwartość na wszystko, co legitymuje się wartościami humanistycznymi, jak i z doświadczeń praktycznych. Za pozytywny przykład niech posłuży działalność organizacji partyjnych przy związkach twórczych. Tak się bowiem układa, że związki twórcze, mimo statutowych obowiązków w swej działalności skupiają głównie uwagę na sprawach tzw. bytowo-socjalnych członków, co jest potrzebne i pożyteczne, ale dalece nie wystarczające. W konsekwencji wiele spraw merytorycznych podejmuje POP na zebraniach otwartych. I to forum staje się naturalnym spoiwem wewnątrzśrodowiskowym, miejscem zarówno wymiany poglądów na wszystkie sprawy, ośrodkiem opiniotwórczym na użytek nie tylko bezpośrednio zainteresowanych, ale także ciałem inicjatywnym i organizatorskim.

Sądzę, że oddałem sprawiedliwość dokonaniom naszych twórców. Z konieczności lapidarnie, ale przecież nie chodzi o mnożenie przykładów. Czas na powrócenie do wątpliwości zasygnalizowanych na początku tego artykułu, na krytykę pewnych objawów naszego życia kulturalnego. W tym celu chciałbym wpierw przytoczyć kilka opinii sekretarza KŁ PZPR, tow. **Zbigniewa Falińskiego**, wyjętych z jego artykułu w „Ideologii i polityce". Artykuł ten zawiera obszerną, generalnie pozytywną ocenę dokonań środowiska, ale sygnalizuje też pewne niepokoje, które podziela szeroki aktyw. Zb. Faliński pisze: „W środowisku kultury Łodzi coraz mocniej podnoszony jest problem **jakości** — (podkr. moje) tworzonych wartości artystycznych. Dość częste są opinie, że ogólnokrajowa dyskusja o jakości pracy, oceniania ludzi i ich dokonań wg tego kryterium, tylko w niewielkim stopniu objęła sferę kultury i sztuki. Zdarza się, że źle pojęty mecenat państwowy przybiera w niektórych przypadkach formę zapomóg lub do niczego nie zobowiązujących stypendiów, że kierownicy instytucji kulturalnych czują się zwolnieni od wszelkiej odpowiedzialności społecznej za swoje chybione działania; co gorsze, podejmują dalsze z podobnym skutkiem. Zadanie solidnej, wykonywanej na przyzwoitym poziomie pracy u niektórych członków zespołów artystycznych wywołuje zdumienie. Obiektywnie stwierdzona ich nieprzydatność do wykonywania zawodu artystycznego stwarza częste przypadki odwoływania się do wszystkich pryncypiów socjalistycznego prawodawstwa. Walka z **przeciętnością** — (podkr. moje) w instytucjach kultury wcale nie jest łatwiejsza niż na innych obszarach życia społecznego".

Wyłuskałem ten cytat jeden z mnogości problemów podjętych przez sekretarza Komitetu Łódzkiego partii, ponieważ wydaje się on szczególnie ważki przy diagnozowaniu i zastanawianiu się co dalej? Zwolniony od konieczności daleko idącej rozwagi, jaka ciąży na każdej enuncjacji publicznej działacza tego szczebla, poszedłbym jeszcze dalej, ryzykując przerysowanie lub uproszczenie. Otóż myślę tak: zbudowaliśmy dużym wysiłkiem niezbędne struktury dla kultury, dla jej funkcjonowania i upowszechnienia. **Szczodrobliwy mecenat państwa** (zrozumiałe, że nie bezinteresowny) **poszedł tak dalece, że stał się jakby czymś danym raz na zawsze**, co ludzi mniej ambitnych lub cynicznych, czy choćby nieudolnych, także jakby z góry uwolnił od konieczności stałego potwierdzania racji i sensu istnienia i społecznej akceptacji dla określonej działalności, czy raczej jej poziomu. I dotyczy to zarówno niepotrzebnych nikomu książek, spektakli granych przy pustych widowniach, wystaw na które po inaugurującym szampanie nie zagląda pies z kulawą nogą, czy filmów, które kosztują miliony, a ogląda je po kilkanaście tysięcy widzów.

Podstawą do irytacji może być lawina wymyślonych przez organizatorów imprez kulturalnych, które robi się, bo tak wypada, bo z czegoś trzeba się rozliczyć w sprawozdaniu. Może się ktoś oburzyć, ale powiem wprost: wydaje mi się, że robimy ich za dużo, dopuszczając do swoistej inflancji, że **w ten sposób rozpraszamy siły i środki, a często je marnujemy.** Wniosek: rzadziej a lepiej, nie z okazji ale potrzeby, nie dla czyjejś wątpliwej sasysfakcji osobistej, ale dla pożytku publicznego. Znowu posłużę się pozytywnym przykładem środowiska literackiego. Zorientowaliśmy się jak nam podupada festiwal poetycki i przeszliśmy na cykliczność dwuletnią, co już dało się korzystnie odczuć.

Wyłożony powyżej krytyczny pogląd wyraziłem z całym przekonaniem, ale nie uwalnia mnie on automatycznie od pewnej wewnętrznej rozterki. Doskonale bowiem rozumiem, że nie można wymagać od twórców **samych** tylko arcydzieł, dzieł na najwyższym poziomie, że artysta ma nawet prawo do pomyłki, do podejmowania ryzyka, które może skończyć się klęską. A z drugiej strony również i w kulturze funkcjonuje dialektyczne prawo o przechodzeniu ilości w jakość. Mamy więc do czynienia ze sprzecznościami, zgoda, ale one też powinny funkcjonować we wzajemnym, organicznym związku, a proporcje między nimi winna dyktować logika, krytyczna ocena i stała weryfikacja.

A jak jest w rzeczywistości z funkcjonowaniem tych tak ważnych mechanizmów ocen. Dla uproszczenia można powiedzieć, że istnieją ich dwa rodzaje. Pierwszy to zawodowa krytyka artystyczna, drugi to opinia publiczna. (Dodajmy na marginesie, że często opinie te funkcjonują obok siebie, albo nawet w jaskrawej sprzeczności.) Biorąc inny punkt odniesienia, można powiedzieć, że działają miejscowe ośrodki opiniotwórcze i tzw. „centralne", którym to terminem określam działalność krytyczną w publikatorach o zasięgu ogólnokrajowym. Przyjrzyjmy się funkcjonowaniu tych mechanizmów, zaczynając od własnego „odgłosowego" podwórka.

Ze zrozumiałych względów współpraca ze środowiskiem **literackim** jest najszersza, ale też wywołuje po obu stronach najwięcej emocji i kontrowersji. Większość zespołu redakcyjnego i kilku stałych współpracowników, to członkowie miejscowego oddziału ZLP. Wspólne imprezy, zebrania, częste kontakty osobiste są dobrą platformą dla obustronnej wymiany poglądów. Duża częstotliwość kontaktów sprzyja większemu zrozumieniu przez środowisko literackie polityki redakcji. Nasze zadania, idą w trzech zasadniczych kierunkach: prezentacji oryginalnego dorobku łódzkich autorów, popularyzację sylwetek twórców i krytyczną ocenę ukazujących sie aktualnie książek. Pierwsze i drugie zadanie udaje nam się realizować bezkolizyjnie, chociaż na pewno nie idealnie. Najwięcej kontrowersji, jak to w życiu bywa, wzbudzają opinie krytyczne zamieszczane na łamach naszego tygodnika **i dotyczy to wszystkich środowisk**, a także, co może wywołać pewne zdziwienie, zarówno jeśli chodzi o oceny negatywne jak i pozytywne.

Dawno powiedzieliśmy sobie w zespole i często sobie przypominamy, że obowiązuje nas zasada maksymalnej obiektywizacji w sprawach czysto artystycznych (jak we wszystkich innych zasady polityki kulturalnej partii), że przeciwstawiamy się zdecydowanie zakorzenionym w przeszłości (nie tylko w Łodzi) partykularyzmom, w rodzaju np. „co nasze, łódzkie, to dobre, trzeba chwalić i popierać, wszelkimi środkami bronić przed atakiem innych". Jak się mają te zasady do rzeczywistości, mogą najlepiej ocenić Czytelnicy i twórcy, których dzieła były przedmiotem krytycznej analizy. Co my sami o tej sprawie sądzimy?

Atakujemy twórców, którzy często są nam ludźmi bliskimi, nierzadko przyjaciółmi — w intencji rozwoju ich talentów z myślą o najwyższej randze kultury, w drugim mieście Polski. Mówimy nieraz rzeczy przykre, zwalczając choćby prowincjonalne kompleksy, myślenie kategoriami zaścianka. Mówimy nieraz tak. „Chcesz być łódzki, chcesz zasłużyć się dla swego miasta, to wspaniale. Jesteśmy „za", ale ta książka — wystawa — film — przedstawienie — **musi mieć wymiar nie łódzki, lecz polski, europejski.** Przed takim dokonaniem pochylimy czoła. „Z tym, że w równej mierze nie chodzi nam o kreowanie miejscowych wielkości, jak i też chcielibyśmy uniknąć posądzenia, że tylko pokłask Warszawy, nagrody i wyróżnienia ogólnopolskie są warunkiem akceptacji tutaj, na miejscu.

Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na rzecz bardzo budującą, widoczną najbardziej w krytyce literackiej, teatralnej i filmowej. Zwłaszcza w tej pierwszej postęp jest najbardziej widoczny i obiecujący. Jeszcze kilka lat temu na dobrą sprawę mieliśmy wyłącznie „amatorską", recenzję książkową. Dzisiaj, dzięki nawiązywaniu przez lata współpracy z Uniwersytetem Łódzkim możemy **mówić o grupie zawodowych krytyków.** Wystarczy przytoczyć nazwiska. Rzymowskiego, Skiołińskiego, Błażejewskiego, Świontka, Poradeckiego, Pusza, Majchrowskiego. D. Chróścielewskiej, Gazdy i innych, obok zajmujących się krytyką literacką już dawniej: T. Chróścielewskiego, Biskupskiego, Kucnera, Frejdlicha, Wilmańskiego. Mamy także po kilku specjalistów od teatru, filmu, działa Klub Krytyki Plastycznej, który zbyt rzadko przypomina o swoim istnieniu, bo głównie z okazji Tygodnia Plastyki. Krótko mówiąc, niezależnie od takich czy innych pretensji zwłaszcza o konkretne oceny i sądy, można stwierdzić, **że krytykę artystyczną wreszcie posiadamy, że po prostu jest i działa, kiedy jeszcze kilka lat temu mieliśmy koleżeńskie usługi.** Dziś mamy wiarygodny i kompetentny ośrodek opiniotwórczy, składający się głównie z młodych naukowców, zdolnych i wrażliwych, zdobywających z każdą nową publikacją kolejne, praktyczne doświadczenie.

Nie sposób przy tym rozważaniu strat i zysków pominąć udziału zewnętrznych opinii. Niestety, są znikome, okazjonalne, czasami pisane z pozycji, które trudno zrozumieć, zdarzają się nawet wypowiedzi paszkwilanckie. Z zasady nie podejmujemy polemik. W br. uczyniliśmy zaledwie dwa wyjątki.

W bieżącym numerze postanowiliśmy wyprostować nieco ścieżki, którymi chadza nasz miejscowy korespondent „Szpilek". Na tle żadnego prawie zainteresowania prasy społeczno-kulturalnej ewenementem jest **rzetelne i stałe zainteresowanie ruchem kulturalnym w Łodzi, jakie obserwujemy na łamach „Trybuny Ludu".**

Stanowisko w tej sprawie dobitnie wyraził sekretarz KŁ Z. Faliński w niedawnym wywiadzie dla „Głosu Robotniczego", stwierdzając. „Zdarzają się także opinie z pogranicza — delikatnie mówiąc — epitetu... Sądzę przy tym iż słusznie postępuje prasa łódzka nie podejmując z autorami tych opinii polemiki. Musielibyście bowiem przypomnieć niejednemu krytykowi iż to robotnicze miasto od początku swego istnienia toczyło nieustanną walkę o chleb, godność ludzką, o elementarne warunki egzystencji". I dalej... „**Uproszczeniem byłoby sądzić, że na przestrzeni trzech dziesięcioleci mogła ukształtować się w nim tradycja uczestnictwa w kulturze podobna tej, która przez wiele wieków formowała się w takich ośrodkach jak np. Warszawa, Kraków** — (podkr. moje). Nie jest chyba przy tym prawdą, że nasze miasto jest tak „trudne", skoro znalazło tu dla siebie i swojej twórczości miejsce wielu wybitnych ludzi sztuki, których nazwiska i dzieła na trwałe wejdą do skarbnicy kultury narodowej. Znaleźli w Łodzi swoje miejsce ci spośród nich, którzy często nie widzieli dla siebie szansy tworzenia w innych, uznawanych przez fachowców od krytyki, ośrodkach kultury. Racja, że niełatwo jeszcze przychodzi uzyskiwać im powszechność uznania dla tworzonych przez siebie wartości. Ponoszony trud jest tu jednak zarazem obywatelską powinnością — tak zresztą ogromna większość twórców to rozumie — wobec miasta, dla którego historia nie była łaskawa".

Myślę, że sprawa została przedstawiona jasno i nie wymaga komentarza. Dobrze by było żeby ci wszyscy, którzy do Łodzi zajeżdżają i oceniają nasze „dzisiaj" dostrzegli również ów kontekst historyczny. Ich trud byłby wtedy bardziej pożyteczny dla czytelników pism, które reprezentują i dla działań podejmowanych tutaj, które przecież muszą być stale weryfikowane i doskonalone. Moje osobiste pretensje np. do tygodnika „Kultura" czy telewizyjnego „Pegaza" są innego rodzaju. Przemilczanie. Jakby nas dzieliły tysiące kilometrów. Nasza strata, na pewno, ale dla tych szerokich rzesz odbiorców kultury, którzy chcą wiedzieć co się dzieje w całym kraju — strata także. Ale to tak na marginesie...

Czytelnicy, którzy nam towarzyszą od lat, zauważyli, że nie organizujemy w br. plebiscytu na Łodzian Roku. Plebiscyt był cieszącą się dużym zainteresowaniem formą popularyzacji twórców i działaczy kultury. Organizowaliśmy go dokładnie przez dziesięć lat, a wiadomo że i najlepsze pomysły nie można ciągnąć w nieskończoność. Mamy jednak nadzieje, że wypełnimy tę lukę ufundowaniem. Nagrody „Odgłosów" za wybitne osiągnięcia w twórczości, którą chcielibyśmy przyznawać każdego marca w rocznicę powstania pisma. Myślimy także i o innych formach popularyzowania twórców i ich dzieł, a także chcielibyśmy szerzej otworzyć łamy dla wspólnej wymiany poglądów. Potrzeby takie są, lecz chyba zbyt mało energicznie wychodziliśmy im naprzeciw. Chcielibyśmy także szerzej prezentować poglądy naszych Czytelników, którzy, nie wątpimy, są aktywnymi odbiorcami dóbr kultury. Oczekujemy z waszej strony na listy, opinie, inicjatywy, bo są to nasze wspólne sprawy.

Chciałbym także, kończąc te rozważania, tradycyjnym zwyczajem wszystkim naszym Czytelnikom, Sympatykom, stałym i okazjonalnym Współpracownikom, wszystkim naszym przyjaciołom i sojusznikom, a przede wszystkim Twórcom i Działaczom Kultury — złożyć najserdeczniejsze życzenia świąteczne i noworoczne, życzenia osobistych sukcesów i satysfakcji z twórczego trudu, który oby najpełniej wzbogacał nasze umysły i poruszał serca.

JERZY WAWRZAK

Następny numer „Odgłosów" ukaże się w dniu 4 stycznia 1979 roku, w objętości 16 kolumn. Zawierać będzie szereg interesujących publikacji, które polecamy naszym Czytelnikom. W numerze znajdą się m.in.:

- „Świętokrzyskie szlaki literackie", Tadeusza Błażejewskiego,
- Rozważania o łódzkiej komunikacji — Lucjusza Włodkowskiego,
- Przekłady Tadeusza Chróścielewskiego i Jana Huszczy,
- Reportaż z Iwanowa Barbary Wrzesińskiej,

Poza tym piszą:

- O Januszu Korczaku — Konrad Frejdlich,
- O krakowskiej „Kuźnicy" — Tomasz Soldenhoff,
- O Muzeum Hymnu — Krzysztof Pogorzelec.

Jak co tydzień: felietony, recenzje, omówienia.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

STEFAN BANASIAK

ŁÓDŹ PRZED Kongresem Zjednoczeniowym

walka pokoleń działaczy robotniczych uwieńczona została w końcu II wojny światowej utworzeniem na ziemi polskiej władzy składającej się z rzeczywistych przedstawicieli ludu pracującego. Polska Ludowa kształtowała się w wyniku rewolucyjnego współdziałania następujących sił politycznych: Polskiej Partii Robotniczej, rewolucyjnego nurtu PPS, radykalnej części ruchu ludowego oraz partii skupiającej postępowe i demokratyczne środowiska inteligenckie i drobnomieszczańskie. Władza ludowa w okresie PKWN (21 VII — 31 XII 1944 r.) i Rządu Tymczasowego (1 I — 27 VI 1945 r.) opierała się o polityczny system czterech partii: PPR, PPS, SL i SD.

Partie te reprezentowane w KRN, PKWN, radach narodowych, terenowej administracji państwowej i gospodarczej rozpoczęły realizację gruntownych reform politycznych, gospodarczych i społecznych. Na terenach wyzwolonych przejęty został przemysł pod administrację państwową (formalna nacjonalizacja nastąpiła na mocy ustawy KRN z 3 I 1946 r), przeprowadzono reformę rolną, rozbudowano Ludowe Wojsko Polskie, zdemokratyzowano oświatę i kulturę. Zapoczątkowano o doniosłym znaczeniu historycznym uzgodnienia międzynarodowe w sprawie ostatecznego obszaru państwa polskiego i skupienia Polaków na obszarze Polski.

1.

W tym układzie politycznym czołowa i kierownicza rola przypadła partiom robotniczym. Wynikało to z programu politycznego i gospodarczo-społecznego akceptowanego przez przeważającą część narodu oraz z możliwości praktycznego działania w procesie tworzenia i umacniania władzy ludowej i przebudowy gospodarczo-społecznej Polski.

PPR opierająca się na bogatych tradycjach swych poprzedniczek SDKPiL i KPP, posiadająca piękną kartę w walce z okupantem, skupiała w swych szeregach całość ruchu komunistycznego. Odrodzona PPS tuż po wyzwoleniu w w 1944 r. bazowała na rewolucyjnej części RPPS przy istnieniu prawicowych nurtów socjalistycznych — prawicy RPPS, która nazwała się sama PPS-Lewicą oraz PPS-WRN, będącej od końca listopada 1944 r. czołową partią w rządzie emigracyjnym. W miarę postępów radykalizacji społeczeństwa polskiego następowało przewartościowanie postaw poszczególnych działaczy centrowych i prawicowych nurtów socjalistycznych. Odrodzona PPS rozszerzała więc swe wpływy kosztem ugrupowań opozycyjnych, ale sama była narażona na przenikanie w jej szeregi oraz oddziaływanie ideowe i polityczne prawicy socjalistycznej. Łącznie obie partie robotnicze, PPR i PPS stanowiły główny trzon polityczny władzy ludowej. Od ścisłego współdziałania tych partii zależał kierunek rozwoju kraju, jego ustrój, kształt gospodarki, przezwyciężenie trudności gospodarczych 'td.

Ruch ludowy w okresie powstawania władzy ludowej był rozbity na lewicę współdziałającą z rewolucyjnym ruchem robotniczym i prawicę orientującą się na siły polityczne skupione wokół osoby premiera rządu emigracyjnego. W środowiskach stanowiących polityczny obszar działania SD nurt prawicowy reprezentowało Stronnictwo Pracy wchodzące w skład rządu emigracyjnego.

W połowie 1945 r. system partyjny władzy ludowej został rozszerzony celem zapewnienia pełnej reprezentacji społecznej we władzach Polski, a przede wszystkim w wyniku międzynarodowych uzgodnień zasad uznania dyplomatycznego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Latem 1945 r. ukształtował się w Polsce specyficzny układ partyjny składający się z dwóch partii robotniczych — PPR i PPS, dwóch partii ludowych — SL i PSL oraz dwóch partii działających w środowiskach inteligencko-drobnomieszczańskich (SD i SP). W każdym tym zestawie stosunkowo łatwo jest umiejscowić jedną partię po stronie lewej, a drugą po prawej. W warukach w jakich Polska znalazła się po II wojnie światowej, zarówno wewnętrznych jak i międzynarodowych, nie było podstaw do eksperymentowania z różnymi wariantami programowymi. Odbudowa i rozwój Polski wymagały realizowania programu optymalnego w danej sytuacji historycznej.

Rozwój systemu partyjnego w Polsce wykazuje umacnianie się sił lewicowych stojących na gruncie budownictwa socjalistycznego, izolowanie i eliminowanie sił prawicowych, a w ostateczności likwidację dualistycznego układu partyjnego na drodze zjednoczenia.

Potrzebę i konieczność zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego potwierdza także analiza międzynarodowego ruchu robotniczego W grupie państw, w których po II wojnie światowej władza przeszła w ręce mas pracujących (Czechosłowacja, Polska, Rumunia, Węgry, radziecka strefa okupacyjna Niemiec) dokonało się zjednoczenie partii robotniczych. Nasuwa się z tego wniosek, że państwo burżuazyjne hamuje lub uniemożliwia jednoczenie się ruchu robotniczego, a po przejęciu władzy przez masy pracujące w warunkach hegemonistycznej roli klasy robotniczej proces jednoczenia zostaje ułatwiony i przyspieszony. Z powyższych wywodów nasuwa się teza, że zjednoczenie ruchu robotniczego wynikało z ogólnych praw rozwoju społecznego. Mogło ono nastąpić tylko na gruncie marksizmu-leninizmu i w praktycznym działaniu na rzecz budownictwa socjalistycznego. Alternatywa ewolucji w kierunku ustroju burżuazyjnego była nie do przyjęcia dla klasy robotniczej, a rozwiązania pośrednie mogły trwać tylko przejściowo, w określonym czasie.

Tak, jak we wszystkich procesach społecznych na akt jednoczenia ruchu robotniczego w Polsce wywierały wpływ czynniki subiektywne określające moment zjednoczenia, szczegółowe zadania i ich teoretyczne uzasadnienie, zakres wpływu na zjednoczoną partię członków obu jednoczących się partii, a także sposób podtrzymywania więzi pomiędzy doświadczeniem dziejowym a współczesnością.

2.

Spójrzmy teraz na drogę do zjednoczenia łódzkich organizacji PPR i PPS. Po wyzwoleniu, w warukach niepodległości i pozycji sił współrządzących szeregi obu partii burzliwie się rozrastały. W marcu 1945 r. PPR posiadała 7,1 tys., a PPS — 6,1 tys. członków. W końcu tego roku PPR liczyła 8,8 tys., a PPS — 12,9 tys. członków. W okresie referendum, a więc w połowie 1946 r. szeregi obu organizacji partyjnych zrównały się na poziomie 15 tys. członków. W wyniku dalszego szybkiego wzrostu szeregów w okresie pomiędzy referendum, a wyborami do Sejmu PPR posiada 25 tys., a PPS — 20,5 tys. członków.

W organizacjach PPR i PPS bardzo duży był udział członków o bardzo krótkim stażu partyjnym. Zapoznawali się oni już w konkretnych kołach z tradycją swych partii, a mogli uzyskać tylko informacje skrótowe, uproszczone, przekazywane subiektywnie i na ogół wymagające merytorycznej weryfikacji. Zasady marksizmu-leninizmu znali bardzo powierzchownie z dwu istotnych przyczyn: braku odpowiednich materiałów publikowanych, zarówno prac klasyków jak też opracowań, a także braku czasu w warunkach piętrzących się zadań bieżących. Istniał jednak głęboki głód wiedzy o sprawach ogólnych, ideologii marksistowskiej, budownictwie socjalistycznym i życiu partyjnym. Na zebraniach szkoleniowych dyskusje były bardzo zaangażowane, rozwijały się spontanicznie i trwały na ogół długo.

W dziedzinie upowszechniania marksizmu-leninizmu Łódź tuż po wojnie znajdowała się w korzystnej sytuacji, gdyż na jej terenie znajdowała się Centralna Szkoła PPR oraz liczne placówki resortowe (Obrony Narodowej, Bezpieczeństwa Publicznego i wielu innych), które zajmowały się problematyką ideologiczną. Stosunkowo więc łatwo było w Łodzi o interesujących prelegentów.

Obie partie robotnicze w Łodzi, podobnie zresztą jak w całej Polsce, stały na gruncie budowy ustroju socjalistycznego uznając, że nowy ustrój nie może być wprowadzony jednorazowym aktem, lecz wymaga urzeczywistniania w dłuższym procesie stanowiącym okres przejściowy między kapitalizmem, a socjalizmem. Do najważniejszych zadań, jakie stały przed organizacjami PPR i PPS należały:

— umacnianie władzy ludowej — w mieście, na terenach odzyskanych, w tym obowiązki patronackie wobec Gdańska, delegowanie aktywu do dyspozycji różnych organów państwowych, do szkół, na kursy itd.,

— przeciwstawianie się siłom prawicowym i reakcyjnym — zbrojnemu podziemiu, PSL, dywersji ideologicznej, wrogiej propagandzie,

— demokratyzacja zarządzania — kontrola funkcjonowania administracji państwowej, fabrycznej, spółdzielczości, rozwój i umacnianie roli związków zawodowych oraz innych organizacji społecznych,

— troska o poprawę warunków bytowych mas pracujących — aprowizacja, sprawiedliwy rozdział mieszkań, remonty, organizacja wypoczynku,

— rozwój przemysłu — przejęcie przemysłu, przeciwstawianie się tendencjom reprywatyzacyjnym, uruchamianiu maszyn, zapewnieniu surowców, części zamiennych i energii, szkolenie załóg, podnoszenie wydajności pracy, inicjowanie współzawodnictwa, rozwijanie ruchu racjonalizatorskiego, popieranie wielowarsztatowości, przeciwstawianie się próbom dezorganizacji procesu produkcyjnego,

— rozwijanie oraz upowszechnianie oświaty i kultury,

— udział w masowych akcjach politycznych i społecznych — umacnianie sojuszu robotniczo-chłopskiego, prace wyjaśniające i propagandowo-agitacyjne przed referendum i wyborami do Sejmu.

Współdziałanie członków i władz obu partii było dobre. Współpraca układała się szczególnie pomyślnie w zakładach przemysłowych oraz w akcjach masowych. Utrudnienia wynikały tylko z niejednolitej struktury organizacyjnej. Do połowy 1946 r. PPR w Łodzi miała Komitet Miejski, nazywany w języku potocznym Komitetem Łódzkim. Podlegał on Komitetowi Wojewódzkiemu. Od połowy 1946 r. łódzka organizacja PPR posiadała uprawnienia organizacji wojewódzkiej. W obrębie miasta działały komitety dzielnicowe, których zasięg nie pokrywał się z podziałem administracyjnym. Najniższe ogniwa partyjne działały przy fabrykach, urzędach i instytucjach. Członkowie PPR z zakładów pracy, w których ze względu na zbyt małą liczbę członków oraz członkowie niepracujący zawodowo (emeryci, inwalidzi, gospodynie domowe itp.) należeli do nielicznych kół terenowych.

PPS posiadała wspólny dla Łodzi i województwa Wojewódzki Komitet, któremu w województwie podlegały organizacje powiatowe, a w Łodzi organizacje dzielnicowe. Istniały dzielnice PPS terenowe (różniące się od dzielnic administracyjnych i od dzielnic peperowskich) oraz dzielnice środowiskowe (elektrownia, tramwaje, PKP, Zarząd m. Łodzi, spółdzielczość). Bezpośrednio po wyzwoleniu niektóre koła PPS obejmowały zasięgiem całe dzielnice lub w dzielnicy było tylko kilka kół terytorialnych. W miarę wzrostu liczby członków w fabrykach zaczęły powstawać koła zakładowe.

W czerwcu 1948 r. PPS odstąpiła od swej tradycyjnej struktury organizacyjnej i przyjęła leninowską zasadę organizacji, a więc organizację kół według miejsc pracy członków PPR. Ten system organizacji nazywany też bywa strukturą produkcyjną. Zachowane zostały dzielnice terytorialne, a likwidacji uległy dzielnice środowiskowe. W fabrykach powstały komitety zakładowe dzielące się na koła skupiające do 50 członków. Najniższym ogniwem organizacyjnym były dziesiątki wchodzące w skład kół.

PPR i PPS różniły się znacznie stopniem zdyscyplinowania. PPR nawiązując do swych doświadczeń konspiracyjnych z okresu okupacji hitlerowskiej oraz SDKPiL i KPP opierała się na silnej dyscyplinie wewnętrznej. Jej członkowie otrzymywali konkretne polecenia partyjne. Kierowani byli do miejscowości i na stanowiska uznane przez partię za ważne, nawet w sytuacjach, gdy interes partyjny nie pokrywał się z interesem osobistym. W ten sposób liczne rzesze członków PPR skierowano do szkół wojskowych, do urzędów bezpieczeństwa publicznego, Milicji Obywatelskiej, ORMO, na tereny odzyskane, bądź na różne stanowiska w administracji i przemyśle. Członkowie PPR odpowiedzialni byli za sytuację polityczną, społeczną i gospodarczą w miejscu swej pracy. Organizacje partyjne z należytym wyprzedzeniem i konkretnym planem działania przystępowały do realizacji zleconych im, lub samorzutnie podjętych zadań.

Ofiarność i aktywność członków PPS była duża. Opierając się jednak na innym doświadczeniu i tradycji w niewielkim zakresie stosowano w PPS indywidualne polecenia. Organizacje PPS do akcji masowych włączały się na ogół później niż organizacje PPR.

Przy istnieniu ogólnej zgodności w podstawowych założeniach ideologicznych i zaangażowaniu na rzecz budownictwa socjalistycznego występowały między PPR i PPS różnice w interpretowaniu szeregu istotnych pojęć, jak: demokracja, dyktatura proletariatu, nacjonalizacja przemysłu, spółdzielczość i in. Obie partie negatywnie oceniały działalność PSL, ale ujawniały się w niektórych okresach różnice w sprawie taktyki walki z prawym skrzydełm ruchu ludowego. Na tym tle doszło też do pogorszenia stosunków między łódzką PPR i PPS we wrześniu 1946 r.

3.

Dojrzewanie warunków do zjednoczenia ruchu robotniczego wymagało z jednej strony zacieśnienia współdziałania, z drugiej likwidowania różnic między obu partiami. Jak stwierdziła Rada Naczelną PPS w swej uchwale z czerwca 1947 r.: **„Droga PPS wiedzie tylko na lewo. Wróg jest tylko na prawo".** Maksyma ta w miarę upływu czasu coraz pełniej była realizowana.

Zjednoczenie polskiego ruchu robotniczego zostało zapowiedziane w **„Umowie o jedności działania i współpracy między PPR i PPS"** z 28 listopada 1946 r. Był to okres intensywnych prac politycznych poprzedzających wybory do Sejmu. W umowie tej stwierdzono:

„Obie partie zmierzają poprzez coraz ściślejszą współpracę i ideowe zbliżenie do osiągnięcia pełnej jedności organicznej partii robotniczych".

Sprawę zjednoczenia zapowiedziano w sposób ogólny. Szczegółowo natomiast sprecyzowano zasady jedności działania i współpracy.

Umowa stwierdzała dalej:

„Obie partie wychowywać będą swych członków w duchu jedności klasy robotniczej i uświadamiać ich o doniosłej roli jednolitego frontu, podstawowej gwarancji utrwalenia zwycięstwa mas pracujących i demokracji.

Stojąc na gruncie dotychczasowego dorobku i doświadczeń w budowaniu podstaw demokracji ludowej, obie partie zwalczać będą w swych szeregach wszelkie próby powrotu do przezwyciężonych już koncepcji politycznych, sprzecznych z zasadami jednolitego frontu.

Obie partie wysuwają na czoło swych zadań politycznych usunięcie głównych przeszkód w budowaniu jednolitego frontu, podejmą bezkompromisową walkę z wpływami antysowieckiej i reakcyjnej WRN-owskiej ideologii, z przejawami sekciarstwa, szkodnictwa i niezrozumienia zasad jednolitego frontu.

Obie partie walczyć będą wszystkimi środkami, aż do usuwania z partii tych, którzy działać będą na szkodę jednolitego frontu klasy robotniczej i utrudniać współpracę obydwu partii".

W celu realizacji współpracy centralne kierownictwa obu partii zaleciły wszystkim swym organizacjom odbywanie wspólnych zebrań, posiedzeń, i konferencji aktywów partyjnych, dyskusje ideowe, a także organizowanie wspólnych wystąpień i imprez o charakterze politycznym i kulturalnym. Uznano, iż istnieje konieczność zacieśnienia współpracy i ideowego zbliżenia pomiędzy ZWM i OM TUR.

Po sukcesie wyborczym w styczniu 1947 r. umocnił się autorytet polityczny i wzrosła popularność partii robotniczych. Tylko w pierwszej połowie 1947 roku szeregi PPR wzrosły o 50 proc., z 25 tys. do 37,8 tys. członków. W PPR nadal znaczną część stanowiły osoby o bardzo krótkim stażu partyjnym, z czym wiązał się w licznych przypadkach niski poziom uświadomienia politycznego. Ludziom tym przychodziło pełnić obowiązki partyjne w warukach piętrzących się trudności gospodarczych. Mało było w PPR pracowników umysłowych, a w szczególności kadry technicznej i nauczycieli. Zbyt niski był także udział kobiet.

Duży był w pierwszej połowie 1947 r. wzrost szeregów PPS. Liczba członków wzrosła z 20,5 tys. do 33,6 tys., czyli o 60,8 proc.

4.

W drugiej połowie 1947 r. obie partie zahamowały przyjmowanie nowych członków, skupiając główną uwagę na ujednoliceniu kryteriów stawianych wobec swych członków. Porządkowano dokumentację, skreślając z rejestrów formalnych członków, wydalano z szeregów osoby obce ideowo oraz zdemoralizowane. PPR porządkowanie swych szeregów i ocenę członków połączyła z wymianą legitymacji członkowskich.

W wyborach do nowych władz wojewódzkich PPS w styczniu 1948 r. nastąpiły zmiany personalne. Przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu został **Stanisław Duniak**, a I sekretarzem WK **Wincenty Stawiński.** Dalsze istotne zmiany w wojewódzkiej instancji PPS przeprowadzono w kwietniu 1948 r. Odwołano 24 członków Rady Wojewódzkiej PPS, oraz 6 członków Wojewódzkiego Komitetu uznanych za zwolenników prawicowego nurtu PPS oraz za niechęć do zjednoczenia ruchu robotniczego. Wśród usuniętych działaczy znalazł się też były I sekretarz WK PPS, **Henryk Wachowicz.**

Weryfikacja szeregów obu partii robotniczych oraz zmiany personalne we władzach PPS były poważnym krokiem ku zjednoczeniu, które według pierwotnych uzgodnień miało nastąpić we wrześniu 1948 r. Ogłoszona przez obie partie zbiórka składek na dom zjednoczonej partii wykazała pośrednio, że członkowie obu partii opowiadają się za zjednoczeniem. W Łodzi składki na ten cel zadeklarowało przeszło 25 tys. członków PPR i 15 tys. członków PPS.

5.

Powołana przez władze centralne obu partii komisja miała opracować deklarację ideowo-programową, w której znalazłaby się ocena spuścizny polskiego ruchu robotniczego. Podczas dyskusji wokół tych spraw na posiedzeniu KC PPR ujawniły się istotne rozbieżności w kierownictwie PPR. Obrady plenum lipcowego i sierpniowo-wrześniowego KC doprowadziły do sformowania tezy o odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym. Sekretarzem generalnym KC PPR został **Bolesław Bierut.**

Przed ruchem robotniczym postawione zostały bardzo istotne problemy budownictwa socjalistycznego, jak tempo przeobrażeń, industrializacja, kolektywizacja rolnictwa, upowszechnienie oświaty i kultury, zasady internacjonalizmu, czujność wobec knowań imperalistycznych i in. Dyskusje w tych sprawach prowadzone były w dużym pośpiechu nierzadko w atmosferze nietolerancji, dogmatyzmu i sekciarstwa oraz szeregu uproszczeń i jednostronności. Objęto nimi całokształt życia politycznego i społecznego, zmiany personalne objęły także PPS, związki zawodowe, administrację gospodarczą i miejską.

Powstały klimat polityczny sprzyjał też ujawnianiu niedbalstwa, bezdusznosci, nieudolności, braku troski o sprawy ludzi pracy i o dobro społecznej gospodarki. Rozbite zostały kliki żyjące dotychczas w przeświadczeniu o swej nietykalności i nieograniczonych możliwościach. Pod tym względem był to proces twórczy, odradzający wiarę w siłę partii rewolucyjnej i demokrację socjalistyczną.

W porównaniu ze statystyką ogólnopolską rozmiar wydaleń jesienią 1948 r. z PPR i PPS w Łodzi był o prawie jedną trzecią niższy. Jakkolwiek większość decyzji o pozbawienie praw członkowskich PPR lub PPS była słuszna, to w niektórych przypadkach doszło do krzywdzących ocen i zbyt ostrych sankcji. Niektóre niesłuszne decyzje zostały uchylone już w 1948 r. przez instancje partyjne, a inne po upływie kilku lat przez instancje PZPR. Pomijając incydentalne sytuacje należy stwierdzić, że łódzka klasa robotnicza i aktyw obu partii potrafiły z proletariacką pryncypialnością, wnikliwością, ale i niezbędnym umiarem rozstrzygać wyłaniające się problemy zachowując przy tym wierność rewolucji i socjalizmowi.

Stanowisko członków PPR i PPS w Łodzi daje się sprowadzić do następujących spraw:

— podkreślano potrzebę trwania przy zasadach marksizmu-leninizmu,

— nie znając bliżej spraw Jugosławii, wokół której były wówczas liczne wypowiedzi, opowiadano się za internacjonalizmem i międzynarodową solidarnością mas pracujących,

— doceniano międzynarodowe znaczenie ZSRR i WKP (b),

— popierano wizję postępu na wsi wraz z uspołecznieniem produkcji rolnej,

— doceniano niebezpieczeństwa wynikające z toczącej się walki klasowej,

— upatrywano w krytyce twórcze narzędzie pomagające odsłaniać niedomogi życia politycznego, społecznego i gospodarczego.

Wyrażane w trakcie dyskusji wątpliwości świadczą, iż członkowie partii robotniczych z dużą uwagą śledzili dokonujące się zmiany w sferze ideologicznej, politycznej i programowej. Ujawniające się wątpliwości i niejasności sygnalizowane były przez dyskutantów na licznych zebraniach partyjnych. Było też sporo wystąpień świadczących o schematyzmie w myśleniu, nadgorliwości lub będących wyrazem nadgorliwości. Zdarzało się, że nie szukano przyczyn zła na swoim terenie, lecz krytykowano tylko władze nadrzędne. Ludzi już zdjętych ze stanowisk piętnowano i czyniono odpowiedzialnymi za wszystkie znane uchybienia w terenie. Rewolucyjność przypisywano tylko dołom partyjnym. Wysuwano awanturnicze postulaty ekonomiczne — jak natychmiastowe rozprawienie się z inicjatywą prywatną. Krytykowano władzę partyjne za to, że nie rozpoczęły kolektywizacji natychmiast po przeprowadzeniu reformy rolnej. Zdarzały się niesłuszne wystąpienia przeciwko nauce, wiedzy fachowej, inteligencji pracującej, personelowi technicznemu i administracji gospodarczej. Poglądy te wyrażali na ogół ludzie bez znaczniejszego autorytetu politycznego i zawodowego, stąd nie wywierały one większego wpływu na postawę organizacji partyjnych. O dojrzałości organizacji partyjnych świadczyły spontaniczne repliki i wyjaśnienia z jakimi spotykały się tego rodzaju wystąpienia. Dokonany w 1948 r. zwrot w polityce obu partii wpłynął na konieczność przedłużenia kampanii przedzjednoczeniowej.

Robotnicy Łodzi **Czynem Kongresowym** powitali **II Zjazd PPR** i **XXVIII Kongres PPS,** na których to zjazdach wyrażono wolę zjednoczenia się i powołania **Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.** Z uwagą śledzono przebieg I Zjazdu PZPR obradującego w dniach 15—21 XII 1948 r. Wnikliwie studiowano Deklarację Ideową i Statut oraz Wytyczne Sześcioletniego Planu Rozwoju i Przebudowy Gospodarczej Polski.

6.

Po Kongresie Zjednoczeniowym PZPR liczyła w Łodzi 55,1 tys. członków, w tym 39 tys. robotników, 15,9 tys. pracowników umysłowych, 132 chłopów, 80 rzemieślników i 15 kupców.

23 XII 1948 r. egzekutywa KŁ PZPR wybrała I sekretarzem **Władysława Dworakowskiego,** II sekretarzem **Stanisława Duniaka,** sekretarzem ekonomicznym **Adama Żebrowskiego,** a sekretarzem organizacyjnym **Jana Grudzińskiego.**

Zjednoczenie ruchu robotniczego było doniosłym wydarzeniem w dziejach klasy robotniczej i narodu, gdyż:

— zamyka przeszło półwiekowy okres rozbicia ruchu robotniczego,

— umocniło kierowniczą rolę partii klasy robotniczej w całokształcie życia polityczno-społecznego i gospodarczo-administracyjnego,

— zużywany dawniej przez obie partie wysiłek na uzgadnianie współpracy mógł być po zjednoczeniu spożytkowany bezpośrednio na działalność polityczną, ideologiczną i organizacyjną,

— przyśpieszony proces przeobrażeń socjalistycznych i industrializacja kraju były realne w sytuacji istnienia jednolitego, zwartego oraz posiadającego szerokie oparcie społeczne kierownictwa politycznego,

— powstanie PZPR było doniosłym wydarzeniem w procesie integracji społeczeństwa polskiego.

Prof. dr habil. Stefan Banasiak Instytut Historii Uniwerystetu Łódzkiego.

65-lecie Wandy Karczewskiej

SZUKAJĄC WARTOŚCI NIEPODWAŻALNYCH

Wąż Uroboro — symboliczny znak czasu, znak przemijania, nie bez powodu pojawia się w jednym z wierszy Wandy Karczewskiej, drukowanych na tych łamach. Okazja do ponownego przypomnienia tego symbolu stała się 65 rocznica jej urodzin. Kreśląc z tej racji kilka okazjonalnych uwag, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że takie skrótowe ujmowanie pisarskiego dorobku siła rzeczy przypominać musi leksykonowe hasło. Ogólność „leksykonowych" sformułowań niechaj uzupełnią wrażenia osobistej natury.

Z niejakim zażenowaniem przyznać muszę, że książki Wandy Karczewskiej przeczytałem stosunkowo późno, ale za to niemalże jednym tchem. W następstwie czego usiłowałem stworzyć własną ich interpretację. Powodem — drukowany obecnie w „Pracach Polonistycznych" esej pt.: „Powieść jako samopoznanie". Nie chcę przytaczać jego fragmentów w tym miejscu. Chciałbym się też ustrzec przed okazjonalnymi, stereotypowymi formułkami, jakimi tradycja naszego życia literackiego (i nie tylko) nakazuje posługiwać się w podobnych sytuacjach.

Powiem więc tylko o tym, co Wandę Karczewską jako pisarkę, autorkę powieści i opowiadań, wierszy i dramatów, nurtuje najgłębiej. Niejednokrotnie zresztą wypowiadała się na ten temat sama, może więc i tym razem lepiej po prostu przypomnieć jej słowa. W programowym wyznaniu sprzed lat dwudziestu pisała:

> głos mój (...)
> by sam siebie nie zaprzeć,
> gorycza się dławił zatrutą,
> drwiną i gniewem płonął...

Gorycz, drwina, gniew i wiele innych odczuć nie są obce tej twórczości, która — najogólniej mówiąc — stara się badać, czym jest kondycja ludzka, na czym polega sytuacja egzystencjalna współczesnego człowieka, w jakie konflikty jest on uwikłany, a w jakie wikła się sam? Pisarstwo to stara się poznać i pokazać człowieka w całej jego złożoności, w skomplikowaniu, ale i w prostocie. Brzmi to paradoksalnie, lecz z pozoru tylko. Nie ma tu sprzeczności. Bo dla autorki „Wizerunku otwartego" i „Głębokich źródeł" z każdej, najtrudniejszej nawet, sytuacji wyjściem jest z jednej strony autoszyderstwo i drwina oraz rozumny dystans z drugiej. Jeśli nie wyjściem, to z pewnością pomocą, ułatwiającą znalezienie prawdziwego sensu w tym wszystkim, o czym myślimy, co czynimy, co zamierzamy.

Jest to twórczość, zwłaszcza zaś proza, wielofunkcyjna. Pełni rolę narzędzia poznawczego zarówno w przypadku czytelnika, jak i w podobnym stopniu wobec autora, bo bada możliwości literatury, jej szanse i ograniczenia. Spełnia funkcje dydaktyczne — poucza bowiem jak żyć uczciwie, nie cierpiąc jednocześnie zbyt wiele, uczy odpowiedzialności obywatelskiej. Budzi w czytelniku niepokój moralny, uczula na istotne problemy epoki. Kpi wreszcie niemiłosiernie z wszelkich wynaturzeń, jakie towarzyszyć mogą działalności artystycznej. Ostrzega przed niebezpieczeństwami mitologizacji.

Od bez mała ćwierćwiecza domeną Wandy Karczewskiej stała się proza. W niej autorka „Weekendu w Riverside" wypowiada się najchętniej i najdokładniej, wykorzystuje rozmaite zdobycze formalne: posługuje się poetyką dzieła otwartego, wprowadza utwór do utworu, zmienia, unowocześnia konwencje, doskonali sztukę narracji.

Karczewska stosunkowo często cofa się w przeszłość — odbywa literacką wędrówkę w czas utracony. Porządkując zdarzenia odległe, przyglądając się minionemu, rozpamiętując na nowo godne baczniejszej uwagi sytuacje, konfrontuje pisarka zdobytą w ten sposób wiedzę o świecie z intuicyjną mądrością, jaką dziedziczymy po przodkach. Tak oto poszukuje systemu autentycznych wartości, wartości niepodważalnych. I znajduje je. Nie w literaturze, która jest wprawdzie formą istnienia Niezniszczalnego, lecz dla egzystencji ludzkiej ma znaczenie jedynie pomocnicze. Znajduje je w „dobrze przeżytym ludzkim życiu, którego nie zżera egoizm, egotyzm, ambicja i próżność wytrawiające człowieka na popiół".

Wanda Karczewska należy do tych twórców, dla których działalność literacka nie ogranicza się tylko do pisarstwa. Uzupełnia je zawsze aktywnym udziałem w pracach różnych instytucji kulturalnych, pełniła wiele funkcji w Związku Literatów Polskich, współrealizuje program Domu Środowisk Twórczych. Jest laureatką licznych nagród i wyróżnień. Laurem ostatnim była tegoroczna nagroda literacka naszego miasta.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Z okazji 65-lecia Wanda Karczewska otrzymała życzenia i kwiaty od politycznych i administracyjnych władz miasta oraz od środowiska literackiego. Do życzeń tych dołącza się nasz zespół.

Red.

WANDA KARCZEWSKA

POEZJA

Ja nie przemijam, ani ja umieram,
trwam — w kropli tworzącej strugę czasu,
potrzebna w alfabecie litera,
dźwięk własny w pieśniach
płynących od Jana z Czarnolasu.

Ja nie powstaję jak przelotna iskra,
lecz jak daleka planeta jaśnieję,
jedna z tych które lśnią u dyszla
Wielkiego wozu, tworzą Kasjopeję.

To cóż, że głos mój, pragnąc być zawsze
z Utrilla barwą przyćmioną,
z fug Bacha — spokojną nutą,
nieraz by się sam siebie nie zaprzeć,
goryczą się dławił zatrutą,
drwiną i gniewem płonął.

Kto wie, jakie wybuchy tworzyły
kosmiczne ciała,
nim te ucichły by świecić już blaskiem zimnym.
Będę jak gwiazda wystygła — trwała
pośród gwiazd innych.

Łódź 1957

Zdjęcie z roku 1957.

UROBORO

1.

pamięci Ojca

Już kret ciął jego korzenie istnienia
i robak drążył od zalążni owoc
słońce od spodu zachodziło pleśnią
kiedy on zanim wszedł na szczyt swej góry
skąd tylko zejście następuje w otchłań
wybuchnął nagle niczym szrapnel w locie
ogniem istnienia tak ostro stężonym
w jednoczesności przeżywania na raz
wszystkiego znowu od dnia swych narodzin
że zdarł zasłonę tę pomiędzy trwaniem
a umieraniem

Napięciem sił ją zniszczył Ostrym odczuciem
barw lśnień zapachu i dotyku wiatru
skóry jabłek kobiecych włosów smaku trawy
kryształu świtów form wszelkich radości
brył wielokształtów
aż sam
stał się najczystszą świadomością trwania

Górą szedł obok powietrzem i kołem
i ziemi wnętrzem płynął rzek dnami
w ogniu był i w kamieniu w ciepłej krwi zwierzęcej
w soku był winorośli w rybie był i w soli
w Nieskończoności

Kalisz 1966
(fragment poematu)

Wąż Uroboro, symboliczny znak czasu.

* * *

Dawno już ostro-rwący wiatr
osmagał liście moje,
korzeniom lata dały hart,
że mocno w ziemi stoję.

A przyjdzie nieprzyjazny dzień
i krzów mizernych głupie syki,
sama osłonę sobie dam
z mej pieśni i muzyki.

Złamią lub wydrą z ziemi — ja
na piachach też wyrosnę,
zadepczą — to ze szczelin skał
wstanę jak górska sosna.

„Wkładali prześladowcy miecz
nieraz pieśniarzom w rany,
i śladu nie ma po nich — lecz
jest pieśń prześladowanych".

Poznań 1949 r.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

* * *

Tyle światów mój Boże czeka na
zmartwychwstanie

Świat Juliusza Cezara
i świat Robespierre'a
Państwo Ludwik XIV
i państwo Kowalscy
błogosławieni cisi
o których nikt nigdy i niczego

A światy nie mają okien
A światy są całkiem osobne
Więc jak rozstrzygniesz mój Boże
jak dokonasz wyboru
Takie to czasy gdy nikt
nikomu nie dowierza
a tu tyle światów
tyle światów czeka na zmartwychwstanie

* * *

Narodził się Bóg malutki
Bóg tłuściutki różowiutki
Aniołowie mu śpiewają
jakich oko nie widziało
Kupiliśmy z mężem naszej
córce choineczkę małą

Narodził się Bóg milutki
Bóg tłuściutki i różowiutki
Aniołowie mu śpiewają
jakich oko nie widziało
Kupiliśmy naszej córce
na choinkę gwiazdkę białą

I nikt Jego się nie boi
U drzwi Jego nikt nie stoi
Nasza córka swą choinkę
włosami Aniołów stroi

Wniebogłosy Mu śpiewają
jakich oko nie widziało
Bo odfrunie krew od ciała
I odfruną z ciała kości
W swym okrutnym człowieczeństwie
Bóg dorośnie do boskości

* * *

Mówisz: to Dobro a to Zło
i słyszysz głuchy śmiech z daleka
Lecz na Zachodzie moich ziem
na siebie z latarenką czekam

Nocy się boję Śmierci boję
i z krzykiem budzę się nad ranem
Ale na wschodzie moich ziem
są usta me niecałowane

Przeszłości moja Czyś ty była
Czyś po pokojach tych chodziła
Przeszłości moja czyś się śmiała
kiedym na cały głos płakała

Przeszłości moja Czy ja byłam
Czy dziś się sobie wymyśliłam
i jestem tu i tam i wszędzie
A jutro nigdzie mnie nie będzie

Lecz jeśli nie ma obu nas
i nikt nie śmieje się z daleka
to na zachodzie moich ziem
też z latarenką będę czekać

RZECZ KRAKOWSKA—RZECZ POLSKA

Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

typ średniowiecznego miasta na planie regularnej szachownicy, z rynkiem będącym największym w Europie średniowiecznej świadomie ukształtowanym architektonicznym wnętrzem.

Zabytkowy zespół Krakowa w obecnej postaci jest zatem strukturą złożoną z kilku jednostek (Wzgórze Wawelskie, centrum z rynkiem, Kazimierz, Kleparz i Podgórze), powiązanych ze sobą historycznym układem dróg, jednostek, które kształtując się w ciągu dziewięciu wieków stworzyły jeden integralny organizm miejski. Co zaś jest w tym wszystkim najważniejsze: **ORGANIZM TEN ŻYJE!**

Fakt przetrwania i zachowania całego zespołu w stanie autentycznym, z funkcjonującym do dzisiaj staromiejskim centrum, będącym obecnie administracyjnym, handlowo-usługowym i kulturalnym ośrodkiem życia ponad 700-tysięcznego miasta i ponad milionowej krakowskiej aglomeracji miejskiej jest — rzecz jasna — niezwykłą rzadkością. I źródłem olbrzymich trudności oraz dylematów, przed jakimi fakt ten postawił twórców odnowy Krakowa. Przyznać trzeba, że zadanie mają oni arcytrudne.

Rewaloryzacja Starego Miasta jest bowiem problemem, którego nie da się w tej chwili oderwać od całokształtu spraw związanych z rozwojem krakowskiej aglomeracji miejskiej, od dalszego jej przestrzennego zagospodarowania.

Mówi inż. dr **Krystian Seibert** — Główny Architekt Krakowa:

— Dziesięć lat temu rewaloryzacja to był po prostu remont budynków. Dzisiaj rewaloryzacja jest kompleksową odnową całych zespołów miejskich. I czymś więcej, niż tylko „naprawianie domów". Elementem akcji rewaloryzacyjnej starej części Krakowa stało się pełne, kompleksowe zagospodarowywanie nowych dzielnic miasta — organiczna dekoncentracja dawnego centrum.

Doceniły tę konieczność najwyższe władze. Dlatego historyczne już dziś **uchwały Biura Politycznego KC PZPR i Rady Ministrów** — z 1974 roku — w sprawie ochrony zabytków Krakowa w latach 1976—80, określiły równocześnie założenia i kierunki dalszego, dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego krakowskiej aglomeracji miejskiej.

NA CZYM POLEGA ZWIĄZEK

rewaloryzacji zespołów zabytkowych z przemianami, jakim musi ulec cała aglomeracja?

Przede wszystkim odnowa starego Krakowa jest niemożliwa bez uwolnienia go od szeregu uciążliwych funkcji, które pełnił przez wieki — do dzisiaj. By to się jednak mogło dokonać, a więc by było możliwe kompleksowe uporządkowanie urbanistyczno-architektoniczne zespołu staromiejskiego bez szkody dla rozwoju całego Krakowa, konieczne są liczne posunięcia w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, komunikacji, handlu oraz usług. Musi nastąpić to, co krakowscy urbaniści nazywają **„dekoncentracją aktywności na zewnątrz"** — poza Stare Miasto.

Co się pod tym kryje? Ujmując rzecz najprościej chodzi o to, że ci wszyscy mieszkańcy, którzy opuszczą Stare Miasto, którzy przestaną być pracownikami i klientami skupionych w dotychczasowym centrum instytucji, zakładów przemysłowych, biur, sklepów i placówek usługowych, muszą przecież gdzieś pracować, mieszkać i robić zakupy.

Plany dalszego zagospodarowania Krakowa zakładają więc dynamiczny rozwój aglomeracji. Najważniejsze, konieczne elementy tego rozwoju to:

— rozbudowa istniejących i budowa nowych osiedli satelitarnych w rejonie Nowej Huty, Skawiny i Płaszowa,

— połączenie tych osiedli z zakładami pracy — istniejącymi i nowo wybudowanymi — siecią komunikacyjną, na którą złożą się: objazdowy system dróg dla transportu samochodowego wokół centrum Krakowa, nowe przystanki kolejowe, zamknięcie ruchu na Starym Mieście i ograniczenie komunikacji w centrum do częściowo podziemnych linii tramwajowych, które około roku 2000 stworzą sieć połączeń odpowiadającą warunkom niezbędnym wprowadzenia metra,

— stworzenie szeregu centrów handlowych w rejonie nowych osiedli — dla odciążenia Starego Miasta, które w tej chwili jest praktycznie największym domem towarowym Krakowa,

— modernizację systemu ciepłowniczego centrum: z węglowego na gazowy, bezdymny, akumulacyjny i — tam gdzie to będzie możliwe — na ogrzewanie z komunalnej sieci cieplnej. By jednak to ostatnie było możliwe, konieczna jest dalsza rozbudowa istniejących elektrociepłowni i budowa wielkiej EC w Przewozie k. Krakowa.

W tych punktach streszcza się ogrom zadań, jakie wyniknęły z faktu rozpoczęcia kompleksowej odnowy Starego Miasta. Odnowy nie o interwencyjnym, prowizorycznym charakterze. Odnowy kompleksowej, a więc — wyczerpującej.

TAKIE KOMPLEKSOWE SPOJRZENIE

na problemy Krakowa było — u schyłku lat siedemdziesiątych — konieczne, choć przecież trzeba oddać sprawiedliwość tym, którzy już wcześniej umieli dostrzec problemy tego miasta.

Kraków był pierwszym ośrodkiem w Polsce, w którym powołano urząd konserwatora zabytków. Z jego inicjatywy opracowano programy rewaloryzacji Krakowa oraz zabezpieczono przed zniszczeniem najcenniejsze obiekty. Działalność określaną mianem „rewaloryzacji" zapoczątkowano w Krakowie w 1961 roku w oparciu o specjalną uchwałę Rządu. To prawda, że ówczesne prace w starym Krakowie miały głównie interwencyjny charakter. Ale prawdą jest również, że podjęte w latach 1961—74 starania przyniosły wiele trwałych efektów, jak:

Odnowienie Wawelu, położenie nowej nawierzchni na Rynku Głównym, renowacja Wieży Ratuszowej, Barbakanu, Bramy Floriańskiej, kościoła św. Wojciecha, Collegium Maius i innych obiektów. W sumie wydano w tym okresie na ratowanie Krakowa 1,5 mln złotych.

Ale to oczywiście było jeszcze za mało. Zbyt wiele bowiem czynników wpłynęło w ciągu kilku wieków niszcząco na najstarszą część miasta. W dawnych czasach do trwałych szkód przyczyniły się wojny szwedzkie i rabunkowa gospodarka zaborców. Niewłaściwe użytkowanie zabytkowych domów, brak remontów kapitalnych, nie przemyślane nadbudowy, nadmierne zagęszczanie tandetnie i licho budowanych — w rejonie średniowiecznych działek — oficyn (zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku) — oto niektóre przejawy złej polityki.

O innych przyczynach niszczenia Krakowa sporo już pisano. Kraków ma bardzo nieuregulowane stosunki hydrologiczne. Klimat ma jeden z gorszych w Polsce, miasto leży w niecce, do której rzadko docierają silniejsze wiatry. Od czasu spiętrzenia Wisły jazem w Dąbiu i Przewoziu stan wód na rzece podwyższył się o ponad trzy metry, a wraz z nim — poziom wód gruntowych w okolicach Krakowa. Wilgoć zagraża zabytkom od dołu, szczególnie że wiele z nich zlokalizowanych jest na dawnych kanałach blokowych i próżniach chłonnych.

Najbardziej znaną grupę przyczyn zagrożenia Krakowa stanowią skutki szybkiego i niekontrolowanego rozwoju komunikacji miejskiej, przemysłu i motoryzacji. Szkodliwe dla starych murów są drgania i wstrząsy wywoływane przez ruch tramwajowy i samochodowy. W okolicach Krakowa, a i w samym mieście wzrosła liczba zanieczyszczeń atmosferycznych. W mieszkaniach zabytkowej części miasta używa się — i co gorsze będzie się jeszcze używać — ok. 40 tysięcy pieców opalanych kiepskim, mocno zasiarczonym węglem.

Coraz więcej gazów i pyłów emitują krakowskie i podkrakowskie zakłady przemysłowe. Nieomal symboliczny pod tym względem jest plujący czarnym dymem komin „Polfy" w najbliższym sąsiedztwie Wawelu: ten mało budujący obrazek można zobaczyć na znanym filmie A. Bochenka — „Warstwy czasu". Ale także — w samej naturze.

Od pyłów, spalin i gazów niszczeje powierzchnia zabytkowych budowli. Rzeźby i detale kamienne osypują się w pył, zamieniają się — na powrót — w bezkształtny kamień.

DO TYCH ZNANYCH PROBLEMÓW

dołączyły się nowe, te, które wyniknęły już podczas rozpoczętych przed trzema laty na wielką skalę prac rewaloryzacyjnych. Są to kłopoty, które stały się powodem zahamowań i opóźnień w pracy instytucji odpowiedzialnych za odnową Krakowa. W uświadomieniu władzom i społeczeństwu tych trudności wielką rolę odegrała kampania, która przetoczyła się w 1978 roku przez środki masowego przekazu (o potrzebie ratowania Krakowa pisały również „Odgłosy" — w nr 7 i 30 z 1978 r.).

Okazało się bowiem, że nie wszystko da się wcześniej przewidzieć. Zakres prac w niektórych obiektach jest większy niż planowano. Spowodowały to odkrycia konserwatorskie i archeologiczne dokonywane w trakcie remontów. Z tego właśnie powodu uległ wydłużeniu m. in. cykl prac w słynnym „Wierzynku". Odkryto tam elementy o dużej wartości, m. in. ponad barokowym sklepieniem piękny, gotycki, drewniany strop. Te odkrycia wymagają dodatkowych badań, a często stawiają konserwatorów przed podstawowym dylematem: co wyodrębnić i pozostawić na miejscu, a co — jeżeli się da — przenieść do muzeów? Niektórych decyzji pozazdrościć mógłby konserwatorom... Salomon.

A jest nad czym dyskutować. Każdy dzień, każda niemal kamieniczka przynosi nowe odkrycia. Razem z nimi wzrasta liczba tzw. ruchomych zabytków. Na około pół miliona oblicza się w tej chwili liczbę wszystkich malowideł ściennych, detali architektonicznych i elementów rzeźbiarskich, dekoracji sztukatorskich, stropów, elementów stolarki drzwi i okien oraz ślusarki artystycznej, sprzętów i wytworów dawnego rzemiosła.

Nieprzewidziane trudności wywołała również obecność wielu nieczynnych dołów chłonnych, kanałów blokowych, próżni i osuwisk. Przed remontem Pałacu Saskiego przy ul. Solskiej, gdzie mieści się hotel „Juwentur", przygotowano całą dokumentację z wyjątkiem badań podłoża. I co się okazało? Ano, że w kilku miejscach fundamenty wiszą w próżni. Teraz podbijają te fundamenty — na głębokości 15 metrów pod ziemią i w bardzo trudnych warunkach — górnicy z Bytomia. Termin ukończenia prac przesunął się jednak o dwa lata.

Podziemny świat Krakowa ma więc — jak widać — wcale niemały wpływ na to, co dzieje się na powierzchni. Zniszczenia kanałów są tak duże, że w niektórych miejscach jak np. pod ulicą Franciszkańską — widać było przez prześwitujące stropy... tramwajowe szyny. Obecnie w zabezpieczeniu kanałów współpracują górnicy i naukowcy. Utworzono Zespół do Spraw Zabezpieczenia Podłoża — pod kierunkiem wybitnego specjalisty prof. **Zbigniewa Strzeleckiego** z AGH.

Inne problemy nastręczają wykwaterowania lokatorów zabytkowych pomieszczeń. Poza obręb Śródmieścia trzeba wyprowadzić wiele uciążliwych zakładów przemysłowych i usługowych, składów i magazynów. Ograniczenia inwestycyjne nie pozwalają na budowę wystarczającej liczby nowych obiektów. A tymczasem miastu potrzeba rocznie średnio 10 tysięcy metrów kwadratowych dodatkowej powierzchni.

Nie uregulowano jeszcze zasad gospodarki opuszczanymi lokalami. Zabytkową substancją Krakowa administruje w tej chwili kilkuset właścicieli! Przy tym nie dają oni gwarancji właściwego utrzymania tych obiektów. Stąd budynki zabytkowe będą stopniowo przejmowane przez państwową administrację. Jest sprawą oczywistą, że obszar staromiejski Krakowa, uznany za dziedzictwo kulturalne całego narodu, powinien i w rozumieniu prawnym stać się jego własnością.

O skutkach innych niedomagań w biorstw zaangażowanych w rewaloryzacji — naczelnik dzielnicy Śródmieście i pełnomocnik prezydenta miasta do spraw odnowy Krakowa w jednej osobie — mgr **Wojciech Hydzik:**

— W trakcie prac uwidocznił się brak koordynacji wszystkich zaangażowanych w akcję przedsiębiorstw. W wielu punktach rozszerzano sztucznie front inwestycyjny, tak że w końcu przekroczył on możliwości przerobowe wykonawców. W efekcie wiele budynków, w części już wykwaterowanych, zbyt długo czekało na ekipy remontowe. Sprzyjało to między innymi rabunkom zabytkowych wnętrz. Z innych przyczyn opóźnień trzeba wymienić system wewnętrznych rozliczeń przedsiębiorstw, który promował w niekorzystny sposób proste, a kosztowne czynności budowlane. Kłopotliwą zaś „wykończeniówkę" odkładano często na plan dalszy...

Dzisiaj władze Krakowa i przedsiębiorstw zaangażowanych w rewaloryzację zapewniają, że cały proces został w dużym stopniu skoordynowany. Nastąpiła koncentracja robót na najważniejszych odcinkach. Uporządkowano i przyśpieszono zapóźnione remonty...

Naczelnik **W. Hyzik** stwierdza:

— Odeszliśmy od dyskusji tłumaczących niemożność wykonania, obowiązują dyskusje prowadzące do pozytywnego efektu.

A skoro tak, to

PRZYJRZYJMY SIĘ CO JUŻ ZROBIONO

dla ratowania Krakowa i nad czym pracuje się dzisiaj.

Na czym — w największym skrócie — polega „kompleksowość" podejmowanych w akcji rewaloryzacyjnej prac?

Między innymi na tym, że — jak wyjaśnia dyrektor Wydziału Ochrony Zabytków UM Krakowa mgr **Jerzy Kossowski** — porządkowanie zabytków odbywa się w kolejnych sektorach urbanistycznych (Stare Miasto, Wawel, Kazimierz ze Stradomiem, Podgórze), a w ich obrębie — w tzw. „blokach" zabudowy, obejmujących obszary obrzeżone czterema ulicami (kwartały). Przed przystąpieniem do remontu przeprowadza się w poszczególnych blokach wiele niezbędnych prac: od inwentaryzacji i badań geologicznych począwszy, przez ekspertyzy specjalistyczne: konstrukcyjne i mykologiczne, aż do badań archeologicznych i konserwatorskich.

Wszystkie one wymagają przygotowania pełnej dokumentacji — dla każdego obiektu. Nie można zapomnieć o żadnym z elementów (tak jak zapomniano w kilku wypadkach o badaniach podłoża). Jasne więc, że sam proces przygotowawczy musi być długi. Na przykład konserwatorzy muszą wziąć pod uwagę, że w każdym wypadku będą mieli do czynienia nie z jakimś jednolitym stylem ale z nastręczającą moc problemów naukowych — istną mozaiką stylów. Przedmiotem ochrony konserwatora są natomiast elementy od gotyku po XX wiek.

Co już konkretnie w Krakowie zrobiono? Niech mówią liczby.

W okresie od rozpoczęcia realizacji uchwały Rady Ministrów wykonano w staromiejskiej dzielnicy Krakowa 31 kompleksowych remontów budynków, 28 remontów częściowych oraz prace elewacyjne na głównych ciągach handlowych i usługowych Starego Miasta. Wydano na ten cel ok. 600 mln złotych, przy czym gros tej kwoty przypada na lata 1976—77.

Spośród ważniejszych efektów tych prac trzeba wymienić: **Sukiennice, Kramy Dominikańskie, budynki zabytkowe — Mały Rynek 4** (siedziba KMPiK, **Stolarska 15** (siedziba Konsulatu Francuskiego), **Wiślna 2** (siedziba klubów twórczych „Kuźnica" i „Forum") i in. Po kompleksowym remoncie oddano tylko 9 kamienic. O tym, że to jeszcze jest niewielka liczba niech świadczy fakt, iż **w obrębie Plant i Kazimierza** zinwentaryzowano i zakwalifikowano do ochrony konserwatorskiej aż 460 obiektów architektury. I wszystkie one muszą zostać odnowione.

Osiągnięcia roku 1978 mogą jednak budzić optymizm. W roku tym plan rzeczowy (a nie tylko finansowy!), obejmujący remont 41 obiektów, w tym 9 w kompleksowy sposób zostanie — po raz pierwszy — wykonany. Do końca października 1978 r zrealizowano bowiem aż 93,6 procent rocznego planu — kosztem 340 milionów złotych.

Zakończone zostały kompleksowe remonty w kamienicach: przy ul. Floriańskiej 11, na Starym Rynku 14 („Dom Polonii"), przy ulicy Kanoniczej 5 i 7, Szewskiej 4 i Brackiej 13. Wykonano również 12 remontów częściowych i odnowiono 9 elewacji.

Aktualnie prace rewaloryzacyjne koncentrują się w bloku 25, tj. w czworoboku ulic: **Stolarskiej, Siennej, Rynku Głównego, Grodzkiej, Placu Dominikańskiego**, oraz w bloku 30, tj. w czworoboku ulic **Grodzkiej, pl. Wiosny Ludów, Brackiej, Rynku Głównego** oraz w rejonie **ulicy Kanoniczej**, która niebawem stanie się głównym placem budowy. Przygotowuje się roboty w następnym bloku (4) oraz modernizację oświetlenia ulic w obrębie Plant.

W projektach prac na lata 1979—80 przyjęto zasadę rewaloryzacji selektywnej. Oznacza to koncentrację prac w wymienionych blokach przy równoczesnym wykonywaniu robót remontowych w obiektach szczególnie zagrożonych. W okresie tym planuje się odnowić dwa razy tyle obiektów, co w latach 1976—77. Łączne nakłady finansowe wyniosą 702 miliony złotych, co stanowi 20-procentowy wzrost w stosunku rocznym (w całym planie 5-letnim przeznacza się na rewaloryzację 1 mld 400 mln złotych).

Dzięki tym nakładom wyremontuje się i zabezpieczy 44 obiekty, zaś rozpocznie się remonty w 68 obiektach. Wśród ważniejszych obiektów zaplanowanych do ukończenia i oddania znajdują się: **hotel „Pod Różą", budynki przy ul. Mikołajskiej 2 i 4, Stolarskiej 7, zespół oficyn w Małym Rynku 2 i 4, i przy ul. Mikołajskiej 3, Wieża Marjacka**, która na razie opleciona jest misternie koronką rusztowań, budynki przy ulicach **Kanoniczej 6 i 9, Siennej 7 i przy Rynku Głównym 15/16.**

Perspektywiczne plany przewidują, że w latach 1981—85 nakłady na rewaloryzację Krakowa wyniosą 1,5 mld złotych. Kapitalnymi remontami obejmie się kolejne cztery kwartały średniowiecznej zabudowy w obrębie Plant. Program na te lata przewiduje również początek prac na **Kazimierzu** — w rejonie ulic Szerokiej, Kupa i Augustiańskiej. Niezależnie od rewaloryzacji obiektów mieszkalnych, kontynuowane będą prace konserwatorskie w innych zespołach i budynkach zabytkowych: **na Wawelu, w kościele Mariackim, kościele św. św. Piotra i Pawła, w zamku w Niepołomicach i Krzeszewicach, w Pałacu Decjusza w Woli Justowskiej, Pałacu w Karniowicach, Dworze w Braniewicach** i in.

Z dotychczasowych analiz wynika, że przerób w ramach odnowy zespołów zabytkowych Krakowa powinien wynosić rocznie średnio pół miliarda złotych. Jest to — jak stwierdzają specjaliści — wielkość optymalna, jeżeli przy tym chce się zachować wydolność funkcji **Starego Miasta** jako handlowo-usługowego centrum. Oczywiście — do pewnego tylko czasu.

W samym tylko obrębie **Plant** znajduje się 38 „bloków". Przy założeniu kompleksowej realizacji programu odnowy Krakowa i średnio pięcioletnim okresie rewaloryzacji jednego „bloku" urbanistycznego, co roku powinno się oddawać jeden gotowy „blok".

Ponieważ „bloków" przeznaczonych do rewaloryzacji jest w sumie 80, łatwo obliczyć, że cały proces rewaloryzacji zabytkowego centrum Krakowa potrwa około 80 lat. Czytającym te słowa (a i piszącemu je...) nie dane więc już będzie ujrzeć perłę miast w jej nowej szacie.

Czytelnika zainteresuje jednak zapewne, co znajdzie się w odnowionych pomieszczeniach. Otóż większość z nich — i jest to chyba słuszne założenie — przeznaczy się dla stowarzyszeń twórczych, organizacji kulturalnych, oświatowych i społecznych, placówek naukowych, a także handlowo-usługowych i rzemieślniczych, przede wszystkim naturalnie związanych z turystyką. Coś się przecież tym pięciu milionom turystów odwiedzających w roku Kraków należy. Szeregu sklepów związanych tradycją ze Starym Miastem nie można było przenieść. Tradycję kupiecką uszanowano pozostawiając na starym miejscu znany w Krakowie **Sklep Szarskiego.** Podobny los spotka inne, równie renomowane firmy.

Po usunięciu licznych, a znajdujących się w fatalnym stanie technicznym oficyn — z przełomu XIX i XX wieku — zabytkowe podwórce gotyckich, renesansowych i barokowych kamienic staną się większe i jaśniejsze. Myśli się o tym, by ożywić je wewnętrznymi ciągami handlowymi w rodzaju istniejącego już **Pasażu Bielaka.** Inny przykład. Poprzez „blok" 4 prowadziła przed laty wewnętrzna uliczka. Projektanci proponują przywrócić ją i wykorzystać na cele handlowe. Przybyłby w ten sposób Staremu Miastu jeszcze jeden uroczy zaułek. Takich możliwości już teraz zauważa się więcej (np. w niektórych podwórkach — po przykryciu ich dachem — powstaną tzw. „ogrody zimowe"). Stare mury z wolna odsłaniają swoje tajemnice. Będzie ich coraz więcej.

„CRACOVIA TOTIUS POLONIAE URBS...

— głosi napis na murze siedemnastowiecznego **Pałacu Wielopolskich**, w którym dziś ma swoją siedzibę Urząd Miasta, przypominając czasy, gdy Kraków był stolicą Polski. Wielu mieszkańców Krakowa nosi w pamięci ten fragment łacińskiego hasła.

A przecież o tym, że Kraków trzeba ratować, przekonani są wszyscy Polacy. I choć odnowa Krakowa jest — co podkreślił w czasie niedawnego spotkania z dziennikarzami zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR i sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR — **Kazimierz Barcikowski** — sprawą przede wszystkim krakowską, od całego polskiego narodu oczekiwana jest dla niej życzliwość.

Społeczny ruch odnowy Krakowa nie pójdzie na marne. Pierwszym tego dowodem jest fakt przeznaczenia dotychczas zebranych sum na restaurację zabytkowej kamienicy przy ulicy Kanoniczej numer 9. Powstanie w niej **Muzeum imienia Stanisława Wyspiańskiego.**

TOMASZ SOLDENHOFF

Szpilki
Nr 49 (1945) Rok XLIV

KONRAD FREJDLICH

LISTY DO „SZPILEK"

W warszawskim tygodniku **„Szpilki"**, redagowanym przez **Witolda Fillera**, ukazuje się od pewnego czasu cykl publikacji zatytułowanych skromnie **„Listy do Warszawy"** i sygnowanych nazwiskiem **Roman Gorzelski** (Łódź). Znając przebogatą konkursową twórczość Gorzelskiego, zwłaszcza wiersze o tematyce łódzkiej, w której akcentuje szacunek i miłość do rodzinnego miasta można by podejrzewać, że w owych **„Listach do Warszawy"** redakcja **„Szpilek"** nadużyła po prostu nazwiska zawodowego laureata. Ponieważ jednak, mimo upływu czasu, nie ukazał się ze strony **Romana Gorzelskiego** żaden protest, ponieważ **„Listy"** ukazują się w dalszym ciągu, przynosząc nowe porcje błota, nie możemy mieć wątpliwości, że poeta Gorzelski i paszkwilant Gorzelski stanowią tę samą osobę.

Muck fiction

W jednym z osławionych „Listów" Roman Gorzelski zauważa przezornie: **„Pragne przypomnieć, że wszelkie zbieżności dotyczące osób oraz sytuacji są moim czczym wymysłem, czyli przypadkowe. Dlatego ewentualne pretensje instytucji oraz osób bede uważać za bezpodstawne".** Pokrywając w ten sposób tupetem strach przed odpowiedzialnością Gorzelski rozwija swoja metode opluwania i oczerniania wszystkiego, co łódzkie, która można bez najmniejszej przesady nazwać „muck fiction" (od angielskiego: muck — gnój, nawóz, błoto). I jeśli nie dochodzi w niej do perfekcji, to tylko na skutek zbytniej skłonności do dopowiadania, która psuje zamierzony efekt. Gorzelski, który jest na bakier z logiką zapomina widocznie, że „czczy wymysł" to wcale nie to samo co przypadkowa zbieżność faktów. U Gorzelskiego zresztą fakty nie są wcale przypadkowe, tylko dobrane celowo, jak choćby wspomnienie w publikacji **„Hallo, tu Hollyłódź"** o sporze sądowym operatora W(ieżana) z reżyserem F(eridunem Erolem) — okażmy się mniej subtelni od Gorzelskiego i ujawnijmy prawdziwe nazwiska. Pisze on:

„A było to tak — jak twierdzi jedna ze stron w sadzie wojewódzkim. Reżyser miał pomysł, operator miał chody na Łakowej. Od słowa do słowa i napisali arcydzieło, t.j. opowieść pt. „Błaszczyk". Film został przerobiony przez jednego ze współautorów na sztuke teatralna — z pominieciem drugiego. Zadaniem sadu jest odszukanie winnego i ukaranie go grzywna. A tymczasem sale nr 213 w tutejszym sadzie wypełniły popularne postacie znane z filmu, teatru, filharmonii i literatury nie licząc scenografów i ich przyjaciół spod znaku palety. Oraz przyjaciółek. Ten osobliwy „plagiat-show" toczy sie pod dyktando uroczej pani sedziny, która ma szczera chęć wydać sprawiedliwy wyrok, ale gawiedź artystyczno-snobistyczna Hollyłodzi robi wszystko, aby ta rewia niezwykła trwała w nieskończoność."

Niby wszystko prawda, ale kiedy wczytać sie w ten cytat, to człowiek ma jakiś niesmak. Nie dlatego, że niechluistwo jezykowe kwalifikuje po drugie zdanie Gorzelskiego do „Szpilek" właśnie, gdzie jest przecież specjalna rubryka **„To sie nadaje do „Szpilek"**. Bo jak na przykład przeróbić film na sztukę teatralną? Czy pociąć celuloid na drobne kawałeczki i rozrzucać wśród publiczności odwiedzającej teatr? Chciałoby sie też wiedzieć, który to sąd cywilny orzeka kary grzywny, gdyż niezbędna jest interwencja Ministerstwa Sprawiedliwości, aby ukrócić podobnie bezprawne praktyki.

Ale nie czepiajmy sie drobiazgów. Jest przecież coś znacznie poważniejszego, co stawia relacje Gorzelskiego w dwuznacznym świetle wskazując, co najmniej, na nadużycie dobrych obyczajów. Otóż **we wspomnianej sprawie Gorzelski wystepował w sądzie w charakterze świadka jednej ze stron. Druga strona zakwestionowała jego prawdomówność i okoliczność ta jest przedmiotem badania sądu.** Świadek, na którego Gorzelski się powoływał, słów jego nie potwierdził i problem prawdomówności Romana Gorzelskiego przed sądem jest wciąż jeszcze otwarty. Myśle, że do czasu definitywnego wyjaśnienia tej kwestii Gorzelski powinien przynajmniej milczeć na temat procesu, którego stał sie uczestnikiem.

Szkoda zarazem, że redakcja „Szpilek" umieściła w tekście Gorzelskiego karykatury Henryka Kluby, Kazimierza Dejmka i Piotra Hertla. Sposób „włamania" może sugerować, że to właśnie oni maja coś wspólnego ze sporem, o którym tak metnie napisał Gorzelski. A przecież, redaktorze Filler, chyba nie o to panu chodziło?

Ręce opadają

Kiedy sie czyta ciężkie dowcipy Gorzelskiego na temat Łodzi, to nie tyle usta wykrzywiaja sie do śmiechu, ile opadaja ręce. Co słowo, to nieprawda, a w najlepszym wypadku bzdura. Także i ta metoda nie jest moralnie obojętna. Kiedy sie wymyśla jakieś zdarzenie, można nazwać je fabułą. Ale kiedy fabułe te przypisuje sie komuś lub czemuś, to często jest to po prostu potwarza.

Gorzelskiemu wszystko w Łodzi się nie podoba. Można mu współczuć, że musi tu mieszkać, gdzie podlega tylu bolesnym stressom, iż przestał już odróżniać fikcje od rzeczywistości, ślenie od prawdy, pretensje od oszczerstwa.

Gorzelskiemu nie podoba sie na przykład, że w Łodzi wybudowano przejście podziemne prowadzące z Dworca Fabrycznego do hotelu klasy miedzynarodowej „Centrum". W Warszawie nikt nie zwróciłby na to uwagi, bo to rzecz zupełnie normalna i oczywista, ale prowincjusza Gorzelskiego dziwi to i niepokoi. **„Po co je (przejście podziemne) ktoś wymyślił (za wielka forse przecież!) i dla kogo?"** — woła histerycznie Gorzelski. I rozumuje we właściwy mu sposób, a redaktor Filler bezkrytycznie drukuje te eureke: **„Już wiem: dla chuliganów chowających sie tam od deszczu i śniegu. Innych powodów nie widze."**

Ja wiem z kolei, że **„prawdziwa cnota krytyk sie nie boi"**, tylko widocznie różnie się z redaktorem Fillerem poglądami na temat cnoty. Nie uważam na przykład za cnotę bezkrytycznego publikowania „informacji" Gorzelskiego na temat Łódzkiego Domu Kultury: **„Kiedy już jednak zdecydujemy sie przejść tym wyludnionym (i pięknym!) podziemiem — trafiamy wprost na... Hollyłódzki Dom Kultury. Oczywiście, z daleka widać, że to jest to! Ściany odrapane, schody wyszczerbione, z daleka aż kłuje w nozdrza... zapach piwny. HDK musi wyjść sa swoje, dlatego pomaga sobie ruletka i piwem. Aż lek człowieka ogarnia, kiedy ma tam wejść — takie strasza twarze..."**

Przerażenie ogarnia, że można tak otwarcie i bez zmrużenia oczu. Taki tekst, powinno sie omijać z daleka, aby sie przypadkiem nie pobrudzić! Gorzelski tak dalece tuczy sie nieprawda, że nie wychodzi mu to na zdrowie. Czyżby nie wiedział, że Łódzki Dom Kultury od roku znajduje sie w przebudowie, dzięki której zyska dwa dodatkowe piętra. A przecież, mimo prac budowlanych, dalej służy społeczeństwu. To zasługuje przynajmniej na zrozumienie, jeśli nie na pochwałe. Można udawać, że sie nie wiedziało o istnieniu w gmachu ŁDK kawiarni, gdzie bynajmniej nie piwo stanowiło podstawe utargu ajenta. A tak na marginesie jest coś niesłychanie babskiego w tym dopatrywaniu sie w piwie wszystkich mocy piekielnych, nawet gdy sie samemu piwa nie lubi. I tak dalej i tak dalej. Trzeba by prostować każde zdanie. Po prostu ręce opadają.

Spod ciemnej gwiazdy

Gorzelski ma specyficzne poczucie humoru. W **„Liście do Warszawy"** zatytułowanym dodatkowo **„Znaki Zodiaku"** rozwija w całej pełni game swych możliwości, wybijając jedną nute: F jak fałsz. Zastrzega się przecież, **„...W moim wróżeniu nie pomylę sie, bowiem mój horoskop jest sporządzony w oparciu o fakty biorące swój początek w niedalekiej przeszłości, ale swoim zasięgiem obejmujące dzień dzisiejszy. Aha, muszę jeszcze dodać, że moja przepowiednia ma dar sprawdzania sie jedynie w pewnym określonym miejscu na naszym globie, tj. w Łodzi."** Udowodnię za chwile, że jest to humor spod ciemnej gwiazdy, jeśli już mamy trzymać sie znaków Zodiaku.

W horoskopie dla urodzonych pod znakiem Barana Gorzelski robi baranów z Czytelników **„Szpilek"** nie oszczędzając samego Witolda Fillera. Weźmy za przykład dwa pierwsze zdania: **„Wystrzegaj sie spacerów (zwłaszcza nocnych) w okolicy od lat budowanej mozolnie łódzkiej trasy W-Z, gdzie już pare osób straciło swoje mienie (plus pobicie), a jedna nawet straciła życie. Ta gigantyczna pustynia w centrum miasta długo jeszcze bedzie nas straszyć."**

Słowa te opublikowały „Szpilki" 24 września 1978 r. I znów opadaja ręce. 12 grudnia 1978 r. nastąpiło otwarcie Trasy W-Z, w przewidzianym terminie. Z tej okazji **„Dziennik Popularny"** przypomniał:

„Wybudowana arteria komunikacyjna ma 3.150 metrów długości. Jest owocem pracy 21 przedsiebiorstw specjalistycznych, z Kombinatem Robót Drogowych jako generalnym wykonawca na czele. W związku z realizacja Trasy W-Z, biegnącej od alei Włókniarzy do ul. Wysokiej, przekopano 452 tys. metrów sześciennych ziemi, ułożono nawierzchnie o łącznej powierzchni 157 tys. metrów kw., zainstalowano 130 km kabli energetycznych i zużyto 18 tys. metrów sześciennych betonu konstrukcyjnego. Przy budowie i robotach porządkowych łodzianie przepracowali łącznie 72.200 godzin w czynie społecznym."

Gorzelski raczy nas zdankiem: **„Ta gigantyczna pustynia w centrum miasta długo jeszcze bedzie nas straszyć"** i sugeruje, że trasa jest miejscem napadów rabunkowych a nawet morderstw. Tymczasem w czasie całej, prowadzonej w rekordowym tempie budowy, miał miejsce jeden nieszczęśliwy wypadek, kiedy przechodzień wpadł do wykopu ponosząc śmierć. Dla Gorzelskiego nie ma to większego znaczenia, bo żeby przypodobać się redaktorowi Fillerowi wypiera sie nawet treści własnych łódzkich wierszy.

Jak nazwać takie postępowanie pozostawiam domyślności czytelników.

Nie chcemy sięgać do przeszłości i przypominać Gorzelskiemu, że najdelikatniej mówiąc znany jest z fantazjowania na temat własnej osoby, każdemu wolno mieć przecież wygórowane mniemanie o sobie. Mnie zupełnie nie przeszkadza, że Gorzelski jest laureatem 34 nagród państwowych i życze mu jeszcze tednej, choćby III stopnia, bo wtedy trafi do encyklopedii zamiast do annałów curiosów. Ale fantazjowanie na temat drugiego co do wielkości polskiego miasta, które znane jest z ciężkiego ludzkiego trudu, nie jest zajęciem wzbudzającym mój entuzjazm. Raczej budzi mój gniew i sprzeciw. Nie załatwia sprawy zdanko z bogatego repertuaru „dowcipów" Gorzelskiego: **„Ponieważ miasto Hollyłódź nie istnieje, a wraz z nim wszystko, co sie w nim dzieje, jest jedynie konsekwencja naszej koszmarnej wyobraźni."** Aby zdanie to uczytelnić, trzeba usunąć z niego słowo „a", które przez przeoczenie przepuścił adiustator **„Szpilek"**. Zresztą ziejący z tego dziwolągu językowego jad jest widoczny i bez tej poprawki. Gorzelski nie myli sie, gdy stwierdza, że jego pisanina jest **„konsekwencja koszmarnej wyobraźni"**. Ale nawet za taką wyobraźnie trzeba ponosić konsekwencje, o czym zdaje sie redaktor Filler nie uprzedził swego współpracownika.

Są i dobre strony

Gorzelskiemu wszystko sie w Łodzi nie podoba. Dla niego **„Łódź jest zapylona jak nie wiem co"**. **„W łódzkich zakładach pracy masz okazje do częstego zaglądania do kieliszka"**. **„Z miejscami w szpitalach nie jest w Łodzi najlepiej"**. **„Oprócz dnia kobiet, dnia odlewnika itd. w Łodzi będziesz miał okazje jeszcze raz popić: to tu z maniakalnym uporem lansuje się dzień mężczyzny (4 kwietnia) oraz upowszechnia hasło: „kwiaty dla taty"**. Dla Gorzelskiego (skąd te dane?) Łódź zajmuje **„I miejsce w piciu w Polsce!"**. Według Gorzelskiego dziennikarze w Łodzi dają odpór krytyce wezwani do tego przez urzędników z magistratu. **„Wezwano więc paru dziennikarzy z gazet lokalnych i powiedziano im, aby dali „odpór" krytykanckim zakusom pismaków z pism warszawsko-krakowskich. Tak było. Fakt"** — przysięga sie Gorzelski i aż dziw, że ziemia sie przed nim nie rozwarła.

Cytuje te bzdurki na chybił-trafił, na wyrywki, gdyż w każdej publikacji powtarza sie to samo. Można by pomyśleć, że Gorzelski nie pisze, tylko pluje. Albo sie nadyma, kiedy przypisuje sobie jakieś zasługi.

Zresztą twórczość Gorzelskiego nie jest zakłamana aż do końca, zdarzają mu sie swoiste chwile szczerości. Pisze na przykład: **„Przyznaje sie bez bicia, lubie czytać „radosna, infantylna paplanine"(która jak mało która z satyr) jest dowcipem samym w sobie. Tyle tylko, że de gustibus non est disputandum, chciałoby się rzec w coraz modniejszej obecnie łacinie. Czyli: You never can tell. To już Szekspir"**.

Więc jest i Szekspir. Nie na próżno Gorzelski uważa sie za najwybitniejszego polskiego szekspirologa i tłumacza Szekspira (mówił o tym niegdyś w pewnym wywiadzie, który przedrukowywały gazety w kącikach humoru). Szkoda więc, że nie spostrzegł, iż jego obraz Łodzi jest **„infantylna paplanina"** i całkiem nie radosna. Aczkolwiek zdarzaja sie i momenty zupełnie radosne. Wtedy, gdy Gorzelski przyznaje, że Łódź ma także dobre strony. Na przykład działalność **„Estrady"**. Ale to chyba tylko dlatego, że zatrudniony na pół etatu, Gorzelski bierze stamtąd pieniądze.

Może więc magistrat łódzki wyznaczy mu ze swej szkatuły jakieś skromne uposażenie, a wtedy obraz Łodzi na łamach **„Szpilek"** zyska na słodyczy. Ale od takiej słodyczy robi sie mdło.

Jest to najcichsza sala w Zakładach Przemysłu Bawełnianego imienia Feliksa Dzierżyńskiego. Długa, w kształcie prostokąta, oświetlona dziennym światłem wpadającym przez okna od ulicy Piotrkowskiej. Dodatkowo palą się też w niej jarzeniówki zawieszone na długich łańcuchach. Aby opis był pełny trzeba jeszcze wspomnieć o czternastu słupach wspierających wątłą, z racji wieku osłabioną konstrukcję dachu. Długie, proste, nadają sali specyficzny, trochę staroświecki charakter.

Sala zbudowana została w dziewiętnastym wieku, a wielokrotnie modernizowana i przebudowywana tylko w owych niedzisiejszych słupach zdołała ocalić styl dawnych łódzkich fabryk.

W najcichszej sali „Eskima" jest dzisiaj sortownia tkanin eksportowych. Przy długich stołach, na którym rzędami leżą bele różnokolorowych materiałów pracują młode robotnice. Sprawnie przerzucają tkaniny ze stołów na podjeżdżające wózki akumulatorowe. Wykorzystuję chwilę przerwy i podchodzę do stołu, przy którym stoi grupa młodych kobiet.

— Czy wiedzą o tym, że dzisiejsza sortownia była dawniej salą teatralną?

Zakłopotane milczenie, wreszcie któraś przypomina sobie, że kiedyś, owszem, ojciec wspominał coś o teatrze, ale szczegółów nie pamięta.

1.

Coraz mniej łodzian wie, pamięta, wspomina dawny „teatr u Geyera". Prawdą także jest, że niewiele pozostało dokumentów z tamtych czasów. Dokumentów, które wiązałyby się z tą salą.

Niewielu ludzi pamięta początki teatru u Geyera. Nic dziwnego, od tamtego czasu upłynęło ponad pięćdziesiąt lat. Jednym z pamiętających owe czasy jest **Stanisław Trzciński**, były pracownik firmy L. Geyera, a obecnie emeryt i wciąż czynny działacz społeczny. Odznalazłem go po wielu dniach poszukiwań w sądzie wojewódzkim, w którym pełni funkcję ławnika. Udało się nam odtworzyć niektóre fakty sprzed prawie pół wieku. A trzeba było cofnąć się głęboko w czas, kiedy to o teatrze u Geyera nikomu się jeszcze nie śniło.

Bodaj na początku lat dwudziestych powstała tam świetlica sportowo-oświatowo-kulturalna. Mieściła się ona na budynku, stojącym obecnie na skrzyżowaniu dwóch ulic Piotrkowskiej i Czerwonej. W świetlicy działał także silny klub sportowy mający wiele sekcji. Do jednej z nich — lekkoatletycznej — należał także Stanisław Trzciński, wówczas kilkunastoletni chłopak. Trzciński pracował w fabryce Szai Rosenblatta, ale popołudnia i wieczory spędzał w geyerowskim klubie. Świetlica i klub — zwłaszcza klub skupiały bowiem wielu młodych chłopaków z południowych dzielnic Łodzi. Dla niektórych zresztą przynależność klubowa stwarzała możliwość otrzymania pracy u Geyera.

Tak też było w przypadku Stanisława Trzcińskiego. Gdy w 1928 roku wrócił z wojska nie został już przyjęty do fabryki Szai Rosenblatta. Ćwiczył więc w klubie i... liczył po cichu na pracę w firmie Geyera.

Otrzymał ją od samych Geyerów.

Dzięki interwencji klubu otrzymał także dodatkową posadę... kontrolera w teatrze Geyera.

Tak doszło do pierwszego kontaktu Trzcińskiego z teatrem. Ale sala teatralna Geyera działała już wówczas od kilku lat.

2.

Pomysłodawcą założenia sceny teatralnej w fabryce był ówczesny dyrektor administracyjny firmy D. Kuczyński. On to zaproponował zwrócenie się z tą sprawą do dyrektora Teatru Popularnego, **Józefa Pilarskiego**. Pilarski wyraził zgodę i od tej chwili „teatr u Geyera" związał się na wiele lat z nazwiskiem tego zasłużonego artysty.

W dobrze znanych i opisanych dziejach Teatru Popularnego odnaleźć można sporo analogii z losami sceny Geyerowskiej. Przede wszystkim pamiętać trzeba o tym, że Teatr przy ul. Ogrodowej powstał przy znacznym poparciu dyrektora firmy Poznańskiego, Wolczyńskiego, który będą w Radzie Miejskiej miał znaczne wpływy w Magistracie. On to skłonił Radę do wysupłania z chudego mieszka kilku tysięcy złotych na Teatr Popularny.

Poznański zgodził się oddać na sale teatralną jadalnię. Podobnie postąpił Geyer. Aby podobieństwo było tym wyraźniejsze dodam, że w obu salach poczesne miejsca zajmowały słupy (i dotąd zajmują) wspierające konstrukcje dachów.

Dyrektorem obu scen został **Józef Pilarski**. Z tym jednakże zastrzeżeniem, że od początku scena Geyerowska była pomyślana jako druga scena Teatru Popularnego. Tak było wygodniej, a przede wszystkim ekonomiczniej, ponieważ sala Geyerowska nie posiadała ani zaplecza ani odpowiednich warunków scenicznych. W Teatrze Popularnym przeszkadzały w pełnym rozmachu inscenizacyjnym przeklęte słupy, którymi scena była obramowana. Natomiast w sali Geyera słup stał... na środku sceny.

Pilarski zdecydował się na otwarcie drugiej sceny z tych samych względów, jakimi kierował się zakładając teatr robotniczy przy ulicy Ogrodowej. Praktycznie dla publiczności robotniczej zamknięty był ówczesny Teatr Miejski. Wstęp kosztował tam stosunkowo dużo i repertuar nie zawsze bywał atrakcyjny dla mniej wyrobionej publiczności. Oczywiście, miał i Teatr Miejski swoich stałych bywalców wśród łódzkich robotników, ale dla większości Teatr Popularny, z tanimi biletami i urozmaiconym repertuarem stawał się pierwszą okazją do obcowania ze sztuką. Stworzenie takiej samej możliwości na drugim krańcu, Łodzi, wśród murów autentycznej fabryki było bardzo interesującym przedsięwzięciem.

W archiwach Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi odnalazłem utrwaloną na taśmie wypowiedź nieżyjącego już Józefa Pilarskiego. Wspomina on w niej o jeszcze jednym, prozaicznym, lecz ważnym względzie, który zdecydował o otwarciu sceny Geyerowskiej. Scena ta, choć grywano na niej tylko trzy razy w tygodniu przynosiła jednak dochód, liczący się w ogólnym rozrachunku. Tak doszło do powstania sceny Teatru Popularnego w sali Geyera

MIROSŁAW KUŹNIAK

NAJCICHSZA SALA

W 1927 roku Teatr Popularny istniejący już cztery lata był dobrze umiejscowiony w krajobrazie kulturalnym miasta. Wokół Pilarskiego skupiła się grupa dobrych aktorów i reżyserów. Niektóre przedstawienia przyjmowane bywały z entuzjazmem przez robotniczą publiczność. Pilarski postanowił więc przenosić spektakle na scenę Geyerowską.

„Kurier Łódzki" z 2 marca 1927 roku tak oceniał spektakl „Ogniem i mieczem", przygotowany przez zespół Pilarskiego:

„Popularyzowanie najcenniejszych klejnotów literatury polskiej jest nie tylko pożyteczne, ale konieczne: konieczne dlatego, że utwory takie przyczyniają się do podnoszenia ducha, wszczepiają i pogłębiają uczucia patriotyczne, każą kochać przeszłość i wierzyć w przyszłość Narodu. Prawda, że najlepsza nawet przeróbka sceniczna nie zastąpi oryginału, ale prawda i to, że potrafi ona do zapoznania z dziełem zachęcić, co jest bodaj najważniejszym skutkiem tego rodzaju widowisk.

Wystawa sztuki była dosyć staranna. Role odgrywano poprawnie. Bohun p. Bolkowskiego był prawdziwym kozakiem, dzikim, namiętnym P. Puchalski jako Zagłoba posiadał pyszną maskę, ale w grę włożył za mało jowialności, tak koniecznej dla tego sienkiewiczowskiego bohatera".

Mimo zastrzeżeń recenzenta „Ogniem i mieczem" podbiło serca robotniczej publiczności. Zwłaszcza widownia w sali Geyerowskiej była zachwycona spektaklem. Na przedstawienia przychodzono tłumnie, czasem nawet prosto po pracy. **Wojciech Pilarski,** syn Józefa wspomina, jak to podczas bardziej wzruszających scen w sali słychać było westchnienia i... lekie pobrzękiwania baniek. W bańkach tych robotnicy przynosili do fabryki herbatę lub kawę, z nimi także przychodzili po pracy do „swojego teatru".

3.

Próbowałem odnaleźć programy teatralne z tamtych lat. Po długich szperaniach odnalazłem w Bibliotece Uniwersyteckiej jeden program sygnowany nazwiskiem Józefa Pilarskiego. Program nosi numer szósty i zaświadcza, że robotnicza publiczność nie tylko rozrzewniała się miłosnymi perypetiami Jana Skrzetuskiego i pięknej Heleny.

Sam program wart jest szczegółowego opisania, ponieważ odtwarza klimat tamtej epoki. Oto bowiem cieniutki dziesięciostronicowy zeszycik wypełniony jest prawie w całości przez... reklamy, nic nie mające wspólnego z teatrem. Znalazłem wśród nich kwiatki warte uwiecznienia. Najbardziej pomysłową reklamę zaprezentowano na stronie drugiej:

„A gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj, powiedz jej, że ja, siostry, kuzynki, ciotki me, wszyscy moi krewni, znajomi i przyjaciele kupujemy tylko u Leona Rubaszkina Kilińskiego 44".

Zrozumiałe więc, że wśród natłoku reklam prawie zaginęła krótka półstronicowa zapowiedź **„lekkiej komedii w 3 aktach M. Hennegiun'a w PUŁAPCE, reżyserowana przez Józefa Pilarskiego.**

Wśród występujących w tym spektaklu aktorów widzimy **Józefa Puchalskiego, Mariana Bieleckiego, Bolesława Bolkowskiego, Romana Urbańskiego, Sabę Zielińską, Bronisławę Bronowską i Marię Marszycką.**

Publiczność śmiała się i przeżywała przygody Longlumiera, Jakóba de Euglantieres i innych. Jak bardzo zaś przeżywała swoje spotkania z teatrem niechaj zaświadczy opowiedziana mi przez **Wojciecha Pilarskiego** anegdotka, związana z Teatrem Popularnym. Jej bohaterem jest jeden z wielu łódzkich robotników.

— Któregoś dnia do ojca siedzącego w kancelarii teatru wszedł młody robotnik w poplamionej, zakurzonej bluzie — opowiada Wojciech Pilarski. — Przedstawił się: Stanisław Skolimowski. A później nieśmiało wyłożył swoją prośbę. Chciał dostać się do zespołu teatralnego. Ojciec popatrzył na niego z ciekawością.

— Ma pan jakieś wykształcenie? — spytał.

— A jakie trzeba mieć, żeby grać w teatrze?

— No, przynajmniej maturę — odparł Pilarski.

— A jakbym miał maturę, to by mnie pan przyjął?

— Oczywiście — odpowiedział Pilarski.

Po dwóch latach do tej samej kancelarii znowu wszedł młody człowiek w poplamionej bluzie robotnika.

— Jestem Skolimowski — powiedział, ale dyrektor nie poznał go.

— Dwa lata temu powiedział pan, że przyjmie mnie do teatru, jeśli będę miał maturę — powiedział Skolimowski — Proszę, oto świadectwo. Czy jestem przyjęty?

Oczywiście, Pilarskiemu nic nie pozostało tylko przyjąć upartego robotnika do zespołu. **Stanisław Skolimowski** występował przez wiele lat w Teatrze Popularnym, a po wojnie był członkiem zespołu Teatru Nowego, w którym również znalazł się.. Józef Pilarski.

4.

Obie sceny funkcjonowały bez zakłóceń przez kilka lat. W pamięci starszych robotników zapadły niektóre głośne przedstawienia Teatru Popularnego, takie jak „Hanusia" Hauptmana. Ten okres względnej prosperity przerwały lata kryzysu. Teatrom zaczynało brakować widzów, malały wpływy w kasach, aktorom poczęła grozić bieda. Pod koniec lat dwudziestych rozpadło się wiele zespołów, wśród aktorów panowało bezrobocie. Lata kryzysu zbiegły się z konfliktem dyrektora Pilarskiego z właścicielem fabryki przy ulicy Ogrodowej.

Kiedy zakładano Teatr Popularny Poznańscy przebywali z całą rodziną w Paryżu. Po powrocie długo nie interesowali się robotniczą sceną. Podobnie zresztą postępowali Geyerowie. Nikt z żyjących dotąd starych robotników firmy nie może sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek Geyerowie „zaszczycili" teatr swoją obecnością. Zresztą z tego stanu rzeczy zadowolony dyrektor Pilarski i jak później się okazało — miał rację. Bodaj pod koniec 1928 roku Poznański zaczął żywo interesować się teatrem. W końcu zażądał od Pilarskiego przyjęcia do zespołu swojego protegowanego. Pilarski nie zgodził się na to i... sam musiał z teatru odejść. Przez następne pół roku były dyrektor Teatru Popularnego grał na scenie Teatru Miejskiego, ale w końcu zdecydowanie postanowił rzucić zawód aktora. Pomysł był szalony i prawdziwie nie „artystowski", bowiem Pilarski postanowił zostać... rolnikiem. W Pudłowie, koło Poddębic wziął w dzierżawę spore gospodarstwo i całkowicie zerwał kontakt z Łodzią.

Mimo tak radykalnego postanowienia nie udało mu się całkowicie zerwać z teatrem. Oto w ciągu niespełna roku przygotował i wystawił wspólnie z tamtejszą młodzieżą, skupioną w „Wici", trzy przedstawienia: „Hajduczka", „Pana posła" i inscenizowaną pastorałkę.

5.

Co w tym czasie działo się ze sceną Geyerowską? Przejął ją **Roman Urbański,** wieloletni współpracownik Pilarskiego. Nie całkowicie jednak kontynuuje linię repertuarową byłego dyrektora Teatru Popularnego. Panujące bezrobocie i nędza zmniejszyły zainteresowanie robotniczego widza teatrem. Publiczność trzeba więc na nowo przyciągnąć do Geyerowskiej sali. O tym, w jaki sposób zabiegał Urbański o widzów, świadczą anonse z ówczesnej prasy łódzkiej.

„Głos Poranny" z 1930 roku donosił:

„Dziś, wtorek i dni następnych szlagierowa, skrząca się humorem i werwą rewia w 18 obrazach — „Uśmiech Łodzi" — urozmaicona szeregiem kapitalnych atrakcji, tańców i piosenek. Nowo zaangażowany znakomity balet. Udział artysty warszawskiego Junoszy Młyńczyka i nowych sił. Bilety w cenie od 50 gr do 1 zł".

W kilka dni później ukazuje się na tych samych łamach nowy anons, zachęcający do obejrzenia rewii zatytułowanej „Pan ma profil jak Teofil". W tydzien później na scenie Geyerowskiej kolejna premiera rewii „Jeszcze go raz" ze „szmoncesowymi scenami baletowymi".

W gazetach ówczesnej Łodzi wciąż pojawiają się kolejne zapowiedzi rewii, wesołych składanek i „szmoncesowych scenek". Ale i wśród tych anonsów, zajmujących w gazecie niewiele miejsca pojawiają się... reklamy. — Anonse teatralne zamieszczone obok reklam „mydła i powidła" tworzą przezabawne zderzenia. Tak na przykład obok rewii „Całą parą" pojawia się reklama następującej treści:

„Przy cierpieniach serca i zwapnieniu naczyń, skłonności do udaru i atakach apoplektycznych, naturalna woda gorzka „Franciszka Józefa" zapewnia łagodne wypróżnienie bez nadwyrężania się. Żądać w aptekach".

6.

Tylko rok gospodarzył Józef Pilarski w Pudłowie. Już 6 września 1930 roku w **„Głosie Porannym"** wyczytać można następujące obwieszczenie:

„Dziś o godz. 8 m. 15 wiecz uroczyste otwarcie Teatru Popularnego w sali Geyera pod kier. art. byłego dyrektora tej sceny Józefa Pilarskiego. Sezon teatralny rozpocznie wesoła „Podróż po Warszawie" Franciszka Szobera z muzyką Sonnenfelda. Reżyserował Roman Urbański. Ceny od 50 gr do 2 zł".

W 1930 roku Teatr Popularny przy ulicy Ogrodowej stał się oficjalną sceną Teatru Miejskiego. Sala Geyera zaczyna żyć własnym życiem, niezależnym od macierzystej placówki. Pilarski od chwili powrotu kompletował nowy zespół. W jego skład weszli aktorzy zawodowi oraz — nowum w działalności tej sceny — amatorzy. Zespół pracował na zasadzie „działówki", to znaczy podziału zysków ze sprzedaży biletów.

Scena Geyerowska znowu zaczęła ożywioną działalność. Grywano na niej przede wszystkim sztuki bardzo popularne, a więc komedie, farsy i wodewile. Premiery odbywały się bez mała co tydzień toteż nie zawsze stało czasu na głębsze analizy, czy — choćby — pamięciowe opanowanie tekstu sztuki. Pilarski prowadził próby metodą „pokazową", to znaczy często sam wchodził na scenę i pokazywał aktorowi, jak ma grać, wcielając się przy okazji w prawie wszystkie postaci spektaklu, nie wyłączając, oczywiście, kobiecych. Przedstawienie zaś szło „pod suflera", a aktorzy pilnie nadstawili uszu próbując wyłapać szeptane zza kulis kwestie.

Rzecz ciekawa, właśnie z tego okresu scena Geyerowska najgłębiej zapadła w pamięci robotniczych widzów. A był to okres dla aktorów tej — i nie tylko tej sceny niełatwy. Wpływy z kasy były mimo zainteresowania publiczności niewielkie i nie zawsze starczały po podziale na opędzenie bieżących potrzeb. W następnych latach Pilarski chcąc utrzymać zespół zmuszony został do występów poza teatrem. Zaczynają się więc wyjazdy zespołu w teren. W swoich wyprawach przemierzają prawie całą wschodnią i południową Polskę, zapuszczając się aż pod Śląsk. W tym czasie sala Geyerowska stała pustką.

Koniec lat trzydziestych przyniósł coraz rzadsze występy zespołu w sali Geyera. Pilarski częściej zaczął wywozić zespół w najdalsze zakątki ówczesnej Rzeczypospolitej.

Wybuch wojny zamknął ten rozdział działalności teatru. Niemieccy zarządcy fabryki przebudowują dawną jadalnię Geyerowską na stołówkę, urządzając na miejscu sceny teatralnej kuchnię.

7.

Eugeniusz Banaszczyk opowiada, że już na drugi dzień po wyzwoleniu wielu pracowników dawnej firmy L. Geyera zgłosiło się do pracy. Na szczęście można było bez większej zwłoki uruchomić pierwsze sale produkcyjne. Od razu zaczęto myśleć nad odbudową poprzedniej działalności kulturalnej. W zakładzie pozostało przecież wielu dawnych działaczy świetlicy i klubu sportowego. Poza tym był to czas nader sprzyjający rozwojowi społecznego ruchu artystycznego. Dosłownie jak grzyby po deszczu wyrastały zespoły świetlicowe.

Pierwszym kierownikiem nowo otwartej świetlicy został **Stanisław Trzciński,** były lekkoatleta i pracownik sceny Geyerowskiej. Świetlica mogła od razu rozpocząć pracę dzięki **Eugeniuszowi Stępniowi.**

— Któregoś dnia — opowiada Stanisław Trzciński — przyszedł do mnie Stępień i bez wstępów powiedział:

— Staszek, choć do mnie, wydam ci książki.

— Jakie książki? — zdziwiłem się.

— Ano, te z magazynu.

Okazało się, że Stępień przez cały okres okupacji przechowywał w magazynie kilka skrzyń z książkami i sprzętem sportowym. To co ocalało przekazano świetlicy. Można było zaczynać pracę, a chętnych nie brakowało. Jako jeden z pierwszych powołano do życia amatorski zespół teatralny. Wśród założycieli znalazł się syn Józefa, **Wojciech Pilarski.** Ale nie tylko on. Nazwisk pierwszych aktorów-amatorów można byłoby wymienić wiele. Właściwie była to spora grupa pracowników dawnej firmy L. Geyera, noszącej powojenną nazwę PZPB nr 3.

Młodzi entuzjaści znaleźli poparcie u ówczesnego dyrektora fabryki, Radzikowskiego. Nic tedy dziwnego, że już w kilka miesięcy po rozruchu zakładu zespół teatralny przystąpił do prób. Opiekunem i kierownikiem został — jakżeby inaczej — **Józef Pilarski.**

Gdy po latach wspominał ten okres swojego życia zawsze podkreślał niezwykły zapał młodych amatorów teatru. Czy mogło być inaczej, jeśli ton całej grupie nadawał jego syn, od dawna zarażony bakcylem teatru?

Przed premierą nowego zespołu trzeba było przebudować salę. Praktycznie nie istniała już dawna scena teatru Geyerowskiego. W kuchni zainstalowanej podczas okupacji normalnie funkcjonowała stołówka. Po wielu naradach zdecydowano się przenieść scenę w drugi kraniec sali, tam, gdzie dawniej mieściła się galerka. W kilka dni stolarze fabryczni zbili nową scenę, a choć starali się jak umieli i mogli, nie udało się im uniknąć... słupów. Tym razem w obręb sceny weszły aż dwa słupy: jeden za kulisami, niewidoczny od strony widowni, drugi — na środku scennicznego podwyższenia.

W krótkim czasie przygotowano premierę „Ciotki Karola", sztuki, która w trzydzieści lat potem wystawiona już przez zawodowy zespół Teatru 7,15 długo bawiła łódzką publiczność. Po „Ciotce Karola" przyszły następne premiery: „Krowoderskie zuchy", „Wujaszek z Gwadelupy", no, a przede wszystkim „Krzyżacy". Pilarski bowiem powrócił do swoich ulubionych adaptacji prozy sienkiewiczowskiej.

— Podobno — opowiadał Wojciech Pilarski — jeden egzemplarz dokonanej przez Józefa adaptacji „Krzyżaków" wziął nawet Kazimierz Dejmek, ale do przedstawienia — jak dotychczas — nie doszło.

„Krzyżacy" w wykonaniu amatorów były dużym sukcesem. Podczas pierwszego festiwalu robotniczych teatrów amatorskich w Warszawie zespół otrzymał drugą nagrodę. Wojciech Pilarski zaś z uśmiechem wspomina dzisiaj rolę Juranda, tak gorąco przyjętą przez robotniczą publiczność.

W 1947 roku urwał się kontakt Wojciecha Pilarskiego z amatorskim zespołem. Odchodzi z fabryki i zaczyna studia aktorskie, występując jednocześnie w Teatrze Wojska Polskiego. W dwa lata później zostaje przyjęty do nowo powstającego teatru Nowego, gdzie zaczyna występy razem... z ojcem.

Po odejściu Wojciecha Pilarskiego rozluźnia się kontakt Józefa z fabrycznym zespołem. Ci, którzy pozostali jeszcze występują na swojej scenie, a także wyjeżdżają ze spektaklami do wojskowych szpitali w Łodzi i Tuszynku. W 1950 roku sekcja teatralna ostatecznie zawiesza swoją działalność. W sali nadal występują inne zespoły świetlicowe, ale teatru już nie ma.

8.

Mogłoby się wydawać, że na tym zakończą się teatralne dzieje jednej sali w dawnej firmie L. Geyera. A jednak... Tradycje teatralne wypracowane przez Józefa Pilarskiego wciąż były mocne. Po rozpadnięciu się poprzedniego zespołu przyszli do fabryki nowi ludzie, również zafascynowani teatrem. Jednym z nich był **Władysław Winiarski** pełniący od 1952 roku funkcję kierownika świetlicy. Winiarski już przed wojną zetknął się z teatrem Geyerowskim, kiedy to jako widz, najczęściej z galerki, oglądał spektakle przygotowywane przez Józefa Pilarskiego.

Po objęciu kierownictwa świetlicy postanowił reaktywować sekcję teatralną. Wśród młodych robotników nie brakowało chętnych, a co ważniejsze uzdolnionych aktorów-amatorów. Wystarczyło ogłosić nabór ze sceny podczas przerwy obiadowej, kiedy to sala teatralna przeistaczała się w zwykłą pracowniczą stołówkę.

Po pierwszym anonsie wygłoszonym właśnie z tego miejsca do sekcji teatralnej zgłosiło się kilkunastu kandydatów. Zastanawiano się nad wyborem opiekuna sekcji. Józefa Pilarskiego zatrzymywało wiele spraw w macierzystym teatrze, grał dużo ról i nie mógł podjąć się dodatkowych obowiązków. Toteż tym razem wybór padł na znakomitego aktora, **Janusza Kłosińskiego,** również występującego w Teatrze Nowym. Kłosiński zgodził się i przystąpił do pracy. Po kilkumiesięcznych próbach wystawiono „Niedźwiedzia" Czechowa.

Władysław Winiarski bez chwili wahania wymienia ówczesną obsadę tej sztuki. I tak w roli Popowej występowała kierowniczka działu administracji, **Janina Ofmańska;** Smirnowa grał **Edward Sobczyński,** także pracownik zakładu, a w roli służącego wystąpił spawacz **Teofil Pietranek.** Po „Niedźwiedziu" przyszła premiera „Nizin" Orzeszkowej, a prawdziwym sukcesem okazały się inscenizowane Ballady Adama Mickiewicza „Czaty", „Świtezianka" i „Pani Twardowska".

Janusz Kłosiński okazał się wymagającym reżyserem. Próby odbywały się dwa razy w tygodniu wieczorami i w niedzielne przedpołudnia. Z niedzielami było łatwiej, natomiast na próby w tygodniu przychodzili często prosto od maszyny, zmęczeni, nie umyci...

Nikt jednak nie rezygnował z możliwości występowania na scenie. Tworzyli teatr właściwie sami, bez inspicjenta, suflera, bez zaplecza technicznego. Sami zdobywali rekwizyty. Na przykład z gabinetu dyrektora zabrali po-geyerowskie stylizowane „ludwiki", które z czasem stały się ważnym elementem scenograficznym do wielu „salonowych" sztuk.

We wspomnieniach dawnych członków tego zespołu, pracujących zresztą do dzisiaj w fabryce, pozostały perypetie związane z owym słupem stojącym na środku sceny. Przygotowując każdy nowy spektakl starano się wkomponować ów słup w całość scenografii.

Na przykład w „Nizinach" pełnił on rolę... drzewka, na którym bohater sztuki zawieszał sznur od bielizny. Kiedy nie udawało się zagubić gdzieś w tle, po prostu udawano, że go... nie ma. Zresztą z owym słupem mieli kłopoty także znani aktorzy, występujący często na wszelkich uroczystościach w fabryce. Na przykład Walter wygłaszał pod nim swoje sławne monologi, traktując słup jako... uliczną latarnię.

Jednak największe kłopoty z ową zawalidrogą miał fabryczny zespół taneczny. Gdy balet tańczył nie pomagało udawanie, że słupa nie ma, trzeba było dokładnie wymierzyć kroki, aby przy którymś pas nie rozbić sobie o słup głowy.

Przez trzy lata zespół prowadzony przez Janusza Kłosińskiego nabrał sporego doświadczenia. Kłosiński zaczął nawet próby „Komedii omyłek" Szekspira, ale do premiery nie doszło. Z sekcji teatralnej odeszło kilku członków i praca kulała. W 1955 roku ostatecznie uległ rozwiązaniu działający w fabryce zespół teatralny.

9.

I to był już prawdziwy koniec przygody teatralnej, zapoczątkowanej w sali Geyera przez Józefa Pilarskiego. Sala ta przez bez mała trzydzieści lat — z okupacyjną przerwą — służyła aktorom i ludziom zakochanym w teatrze. Opisując poszczególne okresy tej sceny nie sposób nie zauważyć, że — mimo trudności i kłopotów — scena ta mogła działać, ponieważ zawsze znajdowali się w fabryce ludzie urzeczeni teatrem.

A co działo się w późniejszych latach z salą Geyerowską? W roku 1965 decyzją dyrekcji Zakładów Przemysłu Bawełnianego imienia Feliksa Dzierżyńskiego została odebrana domowi kultury. Z braku innych pomieszczeń postanowiono założyć w niej sortownię materiałów eksportowych.

Dzisiaj jest to najcichsza sala w „Eskimo".

Foto: W. Parys

JAN HUSZCZA

TUWIM

Ledwie gwizdnął
a słowa zewsząd się zbiegały
Chciał to deszczem szumiały
chciał to żartowały
chciał to z dziećmi
dokazywały
Choć nie chciał
to łzami się zalewały

A poza tym
uroczy pan
i przy kawie
i przy kieliszku

Po odwiedzeniu Tomaszowa
nazbierajmy dla niego kwiatów
w Inowłodzu

MISCELLANEA TUWIMOWSKIE

Przed kilku laty Jan Janiak w artykule „Kroniko de nia Lodza Esperantujo Włodzimierza Pfeiffera" (Listy Bibliofilskie, Łódź, 1974, s. 54—58) scharakteryzował pokrótce treść niezmiernie interesującego dokumentu, jakim jest ośmiotomowy rękopis kroniki Łódzkiego Oddziału Polskiego Związku Esperantystów z lat 1908—1916, przechowywany obecnie w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego (BUŁ, rps 5005).

Wiadomo, że Julian Tuwim wcześnie zainteresował się językiem esperanto, w latach młodzieńczych przekładał na ten język wiersze Słowackiego, Tetmajera, a głównie nad wszystkich umiłowanego Staffa. Nawet odszukany we wspomnianej kronice ówczesny pseudonim Tuwima Stafisto świadczy wymownie o uwielbieniu jakim darzył Tuwim starszego poetę.

W kronice Pfeiffera znalazły się między innymi w odpisach przekłady Tuwima publikowane uprzednio w periodyku esperantystów polskich „Pola Esperantisto", ale prócz tego jest w niej wiele zupełnie dotąd nie znanych materiałów rękopiśmiennych dotyczących życia i twórczości wielkiego poety. Odkładając do sposobniejszej chwili wyniki przeglądu tych materiałów wspomnieć tu pragnę tylko interesującą wypowiedź Tuwima „Kiel mi farigis esperantisto" (Jak zostałem esperantystą).

Wynika z tej wypowiedzi, że do roku 1909 poeta nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tajemniczego słowa „esperanto", chociaż słyszał o nim często. Dopiero dzięki niewielkiej broszurze „Uczmy się Esperanta", nabytej przypadkiem w księgarni, język międzynarodowy stał mu się bliski. Zasady gramatyki poznał w ciągu tygodnia, po miesiącu napisał w tym języku pierwszy list do swego wuja, również esperantysty. W kilka miesięcy później podjął się tłumaczenia nowelek Prusa i wierszy Kornela Ujejskiego. Po dziewięciu miesiącach nauki (od stycznia do września 1909 r.) całkiem swobodnie posługiwał się w mowie i piśmie językiem stworzonym przez doktora Ludwika Zamenhofa.

Monika Warneńska w książce o Tuwimie „Warsztat czarodzieja" (Łódź 1975) przypomina, że młodzieńczą sympatię dla esperanta żywił poeta i w latach późniejszych jako aktywny członek Polskiego Związku Esperantystów.

PRYMICJE SZPARGALISTY

Tuwim ze znawstwem i upodobaniem zbierał książki, stanowiące dlań warsztat pracy, z którego wychodziły na świat dzieła poświęcone historii kultury literackiej i umysłowej. Nie był historykiem kultury na miarę Aleksandra Brücknera, nie pragnął też akademickiej sławy, gromadził jednak setki i tysiące wypisów, wykorzystanych potem przy pisaniu dzieł takich jak „Czary i czarty polskie", „Polski słownik pijacki i antologia bachiczna" czy „Pegaz dęba". Broszurki jarmarczne, tomiki zapomnianych poetów i inne tym podobne szpargały stanowiły dlań tworzywo do realizacji pomysłów twórczych w zakresie dziejów kultury.

Gdyby zestawić bibliograficzny rejestr przywołanych przez poetę z pamięci w „Kwiatach polskich" tytułów dziwacznych ksiąg, byłaby to zapewne jedyna w swoim rodzaju bibliografia kuriozalnych dziwactw:

...mądrych traktacików:
O mumiach u Asyryjczyków,
O chronostychach lub centonach,
O synekdochach Cycerona,
De carminibus figuratis,
De barba Moysis, De castratis,
De cantu cygni, De cornutis,
De jure ventris, Ligno crucis,
De matrimoniis incantatis,
De bibliotheca Adami,
O św. Jacku z pierogami,
De et caetera bomba... Satis.

Oddalony o setki kilometrów od ojczystego kraju poeta wspominał z rozrzewnieniem uczony traktat „De bibliotheca Adami" Pawła Hilszera, opublikowany w Dreźnie w 1702 r.

Ideą gromadzenia wyciągów i wypisów z przeczytanych książek natchnął młodego Tuwima Max Kemmerich, niemiecki bobliofil i historyk sztuki, który, w podobny sposób wykorzystując lektury, publikował niesłychanie niegdyś poczytne materiały do dziejów kultury umysłowej Niemiec. Wydane w latach 1909—1910 „Kultur-Kuriosa" Kemmericha skłoniły Tuwima do ogłoszenia na łamach „Gazety Łódzkiej" 29—30 marca 1917 r. (nr 86 i 87) dwuodcinkowego felietonu „Z historii głupoty", którego pomysł zaczerpnął poeta właśnie ze wspomnianych dzieł Kemmericha.

Podpisany inicjałami J. T. feliton „Z historii głupoty" nie był dotąd zarejestrowany w bibliografiach twórczości Tuwima, a może się okazać interesujący przy podjęciu badań nad warsztatem twórczym poety jako historyka kultury.

ZAPOMNIANY PRZEKŁAD

W dorobku poetyckim Tuwima sporo miejsca zajmują wiersze dla dzieci, lubiane i cenione przez naszych najmłodszych. Większość z tych wierszy ostała się próbie czasu, zachowując świeżość, choć czasem niektóre pojęcia i obrazy poetyckie przekraczają zdolność percepcji młodych czytelników.

Udało mi się odnaleźć wiersz Tuwima, nie oryginalny wprawdzie, lecz tłumaczony, który w oczach samego poety nie cieszył się zapewne uznaniem, bo, zapomniany przezeń gruntownie, nie trafił do żadnej publikacji książkowej, nie doszukał się go nawet wytrawny autor monografii bibliograficznej Tuwima Janusz Stradecki.

Wiersz „Telefon", spolszczony według K. Czukowskiego, z kilkunastu barwnymi ilustracjami Mieczysława Bermana, ukazał się w 1935 r. w grudniowym numerze miesięcznika pracowników poczty i telekomunikacji „Łącznik Pocztowy".

Autorem wierszowanej bajki był radziecki poeta i historyk literatury Korniej Iwanowicz Czukowski (1882—1969), którego wiersze dla dzieci do dziś posiadają prawo obywatelstwa w lekturach najmłodszych czytelników, w tym również dzieci polskich, dzięki pięknym przekładom pióra Władysława Broniewskiego, po raz pierwszy opublikowanych w 1936 r.

W rosyjskim oryginale wiersz Czukowskiego liczy 108, w przekładzie Broniewskiego 97, a w spolszczeniu Tuwima zaledwie 76 wersów. Porównanie obydwu przekładów co do wierności tłumaczenia wypada zdecydowanie na korzyść Broniewskiego, tym niemniej odszukanie przekładu Tuwima w periodyku, w którym trudno byłoby spodziewać się tego rodzaju znalezisk, ma niejakie znaczenie dla badaczy twórczości Tuwima, choćby ze względu na zakres jego zainteresowań translatorskich i inspiracji twórczych.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE

Tak się złożyło, że od szeregu lat przy różnych okazjach publikuję różnorodne uzupełnienia bibliograficzne do wspomnianej tu książki Janusza Stradeckiego „Julian Tuwim. Bibliografia" (Warszawa 1959). Korzystając ze sposobności proponuję poladaczom owej książki dopisanie dwu uzupełnień:

„Bez co je ta cała wojna". „Estrada nr 1", Warszawa (1917) s. 35—36. Pierwodruk pod pseudonimem: Peer (kryptonim pseudonimu: Roch Pekiński). Skecz kabaretowy z repertuaru S. Michałowskiego. Stradecki nie notuje.

„Pan me gonił". Czarny Kot (z repertuaru), Warszawa 1917, I. Rzepecki (Wesoła Muza. Nowości kabaretowe. T. 1), s. 84.

Wiersz z repertuaru Heleny Rinas. Stradecki nie notuje. Informacja i dane bibliograficzne dotyczące tej edycji zaczerpnięte przez Stradeckiego z pośredniej wskazówki bibliograficznej (por. Stradecki, poz. 62). W tomiku tym znajduje się także przedruk wiersza Tuwima „Le style c'est l'homme, czyli wierszyk o Andzi, co ukłuła się i płakała, w interpretacji rozmaitych poetów" (Stradecki, poz. 21).

Dodać tu warto, że wiersze Tuwima „Listy miłosne" i „Temat", zamieszczone przez Stradeckiego pod rokiem 1933 (poz. 770 i 774) w rzeczywistości ukazały się dwa lata wcześniej na łamach Dodatku Literacko-Naukowego do łódzkiej „Ilustrowanej Republiki" z dnia 24 grudnia 1931 r. Znany Stradeckiemu z przedruku w „Expressie Ilustrowanym" z r. 1958 (Stradecki, str. 15) wiersz „Do Artura Rubinsteina. (Fragment)" ogłoszony został po raz pierwszy w tejże „Ilustrowanej Republice" 1 stycznia 1929 r.

ANDRZEJ KEMPA

Foto: Archiwum

JULIAN TUWIM

KOŃ

Koniu płomienny, koniu mój gniewny
Z Apollinowej stajni!
Kto zawołaniem zbudzi nas śpiewnym
I wieść i drogę oznajmi?

Ze snów zapadłych głucho krzyczący,
Z tobą nocami się zmagam
I obudzony rżeniem twym grzmiącym
Skrzydlaty słyszę huragan.

Czemu mnie widmem straszysz obłocznym,
Tętniący w światła bezkresie?
Kiedyż mnie cwałem, rumaku skoczny,
Do Czarnolasu poniesiesz?

A tam nie miody, nie srebrne wody
Z prastarej lipy bryzną.
Tam niebo w łunach, bory w piorunach,
Pożar nad wieczną ojczyzną.

NIE MA KRAJU...

Nie ma kraju, skąd nie będę tęsknił
Do dawnych, szarych ulic.
Złamie się w żałości każdy krzyk zwycięski,
We wszystkim dawność się rozczuli.

Nie ma ziemi, na której bym spoczął
Bez szarego, dawnego wspomnienia.
Wszędzie, wszędzie moim oczom
Jedno jest do patrzenia.

Nic mnie, nic nie uspokoi,
Nic w porywie już nie zatrzyma.
Wiecznie otworem nade mną stoi
Niebo — ziemia moja rodzima.

Nie pomogą żadne podróże
Ani tłumy, ani oceany,
Modlę się na ulicach coraz dłużej,
Zapatrzony, zasłuchany.

Nie pomogą najprzedziwniejsze słowa
Ani hymny dzikie, ani szalone gonitwy.
Cokolwiek będzie — przyjdą znowu
Stare, codzienne modlitwy.

Wołam, wołam, dłonie w rozpaczy łamię,
Boże! wysłuchaj! błyśnij w niebie mieczem!
A on — tam, na ulicy, czeka na mnie:
Mój znajomy, szary, prosty człowieczek.

WIECZORNY WIERSZ

Czasem u szczytu ulic zachód żółtym blaskiem
Mury niebios rozwala na złomy płomienne.
Wtedy listopadowe wieczory warszawskie
Wieją wiosną i płyną, młodością wiosenne.

Ile łez we mnie było i ile miłości,
Ile westchnień i szczęścia w majowej ulewie,
I moich słów dla ciebie, i wielkiej czułości:
Wszystko z nieba powraca w dawnym, ciepłym wiewie.

I znowu idę lekki i nocą wezbrany,
Jakbym niósł liść wilgotny na sercu otwartem,
Wtedy w twoim miasteczku ciemniały kasztany,
Pachniał groszek pachnący na sercu pod paltem.

Płakać, jedyna moja, mogę tylko Tobie.
Ty zrozumiesz. Rozgrzeszysz spojrzeniem pokornym.
I wiosnę zakochanych znajdziesz w skromnym słowie,
I ciężką gorycz moją w tym wierszu wieczornym.

ODPOWIEDŹ

Otóż: trzeźwy do domu nie wracam.
Ty mnie zrozum, nie chcę cię zasmucić,
Lecz katorgą jest ta moja praca:
Trzeba upić się, żeby w ogóle WRÓCIĆ.

Bo właśnie — trzeba wyjść i iść dalej.
I dom rzucić, i ciebie odrzucić,
Coraz większych potrzeba oddaleń,
Coraz pewniej nie można WRÓCIĆ.

I dlatego trzeba się upić,
Żeby siebie do szczętu zapomnieć
I dopiero na schodach — oprzytomnieć,
Tak n a p a l c a c h, jak ja wracam. WRÓCIĆ.

SZTANDAR

Prawda, prawda, czarnoleski Janie:
„Serce roście patrząc na te czasy!"
Tętnem krwi czerwono-chorągwianej
Zaszumiały nasze miasta jak lasy.

Jakaż miła się odezwać Muza
Prócz tej jednej — bojowej, piosennej?
Jakiż kwiat mógł wybuchnąć na gruzach,
Jeśli nie ten pnącz czerwonopienny?

I dlatego ze stolicą rosnę
I po piętrach jej wspinam się kwieciem.
A ojczyzny mojej wielką wiosnę
Jako sztandar wznoszę nad stuleciem.

Taki sztandar, że ziemię okryje,
Taki sztandar, że w wieki ponosi,
I gdziekolwiek jego drzewce wbiję,
Tam początek będzie ziemskiej osi.

TRAGEDIA NAD JEZIOREM

Niebo wybite draperią chmurną,
Niebo w akordach, w gniewie aniołów.
O, nie jeziorem być tobie, urno
Niepomyślanych wielkich popiołów.

Działy się tutaj olbrzymie rzeczy,
Walki natchnione, pasje szalone,
I tak zastygło od tysiącwieczy
Nierozwiązane, niewyrażone.

I tylko wietrzyk przyćmiony wieje
Lekko i strasznie, jak płaszcz upiorny,
I samobójcza skała czernieje
Cieniem kamiennym w głębi jeziornej.

Szekspirze! Nie ma już ludzkiej męki!
Skale żałobnej krzyknij: „Milady!"
I tym okrzykiem i gestem ręki
Zacznij akt piąty niemej tragedii.

Rozwiąż tej ciszy kształty potworne
I wyzwól głazy z oków cierpienia!
Chórem tragicznym daj nową formę
Znieruchomiałej burzy milczenia.

Każde dzieło sztuki, również i film, ma oczywiście kilka sensów. Który z nich jest najgłębszy, najbardziej charakterystyczny dla kondycji ludzkiej, tak chętnie i z takim zapałem przez film odzwierciedlanej? Może — idąc tropem tradycyjnego podziału filozofii — metafizyczny? Może poznawczy? Może wartościujący i to w podwójnym znaczeniu, tj. moralnym i estetycznym?

WOJCIECH ROSZEWSKI

GŁĘBIA OSTROŚCI

Nie sądzę, żeby film był jakąś szczególną domeną metafizyki. Byt w jej ujęciu zatraca jedną ale za to bardzo istotną dla kina cechę, mianowicie widzialność. Rozpada się na abstrakcyjne kategorie i pojęcia. Niknie dla oczu, a tym samym dla kamery. Zatem poznanie... Także chyba nie. Nie chodzimy do kina wyłącznie po to by świat poznać, mamy ku temu lepsze narzędzia. Wynikałoby więc stąd, że pragniemy w kinie oddzielić dobro od zła, piękno od brzydoty. Istotnie tak się niekiedy dzieje, ale obrazy tego rodzaju zawsze pozostawiają jakiś niedosyt. Kino będąc w poważnej mierze przepojone moralistyką i estetyką, jednocześnie w swoich największych spełnieniach nie chce na nich poprzestać.

Podobny efekt niewystarczalności uzyskamy, gdy zastosujemy do kina pytania z zakresu socjologii, psychologii, wiedzy politycznej i historycznej, kulturologii i Bóg wie czego jeszcze. W kinie, jak w świecie, odnajdziemy zawsze coś co mieści się poza granicami odpowiedzi na te pytania, a jednocześnie dojdziemy do wniosku, że niewiele nam również pomoże sięgnięcie do bardziej elementarnych dyscyplin, jak biologia, fizjologia czy cała grupa nauk traktująca o fizycznym środowisku człowieka. Bo też istotę bytowania ludzkiego stanowi ciągła oscylacja, stałe przechodzenie od tego, co biologiczne do tego, co antropologiczne i odwrotnie. Człowiek poprzez swój kulturalny i cywilizacyjny wysiłek stale wyrywa się ze świata przyrodniczych konieczności i w toku tej ekspansji raz po raz uświadamia sobie prawdę, że mimo wszystko pozostaje częściowo w jego obrębie. W procesie swojego wielowiekowego obcowania z materią człowiek pragnie się od niej oderwać, a zarazem ciągle napotyka na jej opór. Kultura rzeczywiście świadoma swoich biologicznych i antropologicznych postaw nigdy nie odwraca się ze wzgardą od tych najbardziej rudymentarnych prawd. Żebyśmy mogli żyć musi istnieć proces wymiany materii między nami, a środowiskiem naturalnym. Musi być zorganizowana praca i jej coraz bardziej postępujący podział, a także zagwarantowana możliwość porozumienia. Nie obejdzie się także bez skodyfikowania obowiązującego w danym okresie czasu typu własności oraz wymiany wytworzonych dóbr materialnych pomiędzy poszczególnymi, wchodzącymi w skład danego społeczeństwa grupami i klasami. Na tle tego wielkiego procesu życia i pracy budowany jest gmach kultury wraz ze swoimi częściami składowymi w postaci mitów, symboli, wierzeń, poglądów filozoficznych, dzieł sztuki etc. Na tym wyrasta polityka jako system rządzenia, panowania i pozyskiwania dla określonych celów całych społeczeństw. Nad tym są takie zjawiska jak sny, moda, zwyczaje, obyczaje, wartości moralne i estetyczne, pozytywne i negatywne wzory postępowania i działania. Gry i zabawy. Ludzka powaga i ludzkie szaleństwo. Wszystko.

Film, dzięki kapitalnej kondensacji, jaką stanowi obraz wspomożony słowem, jest jedyną sztuką, zdolną sobie rościć ambicję do przeniknięcia całego tego kosmosu. Nie znaczy to jednak, że w obliczu piętrzących się przed nim i w tym względzie trudności, nie rezygnuje i to dość często z ambicji totalnego przedstawiania świata, na rzecz produkowania jego wycinkowych obrazów. Dzielimy filmy na współczesne i historyczne, na społeczne i psychologiczne, na polityczne i kameralne etc. Pewne gatunki jak western, melodramat, kryminał, film płaszcza i szpady i wiele innych, uzyskały tak daleko posuniętą autonomię, że oceniamy je na podstawie czysto wewnętrznych i dość arbitralnie ustanowionych kodyfikacji. W każdym razie nie próbujemy w krytyce tych filmów rzucić je na szersze tło rzeczywistości, którą przecież w jakimś wycinku przedstawiają. Z reguły bywa tak, że filmy określane mianem wielkich i głębokich przechodzą do porządku dziennego nad tymi podziałami. Wrastają one w kłębowisko rzeczywistości tak dalece, że bezradni recenzenci nie są w stanie opatrzyć ich żadnym, spośród wyszczególnionych przymiotników. „Pancernik Potiomkin" Sergiusza Eisensteina jest zapewne i filmem społecznym, i politycznym, i historycznym, ale przecież wszystkie te określenia nie wyczerpują jego treści. Podobnie jest z „Tam, gdzie rosną poziomki" Ingmara Bergmana, którego to obrazu nie wystarczy nazwać dziełem psychologicznym, metafizycznym i egzystencjalnym. Nie inaczej rzecz się ma z „Dersu Uzała" Akiry Kurosawy, obrazu, który pośpiesznie i na użytek chwili chciano określić mianem filmu ekologicznego czy też etnograficznego. Lepiej w tym nazewniczym względzie jest z obrazami mniej wybitnymi. Im z reguły można zwykle przypisać jakieś określenie, wtłoczyć je w obręb istniejących już kategorii.

Największe sukcesy w tej żmudnej dziedzinie zanotowali jeszcze ci teoretycy, którzy chcieli jego fenomen zmieścić w obrębie szeroko pojmowanej antropologii. Antropologia, jak wiadomo, jest nauką, która w toku swoich dziejów uzyskała niejako dwa w dodatku nie wykluczające się, lecz nakładające się w pewnej mierze na siebie znaczenia. Pierwsze z nich, historycznie wcześniejsze, wiąże się z fizycznymi i biologicznymi aspektami istnienia człowieka, drugie natomiast, późniejsze, eksponuje aspekty kulturalne w ścisłym zresztą powiązaniu z tymi pierwszymi. Są także próby definiowania antropologii, jako nauki o jednostce ludzkiej, jednakże w zgłębianiu fenomenu kina, któremu tak bliskie jest to, co materialne i to, co społeczne, nie mają charakteru decydującego. Antropologiczna wizja kina nie jest oczywiście wizją jedyną, ale każdy przyzna, że spośród wszystkich możliwych do zaproponowania jest ona najbardziej podstawową i rudymentarną. Kino wyzute z pierwiastka antropologicznego tak czy owak jest kinem zubożonym, pozbawionym niesłychanie ważnego elementu ludzkiej egzystencji. Zawarty w poszczególnych filmach pierwiastek antropologiczny bardzo często przesądza o ich znaczeniu, a tym samym randze artystycznej. Aczkolwiek bohaterami wielu filmów są w dalszym ciągu ludzie niezwykli, wyróżnieni w ten lub inny sposób przez historię, czy też kulturalną wagę ich poczynań, nie sposób nie stwierdzić, że w obliczu głębokich procesów demokratyzacji życia, nawet fenomen ich istnienia i działania pragniemy odczytywać na poziomie antropologicznym. Ilekroć go zabraknie, tylekroć nie potrafimy sobie w pełni wyjaśnić w pełni egzystencji nawet bardzo nam bliskich, lub wręcz znanych bohaterów filmowych.

Owe podejście antropologiczne da się zwykle pogodzić z historią, polityką, nauką o społeczeństwie, wiedzą o kulturze, podczas gdy proces odwrotny raczej nie zachodzi. Przykładem filmu głęboko antropologicznego, a jednocześnie nie zatracającego innych wymiarów ludzkiego losu, mogą być na naszym gruncie „Noce i dnie" Jerzego Antczaka. Rozpatrywanie przypadku bohaterów tego filmu Bogumiła i Barbary Niechciców, li tylko na pułapie wydarzeń historycznych na naszych ziemiach w latach 1863—1914, socjologii warstwy ludzi wyzutych z ziemi, którzy w pewnej mierze dali początek współczesnej inteligencji polskiej, konfliktów społecznych ówczesnego czasu, dziejów idei etc., jest konieczne, ale gdy ograniczyć się tylko do tego, równa się to zapoznaniu najistotniejszych treści obrazu, stanowiącego przejmującą ekspresję polskiego bytowania między ostatnim przegranym w dobie rozbiorowym powstaniem, a wybuchem I wojny światowej, która m. in przyniosła naszemu krajowi niepodległość. „Noce i dnie" w antropologicznym tego słowa znaczeniu nie są przecież ani kroniką wydarzeń, ani traktatem na temat postaw ludzkich powoływanych do życia przez określone okoliczności historyczne, a raczej będąc po części i tym, stanowią w pierwszym rzędzie epicką ekspresję tzw. długiego trwania, jaka jest udziałem większości ludzi. J. Antczak, w pewnej mierze nawet w sporze z bardzo ideologizującą chwilami Marią Dąbrowską, położył akcent na bardzo rudymentarne, pozornie błahe, przysłonięte przez wielkie wydarzenia, wzory i idee, właśnie antropologiczne aspekty owego długiego trwania i uzyskał efekt przejmujący. Film, w polskich warunkach dość nieoczekiwanie, skierował naszą uwagę w stronę tzw. cichych, na poły bezimiennych sprawców historii, którzy przesłanki swojego istnienia i działania czerpią bezpośrednio z wnętrza bytu społecznego i dzięki temu — jak dowiodła tego frekwencja na filmie — są bardziej wiarygodni niż postacie opromienione w kronikach. Mamy sporo obrazów, gdzie zastosowano procedurę odwrotną, która legła u podstaw faktu, że ich ekspresja, również i ta sprowadzona do czynników najprostszych jest znacznie mniejsza, choć w trakcie ich realizacji sięgnięto po bardziej drastyczne i krzykliwe środki. Twórcy naszego kina po „Nocach i dniach" mogli sobie uzmysłowić, że przedstawienie jakiegokolwiek dramatu społecznego, historycznego, politycznego czy nawet kulturowego bez sięgnięcia po antropologiczne rudymenty, prowadzi do rozwiązań nader połowicznych i mało przejmujących. Zupełnie odrębną sprawą jest, że poza kilkoma wyjątkami, nie wyciągnęli z lekcji tej właściwych wniosków.

Filmem w pewnej mierze mimowolnie polemicznym wobec „Nocy i dni", była „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy. Wajda w tym głośnym i efektownym filmie na pierwszy plan wprowadził dynamiczną i zdecydowaną na wszelkie metody działania łódzką burżuazję końca XIX wieku. Rozegrał zasadniczy konflikt filmu niejako w jej obrębie, dając w szeregu sugestywnych obrazów odzwierciedlenie jej społecznej, kulturalnej, moralnej i obyczajowej egzystencji. Film akcentując problem poczucia narodowego tej klasy społecznej, podkreślając, że racje narodowe w burżuazyjnej wykładni, ustępują racjom klasowym, poza dość wyrywkowymi obrazami z życia i pracy łódzkiego proletariatu, nie dawał w istocie rzeczy szerszego, właśnie antropologicznego tła przedstawionych w nim wydarzeń, przez to decyzje podejmowane przez jego bohaterów umotywowane były bądź wyłącznie ich predyspozycjami psychicznymi i charakterologicznymi, bądz też uwarunkowaniami czysto zewnętrznymi. Z powodu tego w „Ziemi obiecanej" jest wiele dramatyzmu, a nie ma epiki, nawet pełnej epopei próbującej zwyciężyć we własnym kraju burżuazji polskiej. W końcowej scenie bohater filmu wyraża zgodę na to, by uśmierzające rewolucyjny nastrój wojsko strzelało do bezimiennego, nieznanego nam w gruncie rzeczy tłumu robotników i robotnic. Drastyczność „Ziemi obiecanej" polega m. in. na tym, że tę decyzję podejmuje Polak, na to jednak by scena ta przekształciła się w epicki węzeł dramatyczny, zabrakło w filmie Wajdy właśnie antropologicznych rudymentów, ekspozycji codzienności, bytowania klasy, która padła ofiarą strzelaniny. W filmie nie posiada ona wyraźnie zarysowanej osobowości, nie jest klasą dla „siebie", lecz wciąż jeszcze „w sobie", ciągle mamy wrażenie, że los społeczeństwa w większej mierze zależy od rozstrzygnięć podejmowanych przez Borowieckich, a nie od pracy i w konsekwencji walki jego klasowych antagonistów. Widzimy zatem, że w „Ziemi obiecanej" brak antropologicznego tła sytuacji. Wajda zmistyfikował również na swój sposób historyczną wizję przedstawionego w tym filmie czasu. Są oczywiście widzowie, którzy opowiedzą się po stronie rozwiązań zawartych w „Ziemi obiecanj", warto jdnak uzmysłowić sobie, że i inna perspektywa, zaprezentowana właśnie w „Nocach i dniach" posiada swoje znaczenie w kinie.

Mistyfikacji wynikających z braku bądź redukcji wymiaru antropologicznego w naszych filmach, mamy i będziemy mieli zapewne sporo. Wiąże się to z kilkoma zjawiskami, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić fascynacje kinem powierzchownie politycznym bądź historycznym wiążącym się z kolei z tendencją do tworzenia kina faktów lub quasifaktów. Rekonstrukcja samych tych faktów i zdarzeń, kreacja głównych postaci dramatu, dążność do maksymalnego natężenia konfliktów, rodzą dążenie do wypreparowywania treści tych filmów z szerzej pojętej perspektywy antropologicznej, co z kolei mści się w ten sposób, że widz rozpatrując przedstawione mu, okrojone racje i argumenty nie posiada pełnych informacji, by dokonać między nimi stosownego wyboru. Redukcja tła antropologicznego sprawia, że mamy do czynienia zwykle z konfliktami wyłączonymi w znacznej mierze z miąższu rzeczywistości społecznej i kulturowej, bardziej bliskich teatrowi niż życiu modele i konstrukcje dramaturgiczne zaczynają zastępować nam epicki potok zdarzeń, dokonujemy swojego wyboru wśród liczmanów, wikłamy się w dylematy całkowicie sztuczne i nieprawdziwe, jak na przykład ten zarysowany w „Śmierci prezydenta" Jerzego Kawalerowicza, a sugerujący, że odżegnując się od nacjonalisty musimy postawić na liberała i odwrotnie, co prowadzi do karykaturalizacji wizji historii przy pomocy jej obfitego cytowania. Mistyfikacje, o których mowa w przygniatającej liczbie wypadków nie wynikają nawet ze złej woli twórców, lecz z tego, że są oni uzależnieni od wciąż jeszcze popularnej wizji kina nakazującej proces historyczny identyfikować z decyzjami podejmowanymi przez ludzi z tych czy innych względów wyróżniających się, nie uwzględniającej pełnej i zróżnicowanej gamy jego obiektywnych wyznaczników, wśród których znaczenie podstawowe posiadają te antropologiczne i epickie. Nie ograniczając się tylko do filmu, a sięgając po doświadczenia wypracowane w innych dziedzinach twórczości, m. in. w literaturze, można się powołać na kapitalny przykład dzieła Williama Faulknera, stanowiącego doskonałą ilustrację tego, o co w tych rozważaniach chodzi. Dzieło to, jak się wyraził jeden z krytyków, poczęte z nienawiści i z miłości do amerykańskiego Południa, apologetyczne i sarkastyczne zarazem, wielka epopeja prostactwa i heroizmu pozornie tylko fikcyjnego okręgu Yokñapatawpha, napisane w równej mierze ze wstydu, co i ku pokrzepieniu serc, jest niczym innym, jak właśnie próbą uchwycenia lokalnej i prowincjonalnej historii w wymiarze antropologicznym, a jednocześnie nie zatraca swojego uniwersalizmu. Kto dobrze zna Faulknera, ten wie, że historia nic na tej antropologizacji nie traci, a wręcz przeciwnie — zyskuje. Czysto formalne właściwości faulknerowskiej narracji sprawiły wprawdzie, że nie doczekało się ono kongenialnych adaptacji ekranowych, co jednak nie oznacza, że wielu twórcom filmowym, nie jest ono w stanie wskazać żadnej drogi. Historyczny, społeczny, kulturalny, w pewnej mierze także polityczny świat bohaterów W. Faulknera, zbudowany jest na tak solidnym gruncie antropologicznym, ukazuje ludzi w ich rzeczywistym i totalnym uwikłaniu, że mamy w nim do czynienia z jednej strony z przejmującą rzeczywistością, a z drugiej z wielkim mitem i nie możemy jednego od drugiego oddzielić.

Wymiar antropologiczny jest zapewne ową duchową głębią ostrości, którą nadać trzeba obrazowi filmowemu, na to by był on artystycznie doniosły, a jednocześnie jednał świadomość odbiorcy w sposób poważny, tak jak czyni to epika. W nim może najpełniej spełnia się współczesne kino, przekształcając się na naszych oczach z konstrukcji czysto artystycznej w pożądane kłębowisko realności, pulsujące wewnętrzną dialektyką. Kino jest w końcu repliką takiej czy innej wizji świata i dobrze, gdy ta wizja jest dostatecznie wewnętrznie bogata i zróżnicowana, a tym samym nie sprowadza się do kilku łatwych do rozszyfrowania kresek. Kino przepojone elementem antropologicznym, dostarcza wszystkich składników tej wizji, decyzje zaś co do jej oceny pozostawia widzowi, wobec którego zresztą pełne jest szacunku, chociażby zi tego względu, że nie zawiera uproszczeń, nie stosuje szantażu emocjonalnego i psychicznego, jest rzeczywiście otwarte i wewnętrznie zróżnicowane, co najmniej w takim samym stopniu, jak świat, który z namiętnym gniewem i równie namiętną czułością przedstawia. Jest to kino, które sięga po obrazy najprostsze, po to, by opowiedzieć prawdy najbardziej skomplikowane. Kino niewymyślne, a jednocześnie straszliwie złożone, bowiem w jego obrębie zwykły akt nauki czytania i pisania przez chłopa, potrafi w końcu przeobrazić się w wydarzenie o następstwach dramatycznych i rewolucyjnych. Kino to jednocześnie egalitaryzuje widownię, dowodzi m. in. że w naszym kraju doszły do swojego historycznego głosu warstwy i klasy spychane dotąd w niemal każdym oglądzie kulturalnym na plan dalszy, lecz w rzeczywistości mieszczące się zawsze na planie pierwszym. To właśnie kino, nie inne, nie naiwne historyjki nakręcone bezpośrednio pod rzekome dyktando życia — przy czym dyktando to ma wyrażać się najpełniej w sztuczkach ukrytej kamery i stuprocentowego dźwięku — ma właśnie szanse przekreślić stary, a jednocześnie wielki w pozytywnym tego słowa znaczeniu grzech polskiego kina, mianowicie jego literackość. W istocie rzeczy bowiem nawet „Noce i dnie" J. Antczaka, wyrosły bowiem zarówno z fascynacji powieścią Marii Dąbrowskiej, jak i sprzeciwu wobec niej. Takie kino jest nam potrzebne m. in. i z tego względu, że jesteśmy społeczeństwem, które coraz bardziej pragnie siebie traktować poważnie, co oczywiście nie oznacza bezkrytycznie. Nie chcemy tylko, żeby nasz krytycyzm nas obezwładniał, odzwyczajał od działania zamiast do niego popychać.

Foto: Archiwum

ANDRZEJ MAKOWIECKI

20 LISTOPADA 1978, PONIEDZIAŁEK...

Już w niedzielę wieczorem przed kościołem ustawił się tłum. W poniedziałek rano, kiedy wszedłem w czeluść ulicy Roosevelta, było czarno od palt i kożuchów. W szesnastopiętrowym biurowcu urzędnicy przerwali pracę, żeby śledzić z okien przebieg widowiska. Parapety wszystkich okolicznych domów zamieniły się w loże. Samochody. Ruchem na skrzyżowaniu kierowało czterech milicjantów z owym energicznym kapitanem na czele, który zawsze jest tam, gdzie gorąco.

Chwyciłem znajomą pod ramię i podeszliśmy do pierwszego kordonu strażników — młodzieńców z białymi opaskami na rękawach, trzymających się solidarnie za dłonie.

— Drodzy państwo! — mówił ksiądz, który wyszedł na balkon plebanii i zwrócił się przez mikrofon do zgromadzonych na ulicy tłumów. — Idźcie natychmiast do domu, na co tu czekać, i tak nikt bez kartki nie wejdzie. Pan Harris może przyjąć tylko dziesięć tysięcy!

Podminowani niczym para nowożeńców zbliżaliśmy się do drugiej wewnętrznej bramy. Czekał tam kolejny zastęp strażników. Zobaczyłem trzy tekturowe tablice z rysunkami:

GŁOWA
KLATKA PIERSIOWA
BRZUCH

Odnośne części pomalowano na kolor ceglasty, z objaśnień wynikało, iż „głowa" obejmuje także uszy i szyję, „klatka piersiowa" — płuca, serce i ramiona, natomiast „brzuch", jeśli dobrze pamiętam, we wczesnych godzinach porannych „tyczył się" również nóg; po południu uległo to zmianie.

Ktoś pouczał głośno:

— Proszę ustawiać się podług schorzeń we właściwym rządku. Kartki trzymamy w prawej ręce na piersi.

— Ludzie, umusicie się odprężyć. — pouczał inny. — Całkowicie odprężyć! I pamiętajcie — nie wolno dotykać Harrisa!

Wszystkie trzy kolejki połączyły się teraz w jeden ogromny rządek: za „głową" szła „klatka piersiowa", a gdzieś daleko, na końcu, wił się „brzuch". Ktoś za mną sapał z podniecenia, ktoś inny próbował ustalić, ile Harris przeznacza na pacjenta: pięć sekund czy dwadzieścia. Strażnik grzmiał:

— Uspokójcie się i odprężcie!

Kolejka posuwała się płynnie i szybko. Jeszcze kilka kroków i, półprzytomny, poczułem na skroni czyjeś ręce. Nie trwało to chyba nawet dwóch sekund, zanim się spostrzegłem, dotykał już innych, ale w tym momencie opadła ze mnie gorączka. Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć go dokładnie: obie dłonie przystawiał akurat do piersi jakiegoś człowieka, który rozpostarł przed nim poły marynarki. Wyglądało to tak, jakby jeden obszukiwał drugiego na okoliczność broni. Badał na stojąco, jeśli to nazwać badaniem — brał w ręce osobę po osobie, my zaś, czoło kolejki, zbliżaliśmy się nieuchronnie do drzwi wyjściowych.

Ostatni rzut oka za siebie i znalazłem się na dziedzińcu, w wąskim przejściu pomiędzy kaplicą, przedszkolem i ślepą ścianą sąsiedniego domu.

Tymczasem tłum na ulicach podwoił się albo nawet potroił. Komplet w oknach, ścisk za oszklonymi ścianami biurowców. Wzmożony ruch na jezdni. Samochody celowo zwalniają, pasażerowie i kierowcy przystawiają twarze do szyb. Zagraniczny jegomość zapatrzył się w kościół, ślina z ust, głuchy, choć trąbi za nim sto klaksonów a milicjant wymachuje ręką.

Porządkowi mają coraz więcej roboty. Ludzie napierają systematycznie w kierunku wszystkich trzech wejść. Na balkonie plebanii znowu pojawia się ksiądz. Jego głos drży ze zdenerwowania:

— Rozejdźcie się, nikt bez kartki nie wejdzie! I nie próbujcie żadnych sztuczek. Nie będziemy już więcej prosić nikogo przez mikrofon, że to niby ktoś ma dla niego kartkę tu u nas, w środku. Poznaliśmy się na tych oszustwach. Nikt nie wejdzie. Nikt! Wszystko jedno, czy ktoś jest księdzem czy zakonnicą. Stan cywilny nie ma dla nas żadnego znaczenia. I jeszcze jedno: niby wszyscy jesteście bardzo chorzy, więc jak to się dzieje, że macie siłę stać w ścisku i zimnie tyle godzin. Nie utrudniajcie pracy strażnikom i milicjantom. Już mówiłem: pan Harris może przyjąć tylko dziesięć tysięcy.

Ani drgną. Przyszli z Łodzi, przybyli z Sieradza, Zgierza, Tomaszowa i Piotrkowa, przyjechali z okolicznych wiosek i najbardziej odległych zakątków. Wszyscy mają nadzieję, że wejdą. Czekają na cud, przysłuchują się zazdrośnie tym, którzy już byli.

— Kobito, drugi raz już jestem i jak cierpiałem tak cierpię.

— A co mnie pani ze swoim głupim reumatyzmem wyjeżdżasz. On jest od poważnych chorób — paraliżu, głuchoty.

— No, jużci, od poważnych! Patrzta! — gość zdejmuje przyciemnione okulary. — Ino co mnie dotykał, ale oko nie odrosło.

— On nie Chrystus, żeby łatać, ubytki.

— Bluźnierca!

— Kopło mnie jak prądem, ludzie! Jak prądem!

— Idźta lepiej do domu, ugrzejta się.

— Pan nie wierzysz, to na co pan czeka?

— Słuchajta, on je władny, ale zobaczta, kto wchodzi!

— Racja! Same zdrowe i bogate wchodzą, a chore czekają na ulicy.

— Szemrańsiwo! Normalne szemrańsiwo! Tysiąc złotych jeden chciał ode mnie za bilet.

— Tysiąc? Ja dam zaraz dwa tysiące!

ZBIGNIEW S. NOWAK

DWAJ MIKOŁAJE, ZUZANNA I STARZEC

To był z całą pewnością krakowski „skok stulecia"! Czyste złoto i zwyczajna mamona. Biżuteria i inne bardziej użytkowe precjoza. Brylanty i cała paczka kwitów w kolorze ciemnoszmaragdowym. Razem, w przeliczeniu na pospolite złotówki — grubo ponad dwa miliony. Tego jeszcze nigdy nie było w podwawelskim grodzie, jak długo stoi nad Wisłą!

Nic więc dziwnego, że historia ta, chociaż wydarzyła się parę już ładnych lat temu, ciągle jeszcze żyje legendą nie tylko wśród zwyczajnej mieszczańskiej gawiedzi, ale także i w tych dużo wyższych sferach wielce historycznego miasta, które wszakże, aczkolwiek mocno wiekowe, nigdy jeszcze podobnej hecy nie oglądało. Historia ta więc ciągle jeszcze ożywa co jakiś czas we wspominkach tu i ówdzie, przynajmniej raz do roku. Przynajmniej podczas zimowych świąt, zwłaszcza kiedy to na ulice wyjdą obładowani upominkami dla milusińskich Mikołaje i inne Święte Dziady.

Choinka pod wierchami

Święta owego roku zapowiadały się wspaniale! Do Bożego Narodzenia doszła jeszcze niedziela, tak więc w sumie zrobiło się prawie pół tygodnia absolutnej swobody. Nic, tylko jeść, pić, bawić się i w ogóle świętować na całego, skoro już się trafiło aż tyle luzu naraz...

Właśnie chyba przez ten nadmierny luz i ogólną świąteczną euforię stary krakowski jubiler Aaron G. dał się ponieść ciut za bardzo fantazji i zmysłom, niepomny swego dostojnego wieku, godnej pozycji w mieście ani nawet żałobnego wdowieńskiego stanu, co mu w efekcie wcale na dobre nie wyszło.

Otóż ów jubiler, kiedy już opłakał rzewnie swoją połowicę, rychło doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że nie ma przecież większego sensu do końca życia umartwiać się w surowym wdowieńskim stanie i absolutnej samotności, bo nawet i rodziny żadnej też nie miał. Tak więc szacowny jubiler zaczął coraz pełniej używać doczesnych uciech. Zamiast też rozmyślać o szczęściu niebieskim, coraz częściej poglądał za kieckami. No i stało się!

Oficjalnie to się nazywało, że stary przyjął pod dach zwykłą gosposię, bo ktoś przecie musiał mu prowadzić domowe gospodarstwo, karmić, opierać i dbać o jego nadwątlone już zdrowie. Normalka. Tyle tylko, że owa zwyczajna z pozoru gosposia urodziwa była niezwyczajnie. Ale to przecież nie mogło jej przeszkadzać w gospodarskim prowadzeniu dostatku wdowca-jubilera. Dziewczyna wywiązywała się z tego znakomicie. Stary od razu zaczął bardziej chędożnie wyglądać, kolorów zdrowych nabrał na gębie od racjonalnej kuchni, a koszule to zmieniał nawet i dwa razy dziennie. I dobrze mu się żyło, a nawet coraz lepiej. Tylko zawistne baby-pleciuchy szemrały cięgiem, że to wszystko jawna rozpusta w biały dzień i ciężka obraza pamięci nieboszczki. Niby nikt nie brał poważnie tego gadania, ale Aaron G. cokolwiek się frasował, bo po prawdzie nie był tak zupełnie bez winy...

Zastanawiał się, gdzie by tu spędzić święta we dwoje, kiedy Zuzanna, bo tak właśnie było jej na imię, wymyśliła sobie jako prezent choinkowy wypad świąteczny gdzieś na wczasowisko, z dala od zawistnych ludzi, a bliżej za to żywej natury, gdzieś pod wierchami...

Stary zapalił się do tego pomysłu. W mig wszystko pozałatwiał, zgodził przytulny apartament w pewnej góralskiej daczy aż za Rabką, napakował różnego dobra do swojego podręcznego „taunusa", zawinął jeszcze Zuzannę w nowiutkie futerko i... pojechali!

Herbu... „wytrych"

Chudy i Mesel byli najstarszymi kompanami w branży, jeszcze ze starej, dobrej krakowskiej szkoły. Przed wojną poznali się w pudle podczas kolejnej odsiadki, pokumali serdecznie i tak już zostało na zawsze. Od tamtej pory razem się trzymali, razem chodzili na robotę, razem też kiblowali, jak już przyszło do tego.

Po wojnie, kiedy wyszli z kolejnej paki, musieli trochę spasować, jakoś poskładać życie do kupy. Zaczęli pracować, najpierw dorywczo, a potem już bardziej na stałe w budowlance. A Chudy to nawet się ożenił, bo był przystojniak i zawsze miał farta do bab, a poza tym z tego babskiego szczęścia ulęgła się córa jak lalka. Mesel oczywiście był za świadka na ślubie i za kuma na chrzcinach.

Lata płynęły wartko, kolesie ciągle od nowa próbowali dopasować się do nowego uczciwego fasonu, a nawet pracować na państwowym, jak przystało, ale w sumie okazało się to dla nich cokolwiek za trudne. Nic im jakoś nie szło, Chudemu było coraz trudniej wiązać końce na posadzie, a i Meslowi też nic nie wyszło ze stabilizacji. Któregoś dnia więc kolesie zaczęli wspominać dawne, dobre czasy, po czym od słowa do słowa postanowili doń powrócić.

Wreszcie Chudy i Mesel poszli w kurs. Ostrożnie, ot, parę kiosków gazetowych, jakieś komórki, piwnice, tak, by odzyskać dawną wprawę przed grubszą robotą. Po pewnym czasie zaczęli robić także prywatne mieszkania, a szczególnie upodobali sobie letniskowe dacze, niezamieszkałe po sezonie. Wszystko to oczywiście cichaczem, po godzinach oficjalnej roboty na budowie, aby nikt nie wyczuł jakiegoś swądu.

Zaczęło się też im lepiej powodzić, kiedy do pensji z paska doszły i te inne dochody. Obkupili się porządnie, obsprawili niezgorzej. Było fajno! Tylko sąsiedzi dziwili się nieco, skąd u tych gołodupców takie nagle dostatki?

No i wreszcie bomba pękła! Wpadli na zupełnie pewnej daczy, bo nadszedł ich jurny posesjonat akurat na robocie, kiedy przyjechał niespodzianie z damską lewizną na amory. Prokurator podsumował ich jako recydywę, a sąd dołożył im po pięć sezonów za wszystkie grzechy i czasy.

Kiedy wreszcie znów wyskoczyli z mamra, tak byli podcięci ciągłym niefartem, że długo nie mogli pozbierać się do kupy. Nic ich nie cieszyło oprócz gołdy, toteż tylko cięgiem żłopali bez umiaru, a potem chrapali po pijaku, dopóki kac ich nie obudził. Wtedy znów do flachy. I tak było aż do zimy...

Po czasie jakoś przeszła kompanom cała chandra. Znów zaczęli dumać o jakiej robocie. Ale nie o takiej lipie jak dotąd. Lata już mieli swoje, emerytura właziła ostro na karki, trza było myśleć o zabezpieczeniu na starość. Czyli wyskoczyć raz a dobrze, by starczyło moniaków już do ostatnich dni. Tylko gdzie tu wynaleźć taką robotę i to pewną?

Właściwy klient

Pomógł im przypadek. Całe miasto wiedziało przecież o nieprzystojnych wyskokach starego jubilera Aarona G., który ledwie żonę pochował, a już hulał na całego. To mógł być właściwy klient!

Chudy wpadł na pomysł, żeby staremu łajdusowi podesłać na wabia swoją córeczkę, która przecież w międzyczasie wyrosła na zdrową dziewoję, zaczynała nieźle brylować po superknajpach, a na tych rzeczach znała się lepiej niż niejedna stara. Co się miała dziewucha marnować z jakimiś łapciuchami, skoro przy cieplutkim jubilerze mogła się obłowić raz a dobrze, na całe lekkie życie?

Zuzanna, bo tak właśnie było jej na imię, dostała odpowiednie instrukcje i ostro zakręciła się koło starego jubilera. Po niedługim czasie już była u niego za gosposię, a nawet za więcej, jak mówili... Nie minęło wiele dni, a sprytna Zuzka już odrobiła pasówki do wszystkich możliwych zamków, tak że Chudy i Mesel mieli prawie komplet kluczy. Tylko do kasy pancernej nie dało się dorobić, ale na to oni też mieli sposoby.

Kiedy wszystko już było gotowe na rycht, pozostało tylko czekać spo-

— Po cztery już płacą.

— Badylarz dychę wyjął, żeby księdza przekupić, a ten do niego. paszoł!

— Taaa. Akurat. Gdzie to pani czytała?

— Na kazaniu w tym kościele było!

— Proszę pana! — zwracają się do mnie dwie eleganckie panienki. — Niech nam pan pomoże zdobyć kartkę.

— Zrobię, co będę mogła, kobitko — mówi otyła paniusia, wychylając się z parterowego okna w narożnym domu i przyjmując od innej paniusi sto złotych. — Mąż, wysoko kwalifikowany technik, ma w parafii duży wzgląd.

— Przepraszam, przepraszam! — wycofuję się z tłoku. Zmarznięty na kość, ze świdrującym bólem w skroniach, idę na kilkanaście minut do redakcji. Herbata, papieros, krótkie sprawozdanie. Wracam pod kościół o czternastej. Ludzi przybyło. U bram rozgrywają się nadal dantejskie sceny. Płacz, szloch, jęki, westchnienia. Trzy eleganckie samochody: mercedes, volkswagen i fiat, taranują tłum od tyłu, że to niby wiozą ciężkie przypadki.

Młody strażnik wspiął się od wewnątrz na żelazną sztachetę i wyje z histerią:

— Cofnąć się, cofnąć! Pozwólcie przynajmniej przejść tym najmniejszym!

Tłum napiera.

— Jak wam nie wstyd, mężczyźni?! Chwyćcie się za ręce, zróbcie tamę, odepchnijcie trochę ten motłoch!

Trzy samochody nadal wrzynają się w ciżbę. Dzieci pochlipują. Jakaś starsza, chora, zapłakana kobieta, potrącona przez osiłka w burym płaszczu, pada na plecy. Wiek i płeć nie mają żadnych przywilejów. Honor ludzki i duma czmychnęły do innej dzielnicy. Wejść! Choćby przyszło kogoś stratować!

— Przyjmuje?

— Nie.

— Dlaczego?

— Podobnież się wyładował.

— A bo to on... jaka bateria?

Na balkonie plebanii cywil i kanonik (już bez tego księdza, co rano) mówią na przemian do mikrofonu:

— Trochę godności, ludzie! Pierwszy raz jest taki bałagan. Przez was pan Harris nie może nawet leczyć tych z kartkami. Ustawcie się w jakimś porządku wzdłuż ulicy.

— Panowie, zróbcie drogę konającemu!

— Każdy może położyć się na noszach!

Obok klin dorosłych wjechał w bramę, aż zazgrzytały zawiasy. Ktoś drgnął jakby otrzymał postrzał w czoło i wynurzył się z ciżby zasłaniając twarz rękami, po których spływała krew.

— Nowak, gdzie się pchasz z tą przepukliną, cwaniaku!

— Stul pysk, pijanico!

— Litości, narodzie!

— Grom by w to bydło strzelił, z jasnego nieba!

— W ciebie, zdziro, łupnie, jak nie przestaniesz kląć przed kościołem!

— Święte słowa! — przytakuje spasłe babsko: pół dewotka — pół przekupka. — Mnie o siódmej już macał, a czekam.

— Na zapas chcesz się pani zdrowia nałapać?

— Moja sprawa.

— Przepuść pan doktora, do omdlenia idzie.

— Trali, lali! Sam się wyleczyć nie umiał, to pomocy u świętego szuka!

— Tam! Strażnika zdeptały niecnoty. Ledwo dycha.

Odchodzę zdenerwowany i przygnębiony. Po drodze odwracam głowę od znajomych, tak jak i oni ode mnie. Wśród zgromadzonych jest przecież wiele osób ze sfer — przyszli na wszelki wypadek, a nuż wpuszczą, nuż pomoże. Jadę na Koziny, gdzie mam wieczór autorski w Bibliotece. Około dziewiętnastej trzydzieści ponownie wracam pod kościół.

Bramy już otwarte, ciemno. Grupki ludzi rajcują na dziedzińcu. Od jednego z porządkowych dowiaduję się, iż Harris przestał przyjmować o czwartej, prawie cztery godziny temu.

— Wyładował się. Sam widziałem, jak wypił cztery szklanki wody, ale bioprądów nie odzyskał.

— Może jeszcze przyjdzie?

— Nie przyjdzie.

— Chociaż na chwilę...

— Nie macie na co czekać.

— Podobno dwa tysiące z niewykorzystanymi kartkami zostało

— Przesada. Najwyżej kilkaset osób.

— Nie było sprawiedliwości z wpuszczaniem. Wszystko po uważaniu.

— Nie mówcie tak, drodzy państwo. Sam usunąłem z kolejki siostrę zakonną.

* * *

Podobno około czwartej opuścił kościół w przebraniu, uprowadzony przez dwie młode kobiety. Był w stanie całkowitego wyczerpania. miał na sobie pożyczony płaszcz, głęboki kapelusz i okulary. Dziwny, tajemniczy pan Harris...

Nie będę roztrząsał jego metod, nie znam się na tym. Nie będę również streszczał serwisu prasowego, który sporządzono mi na użytek reportażu w „Odgłosach" — kilka publikacji w gazetach i periodykach, każdy autor stroi się w piórka enigmatycznej erudycji i podpiera głośnym autorytetem naukowym, przy czym jeden rżnie z drugiego bez żenady.

Czy dotyk pana Harrisa rzeczywiście ma właściwości lecznicze?

Nie wiem. Nie znam się na tym, ale nasuwa mi się pewna refleksja.. Clive Harris przyjmuje jednego dnia tylu chorych, co inny, pracowity lekarz w ciągu roku. Mówi się nieraz: rzadki przypadek, jeden na dziesięć tysięcy. Czyż Harris, którego palce dotykają milionów, nie ma aby prawa do takich szczęśliwych przypadków, które dokonałyby się tak czy owak, niezależnie od jakiejkolwiek interwencji?

Foto: T. Domański

★ ☆ ★

Należałoby się spodziewać, że w naszym cywilizowanym świecie coraz silniejsze pozycje będzie zdobywał racjonalizm. Człowiek przecież nieustannie poznaje świat, rozwija technikę, uczy się opanowywać żywioły. Lądował na Księżycu, całymi miesiącami przebywał w stacji kosmicznej, wysyła na inne planety automatycznych zwiadowców. Na Ziemi skuteczniej zwalcza wiele chorób. A jednak.

Oto przychodzą ze świata zatrważające wieści. We Włoszech panoszy się terroryzm. W USA i innych krajach mnożą się sekty religijne. W Gujanie wyznawcy sekty „Świątynia Ludu" wzajemnie się wymordowali. Okazało się, że mają oni swoich zwolenników we Francji, którzy nazwali się „Zielonym ładem" i hołdowali zbiorowemu samobójstwu. W Kolumbii Amerykanie, zwolennicy „białej bogini Amazonii" wystąpili zbrojnie przeciw tubylcom, którym nie podobały się praktyki fanatycznych wyznawców „Nowego kościoła bożego".

W niektórych środowiskach nie maleje zainteresowanie już nie tylko zjawiskami, które można podciągnąć pod parapsychologię, ale też wszelkiego rodzaju nowoczesnymi mitami. Zainteresowanie się tym, co we współczesnym, ucywilizowanym świecie może stać się lub też staje się współczesną baśnią. Człowiek zawsze wierzył w smoki, demony, siły nadprzyrodzone. Czy dziś też musi wierzyć?

Nikt rozsądny nie neguje, że właśnie dzięki rozwojowi nauki i techniki możemy dziś na wiele nieco tajemniczych zjawisk patrzeć inaczej i szukać nowych sposobów ich tłumaczenia, poznawania i wyjaśniania. Nauka nieustannie zbliża się do poznania świata, a jest to proces praktycznie nieskończony. Zatem musimy być przygotowani na to, że może nas coś zaskakiwać. Rzecz w tym, aby odróżnić zjawiska prawdziwe, zbliżające naukę do pełniejszego poznania świata, od zjawisk pozornych, mylących, prowadzących na manowce?

Wiele się pisało na przykład o filipińskich znachorach. Posiadają oni nawet patrona, którym jest Związek Chrześcijańskich Spirytualistów Filipin i który opiekuje się filipińskimi znachorami od 1909 roku. A zwalcza ich usilnie Związek Lekarzy Filipińskich. Sceptycy twierdzą, że filipińscy znachorzy są tylko sprytnymi oszustami. Ale są i tacy, którzy utrzymują, że znachorzy pomogli, choć być może działa tu sugestia i autosugestia.

A Clive Harris? Są ludzie gotowi zrobić wszystko, aby tylko Clive Harris ich dotknął. Potrzeba im tego, czy nie potrzeba, zawsze dobrze jest być dotkniętym przez cudotwórcę. I można byłoby to zostawić samym zainteresowanym, gdyby nie społeczne skutki wynikające z wyolbrzymionego mitu. Nikt nic nie wie dokładnie, ale wszyscy są przekonani, że „coś w tym jest". Tylko co? I zdarza się, że ludzie rezygnują z pomocy lekarza, aby tylko dotnął ich „cudotwórca". Z tym godzić się już nie można, bowiem lekarz przyniesie pomoc na pewno, Clive Harris być może. Co nie znaczy, że medycyna poradziła już sobie z wszystkimi chorobami. Często bywa ona jeszcze bezradna wobec ogromu ludzkiego nieszczęścia, ale mimo to nie rezygnuje z niesienia ludziom pomocy, lekarzy, szpitale, przychodnie — co byśmy o ich pracy nie mówili i nie sądzili — mamy na co dzień. Clive Harris medycyny nie zastąpi.

Drukowany obok tekst Andrzeja Makowieckiego wydaje temu nie najlepsze świadectwo.

(REDAKCJA)

sobnej chwili. Trzeba było jakoś starego wykurzyć z domu. Tu w sukurs koleżkom przyszły te przydługie nieco zimowe święta. Chudy podpuścił Zuzkę na dłuższą wycieczkę ze starym, a nieodrodna córeczka uporała się z tym zadaniem znakomicie. Tak więc na święta stary jubiler wyjechał ze swoją młodą kochanicą na wywczasy, w górki aż za Rabkę. Teren był czysty, robota ustawiona!

Wigilijni goście

W samą Wigilię, kiedy na dworze już ściemniało, Chudy i Mesel wyszli na robotę. Ponieważ ich gęby dobrze znał prawie każdy krakowski stójkowy, musieli się oczywiście przebrać dla niepoznaki. Oczywiście za Mikołajów! Mikołajów nikt się nie czepia, że po nocy pętają się z workami, wiadomo. Odstroili się więc pięknie za Mrozowych Dziadków, a do worków zabrali klamoty na robotę.

Zabrali też wielkiego pluszowego misia z pustym brzuchem, żeby było gdzie potem schować trefny towar dla niepoznaki. I jeszcze też parę innych zabawek, bo nie od razu poszli na fuchę. Najpierw, zgodnie z wcześniej uradzonym planem, obskoczyli z podarkami dla dziecisków kilku znajomków, u których się najęli za Mikołajów właśnie. Ot, taka niby koleżeńska przysługa. Dzieciaki miały radochę, a oni alibi na mur! Przecież nawet panowie milicjanci uśmiechali się do nich ciepło po drodze, jak nigdy przedtem. Pomysł z Mikołajami okazał się extra.

Późnym wieczorkiem, kiedy już cały naród biesiadował przy wigilijnym stole, a na ulicach świeciły tylko pustki i pojedyńcze latarnie, Mikołaje ruszyli do roboty. Gubiąc ślady, okrężną drogą zawinęli pod jubilerską kamienicę. Skok do bramy, w podwórko, do sieni, a potem zjazd do piwnicy. Cały parter kamienicy był absolutnie spokojny, bo mieszkał tu tylko Aaron G., który przecie wyjechał na zimowiska, a poza tym obok był tylko jeszcze jego zakład i dwa nieczynne o tej porze sklepy. Sąsiedzi z piętra nie liczyli się za bardzo, bo przecież byli akurat zajęci na amen swoimi rodzinnymi choinkami.

W piwnicy Chudy rozłożył graty, zapalił dyskretny świetlik, a Mesel wziął się za strop. Bez żadnego hałasu, na wypych. Przedziurawił strop klinami przy pomocy dwóch samochodowych lewarów. Po kilku zaledwie minutach droga do jubilerskich apartamentów stała otworem.

Migiem wskoczyli do jubilerskiego mieszkania, pootwierali wszystkie drzwi, aż dotarli na zaplecze zakładu, gdzie właśnie znajdowała się jubilerska pancerka. To był drobiazg z dorobionymi kluczami. Ale kasa zupełnie ich zaskoczyła! Nie darmo Aaron G. przechwalał się, że nikt tego nowoczesnego cuda nie otworzy. I faktycznie tak było. Zupełnie nie było sposobu ugryźć cholery! Cała w betonie, a na wierzchu ściany tylko gładka pancerna płyta, bez śladu jakiegokolwiek zamka. Zamek to był ale w środku, na specjalne fale radiowe, po amerykańsku, a nadajnik od tego zamka przezorny staruch zabrał ze sobą. Tak więc zanosiło się na kompletną klapę. Cały misterny plan diabli wzięli!

Ale uparty Mesel znów wziął się za kliny i lewary. Po pewnym czasie pancerka do połowy została wyłuskana z betonowej ściany, prawie bezszmerowo. Wtedy Mesel założył haki na framugi, podparł lewary od siebie i zaczął podkręcać. Długo nic nie puszczało, ale wreszcie żelastwo zaczęło jęczeć Nakryli kasę mikołajowymi kapotami, żeby uciszyć bydlę, podkręcili lewary do oporu. Framugi odgięły się w łuki, bolce wylazły z ram, popuściły zapadki. Drzwiczki odgięły się na tyle, że można było włożyć w szparę całą rękę. To wystarczyło. Tak to amerykańska supertechnika została pokonana przez krakowskich majstrów!

Błyskawicznie opróżnili kasę, nawet nie licząc dobytku. A było tego tyle, że tylko gęby im się otwierały ze zdumienia. Liczyli na wielki hajc, ale nie aż taki! Afrykanki, świnki i inne złote numizmaty, czysty kruszec w gąskach, kopa kamyków, parę dużych gotowych wyrobów i sporo drobnicy, a na końcu jeszcze pękata paczka zielonych amerykańców. Takiego fedrunku to nie miał chyba nawet stary Ślepy Maks ani też legendarny Szpicbródka!

Ledwo to wszystko upchali do pluszowego brzuszyska, na twardo. Aż się zasapali od tej roboty i niespodziewanego nadmiaru dobytku. Aż musieli trochę po tym wszystkim odsapnąć, aby dojść do siebie i jakiej takiej równowagi umysłu. Ale nie za długo, bo czas pilił. Posprzątali jeszcze śmieci po sobie, wyładzili lokal. Poubierali na powrót mikołajowe ciuchy. Czas był najwyższy, by się wynosić!

Na nieszczęście Chudy po drodze przyuważył w serwantce baniastą butelkę i dawaj do szkła. Mesel próbował go odciągnąć, ale gdzie tam! W końcu i on uległ pokusie, bo mróz był przecie na dworze, a na to kapinka nie zawadziła. Nie wiedzieli, że trafili akurat na parszywą anglosaską whisky. Dopiero kiedy wyciągnęli wszystko do dna, poczuli w bebechach istny ogień. Chudego paliła nawet gęba, bo z pośpiechu ochlapał sobie całą mikołajową brodę.

Trza było co rychlej wyrywać do domu na śledzika albo małosolne, bo tylko to mogło pomóc. Poza tym czas już był najwyższy, by opuścić lokal. Kamraci wzięli szybki odwrót, cichcem wymknęli się na ulicę i chodu. Ale nie za szybko, żeby nie robić obciachu. No bo kto tam widział galopujących Mikołajów? Przez to powolne człapanie i boja też potężnego na plecach droga dłużyła się im okropnie. A musieli dyrdać piechotą, bo miejska lokomocja była za bardzo ryzykowna po takiej robocie. Jeszcze by kto poznał gębę i afera gotowa. Na dodatek ten burżuazyjny samogon palił jak samo piekło, aż Chudy dostał kociej czkawki, a nawet rzygnął parę razy po drodze, co mu się dawno nie zdarzyło.

Wreszcie, choć do domu mieli już niedaleko, Chudy nie wydzierżył. Zachciało mu się papierosa i to na środku ulicy. Mesel go mitygował, ale Chudy włożył do pyska sporta i twardo zażądał ognia. Nie było rady; Mesel wydobył potężną gilzówkę, zatarł i podsunął kumplowi pod nos.

Rany boskie! Chudy jeszcze nie zdołał złapać ni cuga, a już jego podlana procentami konopna broda zagorzała jak pełna stodoła. Ogień w mig rzucił się też na wąsy i przypiekł w nos. Chudy wrzasnął jak zarzynany. Mesel czym prędzej rzucił się na ratunek, gasić kumpla, ale nie bardzo miał jak. Wody nie było, pod nogami śnieg jak skała, więc trzeba było dusić płomienie na przyklepkę.

Mesel więc zaczął trzepać Chudego po rozgorzałej charakteryzacji, jak popadło. A że zapomniał z tego wszystkiego o ciężkiej gilzówce w łapie, więc niechcący zdrowo dołożył kumplowi po pysku. Ogień wprawdzie trochę przygasł, ale zdezorientowany i przypalony do żywego Chudy zaczął machać łapami jak opętany i z tego rozmachu też parę razy walnął Mesla w ryło. Ten znowu, niezrażony, chciał dalej gasić chudeuszową brodę. I tak się zaczęło regularne mordobicie na całego!

Może w końcu by się to wszystko jakoś szczęśliwie skończyło, ale akurat na tę całą chryję napatoczył się jak raz milicyjny patrol. Milicjanci, widząc co się święci, z mety wzięli szalejących Mikołajów za łby i rozstawili po kątach, a właściwie po ulicy. Wtedy kamraci oprzytomnieli wreszcie, ale było już za późno! Tak więc przyjaciele powędrowali na najbliższy posterunek do wyjaśnienia.

Zapłata za amory

Wyjaśnianie trwało aż pół roku z dużym hakiem. Do Chudego i Mesla dołączył też Aaron G. za nielegalne obroty złotem i dewizami oraz niecnotliwa Zuzanna za spółkę.

Sprawa była bardzo mętna. Złodzieje zeznawali ciągiem solidarnie, że w Wigilię mikołajowali po znajomych, co zresztą nie było tak znowu dalekie od prawdy, a tego wypchanego złotem misia znaleźli na ulicy wracając do domu. Narzędzi żadnych przy nich nie zaleziono, bo porzucili je gdzieś po drodze zaraz po wyjściu od jubilera, więc ich opowiastki mogły mieć pozory prawdy. Jubiler potwierdził właśnie do swojej kasy, bo nie mógł zaprzeczyć faktom, ale cały czas uparcie się zarzekał, że nic mu nie zginęło, bo kasa była całkowicie pusta, a cały jego majątek to tylko tyle, co zostało na wystawie w sklepiku. Zuzanna odstawiała do końca niewinną gosposię.

Zrobił się niemały kłopot, bo do ostatka nie bardzo było wiadomo, komu wreszcie zginęły te parszywe błyskotki. Ale przecież w końcu wszystko się jakoś szczęśliwie wyklarowało. Chudy i Mesel dostali solidarnie, jak na długoletnich kumpli przystało, po osiem kalendarzy. Zuzanna trzy, bo i przed trybunałem była kokietka. A staremu jubilerowi za wieloletni staż w kantach wpadła równa dycha. Tak się w sumie skończyło, że okradziony wyszedł na tej całej historii akurat najgorzej!

WACŁAW PAWLAK

DYLIŻANSEM DO ROKICIN

W 1820 roku władze Królestwa Kongresowego podjęły decyzję uprzemysłowienia szeregu miasteczek rządowych położonych na obszarze ówczesnych województw mazowieckiego i kaliskiego. Dla ich prawidłowego rozwoju wystąpiła potrzeba budowy dróg, wiążących osiedla przemysłowe z siecią komunikacyjną kraju, jak również wyposażenie w odpowiednie środki transportu. Od warunków komunikacyjnych w znacznej mierze zależało zaopatrzenie rozwijającego się przemysłu w surowce oraz zbyt wyprodukowanych tkanin. Równolegle więc z zakładaniem osad przemysłowych podjęto budowę dróg i dojazdów do tych osiedli.

Prace nad ulepszeniem komunikacji w powstającym okręgu przemysłu włókienniczego rozpoczęto od zbudowania traktu z Łęczycy do Piotrkowa, wiodącego przez Ozorków, Zgierz, Łódź i Tuszyn. Wspomniany trakt, wytyczony w prostym prawie kierunku i budowany z dużym nakładem pracy, zakończony został wiosną 1821 roku. W gęstych borach obalano wyniosłe drzewa, zasypywano parowy, budowano groble na podmokłych łąkach, spinano brzegi rzek i strumieni drewnianymi mostami. Droga była wypukle zrobiona i obrzeżona głębokimi rowami dla odprowadzenia wody.

Na trakcie tym prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, Rajmund Rembieliński, zamierzał uruchomić komunikację pocztową ze staciami w Łodzi i w Zgierzu. Chwilowo jednak do tego nie doszło, ze względu na opory Generalnej Dyrekcji Poczty, która uważała, że „obywatele koło Zgierza i Łodzi zamieszkali blisko mają pocztę w Strykowie i Tuszynie." Gdy próba zaszczepienia przemysłu w Łodzi i sąsiednich miastach dała pomyślne rezultaty, przystąpiono do budowy tzw. traktu fabrycznego, wiodącego z Warszawy przez Łowicz, Zgierz, Łódź, Rzgów, Pabianice, Zduńska Wolę i Sieradz do Kalisza. Na odcinku od Zgierza do Rzgowa pokrywał się on więc z traktem piotrkowskim. „Trakt fabryczny" otrzymał ulepszoną nawierzchnię z tłucznia. Roboty przy jego urządzeniu trwały na przestrzeni lat 1832—1835. W latach 1844—1847 także trakt łęczycko-piotrkowski otrzymał nawierzchnię bitą.

Duże potrzeby komunikacyjne dynamicznie rozwijającej się Łodzi rychło spowodowały zmianę stanowiska władz pocztowych w kwestii uruchomienia w mieście stacji pocztowej. Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku Łódź posiadała już własną „poczthalterię". Mieściła się ona przy ul. Południowej (dziś Rewolucji 1905 r.) na rogu ul. Wschodniej. Ponieważ miasto nie miało własnego domu pocztowego, wynajmowano lokal od osoby prywatnej w drewnianym parterowym budynku. Dostęp do „poczthalterii" był utrudniony z przyczyny błota w niezabrukowanej ulicy, toteż łodzianie woleli czekać na dyliżans przy ul. Piotrkowskiej.

„Tabela traktów pocztowych na rok 1844" podaje, że „poczthalteria" łódzka miała do swej dyspozycji cztery konie pocztowe, a więc tyle, co stacja pocztowa w Pabianicach, czy Zgierzu. Znaczenie łódzkiej poczty musiało szybko wzrastać, skoro w 1851 roku liczba koni obsługujących dyliżanse pocztowe zwiększona została do dziewięciu.

Zadania stacji pocztowej były wówczas nieco inne niż dzisiejszego urzędu pocztowego. „Poczthalteria" stanowiła instytucję prywatną, działającą na podstawie odpowiedniej umowy zawartej pomiędzy „poczthalterem" (trzymającym pocztę) a władzami pocztowymi. Do obowiązków stacji pocztowej oprócz przesyłania korespondencji i paczek, należał również przewóz ludzi. Z „poczthalterii" przy ul. Południowej wychodziły dyliżanse pocztowe w kierunku Kalisza, Łęczycy, Łowicza i Piotrkowa, zabierając pasażerów, paczki i listy. Największy ruch panował na „trakcie fabrycznym". W budzie dyliżansu mieściło się 12 osób. Dyliżanse pocztowe, zwane także „kurierkami", jeździły na ogół regularnie. W zależności od stanu dróg osiągały one szybkość do 15 km na godzinę. Gorzej było z utrzymaniem się w rozkładzie jazdy w okresie zimowym. Zdarzało się, że dyliżanse grzęzły po osie w zaspach śnieżnych. Toteż w ówczesnej prasie napotykamy często wzmianki, że „na skutek zamieci omnibusy i kurierki przychodzą do Łodzi ze znacznym opóźnieniem."

Nie tylko jednak regularność i szybkość jazdy była ważna w czasie podróży. Duże znaczenie miała również możliwość wygodnego spędzenia czasu podczas postoju dyliżansu na poszczególnych stacjach. Dla wygody podróżujących przy traktach pocztowych znajdowały się domy zajezdne i karczmy. Prezentowały się różnie. Obok porządnych, murowanych zajazdów, napotykało się i takie, których wygląd zewnętrzny jak i wyposażenie wnętrza nie zachęcały do szukania w nich gościny. Dłuższe podróże dyliżansem nie należały więc do przyjemności. W dodatku często ugrzązł on w jakiejś dziurze lub wywrócił się do przydrożnego rowu, to znów złamała się oś czy też odpadło koło. Pasażerowie ściśnięci w ciasnym pudle dyliżansu, musieli znosić z cierpliwością trudy podróżowania, a znalazłszy się u celu, bez żalu rozstawali się ze swym wehikułem.

Na traktach łączących Łódź z okolicznymi miastami, oprócz dyliżansów pocztowych krążyły dwukonne furgony ciężarowe. Surowce, maszyny i towary całego regionu fabrycznego transportowano furgonami. Wozy frachtowe pokonywały znaczne odległości, dochodzące do 200 km. Sześć wozów utrzymywało regularną komunikację towarową pomiędzy Łodzią a Warszawą.

Uruchomienie kolei warszawsko-wiedeńskiej stworzyło nowe możliwości rozwoju transportu w łódzkim okręgu przemysłowym. Przewóz towarów koleją okazał się sprawny, szybki, a nade wszystko tani toteż fabrykanci łódzcy zaczęli szeroko korzystać z tego środka lokomocji. Do najbliższej stacji kolejowej w Rokicinach było 27 km, ale droga znajdowała się w złym stanie. Dlatego też „dla udogodnienia komunikacji z miasta Łodzi do stacji kolei żelaznej w Rokicinach władza wyższa zarządziła w roku 1847 budowę szosy na pomienionym trakcie pod administracją prezydenta m. Łodzi."

Trakt rokiciński, budowany kosztem miasta i zamożniejszych przemysłowców łódzkich, ukończono w 1851 roku. Od początku panował na nim ożywiony ruch. Codziennie kursowało tędy, nie licząc dyliżansu pocztowego, 10 prywatnych omnibusów, zdążających z pasażerami do stacji w Rokicinach. Traktem ciągnęły ciężkie wozy frachtowe, wiozące do kolei wyroby łódzkiego przemysłu, a w drodze powrotnej dowożące do fabryk bawełnę i węgiel. Sunęły szosą szybkie, błyszczące lakierem karety i powozy zamożnych łódzkich kupców i przemysłowców. Codziennie rano dojeżdżała poczta do stacji Rokiciny, wiosząc z Łodzi listy, paczki i pasażerów, których często było więcej niż miejsc w dyliżansie. Dla tych, którzy nie zabrali się „kurierką", istniała jeszcze możliwość podróżowania ekstrapocztą. Była to jednak „zwyczajna otwarta bryczka z siedzeniem, składającym się ze snopka słomy, nakrytym lichym kraiczakiem, a często i bez niego."

W 1866 roku Łódź otrzymała połączenie kolejowe z Koluszkami. Odtąd trakt rokiciński stracił wyraźnie na znaczeniu. Poważnemu ograniczeniu uległa także działalność łódzkiej „poczthalterii". W tym bowiem czasie nastąpiło rozgraniczenie czynności pocztowych. Przewóz pasażerów dyliżansami pozostawiono nadal pocztę końnej, natomiast właściwe czynności pocztowe przejął „Urząd Pocztowy I Klasy" otwarty w domu przy ul. Piotrkowskiej nr 34.

Poczta konna przeniesiona została w 1872 roku na ul. Zawadzką nr 9 (dziś Próchnika), stamtąd zaś na ul. Widzewską nr 97 (obecnie Kilińskiego), w pobliże stacji kolejowej. Jak informował „Rozwój" z 1898 roku, „dla wygody oczekujących i przyjeżdżających pasażerów, zwłaszcza zaś w porze zimowej, na tuteyszej poczthalterii otwarty został bufet II klasy." Zbudowana w 1902 roku linia kolejowa warszawsko-kaliska spowodowała likwidację poczty końnej na „trakcie fabrycznym". Dyliżanse pocztowe utrzymały się tylko na bocznych drogach, oddalonych od szlaków kolejowych, jednak po pierwszej wojnie światowej wyszły całkowicie z użycia.

Foto: R. Jaworski

JERZY WILMAŃSKI

KRAINA Z DZIECIĘCYCH SNÓW

Kiedy ojciec kupuje 5-letniemu synowi bardzo skomplikowaną kolejkę elektryczną, to wiadomo, że będzie to radość i zabawa w równym stopniu dla ojca co dla syna. A może nawet dla ojca większa.

Kiedy Walt Disney rozpoczynał budowę swojej czarodziejskiej krainy — Disneylandu — na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że będzie to atrakcja w równym stopniu dla dzieci co i dla dorosłych. Disneylandy, lunaparki, wesołe miasteczka przyciągają bowiem publiczność od lat siedmiu do siedemdziesięciu. Ale budowane są z myślą o dziecku i dla dzieci. Te czarodziejskie, bajkowe miasteczka, realizują dziecięce sny o cudownych przygodach, o przeżyciu na jawie kolorowych filmów z bajkami.

Dyrektor **Jerzy Płoszyński** z łódzkiego **Zjednoczenia Przedsiębiorstw Rozrywkowych** mówi: „Rok leżała w Łodzi szwedzka oferta na budowę lunaparku, wreszcie ogłoszono przetarg i kupiliśmy w końcu tę koncepcję."

I słusznie. **Wkraczamy w rok 1979 — ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Dziecka.** W Łodzi na Zdrowiu zaczyna się wykluwać z projektów i programów **Centrum Radości i Uśmiechu Dziecka.** Na razie zaczynamy skromnie — od kilkunastu karuzel i kolejek wirujących latem wśród drzew nie opodal Konstantynowskiej. Ale — jak słychać — na inwestycje rozrywkowe przeznaczono ok. 300 mln zł i gdy słoneczko przygrzeje i pójdzie wyżej, na Zdrowiu zacznie się ruch...

Na razie jest tylko szara teczka z plikiem maszynopisów. Tytuł: **„Projekt koncepcyjny rozbudowy i przebudowy lunaparku przy ul. Konstantynowskiej".**

Istniejący od trzech lat lunapark na Zdrowiu budowany był sukcesywnie, a to, co jest tam obecnie, to wynik działań cząstkowych. Ot po prostu, uzupełniano czy w razie potrzeby — wymieniano poszczególne urządzenia. Wiadomo — teren jest nieuzbrojony, brak koniecznych instalacji zarówno elektrycznych jak i sanitarnych — brak zatem odpowiedniego sprzętu.

Czas więc, w oparciu o istniejącą lokalizację przystąpić do planowej, całościowej przebudowy i rozbudowy lunaparku. Wiadomo już, że zarówno dzieci jak i dorośli zaakceptowali wizję łódzkiego Disneylandu i jego lokalizację.

Zresztą Zdrowie od lat jest tradycyjnym dla łodzian miejscem rekreacji i wypoczynku, zabaw ludowych i festynów. Dodajmy jeszcze, że bliskość ogrodu zoologicznego i botanicznego sprawia, iż może się tu narodzić ogromny kompleks rekreacyjno-rozrywkowy o wielu funkcjach.

Byłby to pierwszy tego rodzaju nowoczesny zespół rozrywki masowej w Polsce.

Puśćmy wodze fantazji, która — jak zapewniają nas projektanci — oblecze się w realne kształty już za parę lat. A więc wysiadamy z tramwaju czy autobusu przy ul. Konstantynowskiej, nie opodal ZOO. Skręcamy w prawo — tutaj będzie tzw. strefa pierwsza, czyli zespół rozrywki przystosowany do całorocznego funkcjonowania. W ciąg istniejącej tu zieleni wkomponowane zostaną niewielkie pawilony. Ciąg ten nazwano **„Aleją Iluzji".**

Pójdźmy więc **„Aleją Iluzji".** Po lewej stronie mamy do wyboru: pawilony gier zręcznościowych różnego rodzaju loterie, strzelnice, gry elektroniczne, rzutnie... Po stronie prawej możemy trafić do tajemniczych labiryntów, z których wyjście umożliwi nam tylko rozwiązanie elektronicznego szyfru... Ale bez obawy, gdy ktoś nie da sobie sam rady, pomoże mu w tym personel pawilonu.

Obok elektronicznych atrakcji znajdziemy tu rozrywkę starą jak świat, bawiącą już naszych prapradziadków, czyli gabinety luster zwane także gabinetami śmiechu. Kto śmiać się nie chce ze swego odbicia w krzywym zwierciadle, może wypróbować krzepę na siłomierzach. Kto ma mocne nie tylko mięśnie, ale i nerwy, może odwiedzić Pałac Strachów. Zaraz obok stanie Teatr Czarów, w którym odbywać się będą stale występy iluzjonistów.

Po tych wszystkich atrakcjach, gdy już dojdziemy do końca **„Alei Iluzji",** możemy zasiąść w spokoju w przestronnych restauracjach i kawiarniach.

Ta strefa — wzbogacona jeszcze o dużą salę widowiskową — będzie miała jednolity charakter architektoniczno-plastyczny: coś w rodzaju miasteczka z kolorowej bajki.

Kiedy już wypijemy kawę, możemy ruszać dalej. Czeka na nas Strefa Druga, czyli zespół dużych urządzeń lunaparkowych.

Dla odważnych i tych, którym nie grożą zawroty głowy, będą dwie lub trzy kolejki górskie, zespół kilkunastu karuzeli różnego typu, tory gokartów i autoskuterów, beczki śmiechu...

W tej strefie, z natury rzeczy, działalność rozrywkowa odbywać się będzie tylko w sezonie wiosenno-letnim. Łodzianie znają to miejsce, jest to spora niezadrzewiona przestrzeń przy końcu przyszłej **„Alei Iluzji".** Aby uniknąć monotonii spowodowanej zarówno płaskością terenu i brakiem drzew, projektuje się tu sztuczne zróżnicowanie wysokości w tym rejonie. Ta strefa nosić będzie nazwę „Odwaga".

Strefa Trzecia, stworzona w oparciu o istniejący tu zbiornik wodny, nazywać się będzie **„Światem Neptuna".** Tutaj wybuduje się i zainstaluje wszelkiego rodzaju urządzenia związane z rozrywką na wodzie.

Repertuar atrakcji będzie niezwykle bogaty. Od zupełnie prostych i popularnych rowerów wodnych, kajaków, łodzi wiosłowych oraz zjeżdżalni do wody — aż po górsko-wodne kolejki i — uwaga! — łódź podwodną. **Podróż łodzią ukaże nam podwodny świat roślin i stworzeń, specjalnie zaaranżowany plastycznie. Przez wizjery łodzi oglądamy na przykład leżący na dnie wrak pirackiej korwety, zatopioną galerę, dziwne nie znane ryby i morskie płazy...**

„Świat Neptuna" będzie czynny tylko w okresie letnim, zima zaś zbiornik wodny przeistoczy się w wielką ślizgawkę.

Strefa Czwarta usytuowana będzie prostopadle do alei — na przedłużeniu Strefy Trzeciej. Planuje się tutaj rozrywki sportowe. A więc w głębi pole golfowe, obok strzelnica dla łuczników oraz strzelnice sportowe. Tutaj też będzie można spróbować przejażdżki na koniach, wielbłądach i osłach.

W strefie sportowej planuje się wybudowanie sztucznego stoku narciarskiego z igielitu, który zimą mógłby być wykorzystywany jako naturalna trasa zjazdowa. Również na stoku zbuduje się tor bobslejowy.

Oczywiście wszystkie strefy wyposażone zostaną w zespoły mini-gastronomii i odpowiednie zaplecze sanitarne.

Strefę Piątą zlokalizuje się w pobliżu wejścia do lunaparku, nieco bliżej od strony miasta, przed **„Aleją Iluzji".** Będzie to teren stosunkowo niewielki — przeznaczony dla najmłodszych. W tym „Świecie Dzieci" zainstaluje się małe karuzele, elektryczne mini-skutery, huśtawki, kolejki.

Wszystkie pięć stref połączy kolejka linowa, której trasa przebiegnie nad ogrodem zoologicznym. Obserwacja z góry zwierząt na wybiegach i całego terenu ogrodu i lunaparku będzie niewątpliwie niecodzienną atrakcją.

Ten niezwykle interesujący projekt opracował zespół w składzie: **Lech Gomuliński, Lech Golański, Krzysztof Kakowski, Kazimierz Rek i Jerzy Wajgiel.**

Mimo dużych sum przeznaczonych na budowę łódzkiego Centrum Radości i Uśmiechu Dziecka, wiadomo, że nie wyłoni się ono jak Wenus z morskiej piany. Taka ogromna inwestycja niesie ze sobą masę problemów budowlanych, materiałowych, dewizowych itp. Przecież wszystko, co powstanie w najbliższych latach na Zdrowiu, to obiekty nietypowe, wręcz unikalne, wznoszone bez doświadczeń w tej mierze.

Łódzkie Centrum Radości będzie jedynym tego rodzaju zespołem rozrywkowo-rekreacyjnym i nie ma tu wzorów, na których można by się opierać. Zdaje więc sobie sprawę z tysiąca problemów, jakie staną przed twórcami tego obiektu. **Ale dobrze, że Międzynarodowy Rok Dziecka zaczynamy od czułej pamięci o naszych najmłodszych obywatelach, że w ten Rok wchodzimy ze spójną, przemyślaną koncepcją Centrum Radości i Uśmiechu Dziecka.**

Na drodze tej realizacji wiele będzie przeszkód, kłopotów i trudności. Nie przyniesie nam nowego kształtu Zdrowia — święty Mikołaj. Tym pięknym wspaniałym prezentem cieszyć się będą w pełni dopiero te dzieci, które dziś jeszcze gaworzą w kołyskach.

Ale to przecież dla nich planuje się tę krainę z dziecięcych snów, nie dla nas — starych koni. Choć i my, dorośli, pójdziemy tam w letnie popołudnie — jeśli nawet nie po to aby siąść na karuzeli, to po to, aby zobaczyć roześmiane radośnie dziecięce twarze.

LAS USTĘPUJE

Z I zastępcą dyrektora Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych, mgr inż. HENRYKIEM BAKSALERSKIM rozmawia Bogda Madej.

Raz do roku, na święta Bożego Narodzenia, las przychodzi do miasta. W mieszkaniach ustawia się i ubiera choinki. Skąd bierzecie tyle choinek, aby zaspokoić tradycyjne potrzeby ludzi z miast i wsi? — pytam mgr inż. HENRYKA BAKSALERSKIEGO.

— Mamy specjalne plantacje przeznaczone na ten cel. W kraju jest około 6 tysięcy ha plantacji choinek świerkowych. Wykorzystuje się do tego tereny, na których nie można sadzić normalnego lasu. Na przykład pod liniami wysokiego napięcia.

— Jak długo musi rosnąć drzewko świerkowe, aby stało się dwumetrowa, ładna choinka?

— Około 10 lat.

— A jodła?

— Jodła w tym roku w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jodły mamy mało i jest pod ochroną. Nie wolno jej wycinać na choinki. Tak więc, jeśli ktoś będzie niósł jodłę i spotka go miliciant lub leśnik, to sprawa idzie od razu do kolegium lub do sądu, bo ta jodła pochodzi z nielegalnego wyrębu.

— Świerków starczy dla wszystkich?

— Bez wątpienia. W ubiegłym roku nawet trochę zostało. My zresztą obserwujemy spadek popytu na choinki. Prawdopodobnie ludzie w coraz większym stopniu zastępują żywy świerk sztucznymi drzewkami, bądź różnymi dekoracjami z gałęzi świerkowych.

— Ile lasów mamy w okolicach Łodzi?

— Lasy zajmują około 24 tysięcy ha powierzchni. Są to lasy państwowe, prywatne i inne, jak na przykład Las Łagiewnicki czy Sokolnicki, które są własnością miejską. W sumie mamy 45 kompleksów leśnych, ale nie są one ani tak wielkie, ani tak zwarte, jak to bywa w innych rejonach kraju.

— Czy to dużo, czy mało w porównaniu z innymi rejonami w Polsce?

— Przeciętnie w kraju lasy zajmują 27,4 proc. powierzchni. W województwie miejskim łódzkim — 14 procent.

— Czy są województwa, które mają jeszcze mniej lasów?

— Są. Skierniewickie ma 12,8 proc., a płockie — 11,7.

— A inne województwa typowo miejskie, takie jak stołeczne czy krakowskie?

— Te mają więcej lasów. Stołeczne warszawskie ma 22,1 proc. powierzchni z lasami, a miejskie krakowskie — 16,8 proc.

— Łodzianie nie mogą więc zbytnio liczyć na atrakcyjny wypoczynek w lesie?

— Niezupełnie. Poza granicami województwa miejskiego łódzkiego, ale w promieniu 30 km od Łodzi znajdują się jeszcze lasy Kolumny, Rydzynek Gałkówka, Brzezin. Staramy się chronić te lasy, wyrabywać je mniej niż inne, aby łodzianie mieli jednak swoje tereny rekreacyjne. Zupełnie nie wycinać nie możemy, bowiem las musi dostarczać drewna, ale robimy to w rozmiarach ograniczonych. Jeżeli na przykład dla sosny ustalono wiek wyrębu na 100 lat, to w rejonie Łodzi wyrębujemy sosny dopiero po 120 latach. Poza tym nie wszystkie lasy jednakowo chętnie udostępniamy turystom, bo turyści — niestety — niszczą lasy.

— Z jakich udogodnień turystycznych można korzystać w lasach położonych niedaleko Łodzi?

— W lasach leżących w obrębie województwa miejskiego łódzkiego dla turystów urządzono 5 miejsc biwakowych, 7 parkingów, 16 miejsc postojowych, 2 ścieżki zdrowia i jedno pole campingowe.

— Nie jest to dużo.

— Tak. Ale po pierwsze, to jest tylko to, co znajduje się na obszarze województwa łódzkiego, a po drugie — kosztuje to rocznie 1,5 miliona złotych. Nie jest więc to sprawa bagatelna. Staramy się rozszerzać te urządzenia, a poza tym turysta udając się poza obręb województwa łódzkiego też korzysta z podobnych urządzeń.

Proszę nie zapominać, że środek Polski jest rejonem postępującego procesu urbanizacji i industrializacji. I las przed takimi procesami musi ustępować. Dlatego też musimy rozsądnie budować różne urządzenia dla turysty, aby nie marnować pieniędzy. Wybudowaliśmy na przykład w lesie koło Gołybowa parking za 400 tysięcy złotych, zlokalizowaliśmy go na trasie Łódź — Piotrków Trybunalski. Kiedyśmy ten parking budowali, nikt nie zgłaszał żadnego sprzeciwu. Okazało się jednak, że będzie się budować drugie pasmo drogi z Łodzi do Piotrkowa i w związku z tym musimy ten parking przenieść dalej w las. Można to było zrobić od razu ale jakoś nikomu to do głowy nie przyszło, choć przecież od dawna było wiadomo, że trzeba będzie drogę do Piotrkowa poszerzać.

— Kiedyś las napierał na ludzkie osiedla, dziś dzieje się odwrotnie. Ludzie wypierają lasy. I las ustępuje. Nie tylko przecież przed budowniczymi. Przed skutkami ludzkiej działalności również.

— Niestety. Przemysł czyni ogromne spustoszenie. Na przykład w lasach Krogulec czy Grotniki jest zagrożonych około 1.300 ha. Grotnickie lasy niszczy „Boruta" ze Zgierza. Umiera las pod Tomaszowem Mazowieckim, a także wokół Działoszyna, gdzie pracuje cementownia „Warta". To co dzieje się w okolicy Działoszyna, można wręcz nazwać „gipsowaniem lasu". Pył opada na drzewa, jest to pył cementowy. Później deszcz lub rosa wiąże ten pył i powstaje skorupa. Jeszcze drzewa liściaste potrafią się przed tym bronić, zrzucając jesienią liście. Natomiast gorzej jest z drzewami iglastymi, które „cementują się" na długo i powoli umierają.

Foto: J. Mendychowski

— A w naszym rejonie przeważają lasy iglaste.

— Tak. Około 80 proc. stanowią lasy iglaste.

— Czy w okolicach Łodzi występuje jodła?

— Jest jej tutaj niewiele. Występuje ona na granicy swego zasięgu, która to granica przebiega w okolicy Łodzi. Jodła rośnie jeszcze w lesie Krogulec, Szczawin, jest jej trochę w okolicach Głowna. Ale na skutek oddziaływań przemysłu jodła się cofa i zanika. Musimy w ogóle drzewa iglaste w rejonach uprzemysłowionych zastępować drzewami liściastymi, jako bardziej odpornymi. Nie jest to jednak takie proste, gdyż drzewa liściaste wymagają z kolei innych, lepszych gleb, niż drzewa iglaste. Sosna na przykład rośnie na gruntach które już nie nadają się pod uprawy rolne, na gruntach najgorszych, piaszczystych. Z drzewami liściastymi sprawa przedstawia się inaczej.

— Zadaniem leśników jest powstrzymywać proces cofania się lasu. Jak wywiązujecie się z tego zadania?

— Tylko w samym województwie łódzkim znajduje się 880 ha, które powinny być zalesione. Są to ziemie, które praktycznie nie nadają się pod inne uprawy, ale część z nich jest nadal uprawiana. Uprawiają je chłoporobotnicy. Dla nich wystarcza to, co zbierają z tej ubogiej ziemi. Nam jednak utrudnia to realizowanie naszych zadań. Obowiązuje nas przecież zasada, że ziemia przeznaczona pod las, jeśli jest nadal uprawiana przez rolnika, to dla nas jest nietykalna. W rezultacie gdzieś około 60 procent tej ziemi pójdzie pod las. Reszta zostanie u rolników.

To wszystko zresztą mało. Nam chodziłoby o to, aby można było tak sadzić las, żeby łączyły się ze sobą poszczególne kompleksy leśne, żeby tego lasu było więcej, żeby pasami otoczyły Łódź. Ale na to potrzeba więcej ziemi. Ziemia jest jednak w tej okolicy potrzebna pod sady, warzywa, zboże, pastwiska. Las musi ustępować przed tymi potrzebami.

— Co więc robić?

— Proszę nie myśleć, że my w ogóle nie sadzimy lasów. Rocznie zalesiamy od 150 do 200 ha. W tym roku, na przykład, panowaliśmy zalesić 190 ha, ale posadzimy las gdzieś na 85 proc. przeznaczonego do zalesienia obszaru. Na ogół plany nasze wykonujemy w 80—90 procentach. W przyszłym roku chcemy posadzić las na obszarze 210 ha, ale chyba też nie uda nam się spełnić tego zadania w 100 proc. To nie znaczy, że nie będziemy się starali.

Na tym się jednak nie kończy nasza rola. Pomagamy w sadzeniu drzew wzdłuż dróg polnych, wzdłuż rzek, kanałów, między polami, w osiedlach i gdzie tylko można. Pomagają nam w tej akcji urzędy gminne, szkoły, ale ich rola kończy się w zasadzie na zalesianiu. Tymczasem później trzeba o te młode drzewa dbać. I tu już nie ma się kto tym zająć. Drzewa niszczeją. Nikt sobie jakoś nie uświadamia, że na przykład lipa musi rosnąć przez pięć lat, aby można było ją przesadzić. Topola, która rośnie szybciej, musi jednak rosnąć przez dwa lata. Aby młode drzewka przygotować do przesadzenia, trzeba najpierw włożyć w to wiele pracy i wiele starań.

Ludzie jakoś o tym nie myślą. Wydaje im się, że drzewo rośnie samo. Proponujemy na przykład rolnikom obsadzanie polnych dróg, a oni nie chcą. Z partykularnego punktu widzenia często mają rację, bo drzewo może wyciągać soki z gleby, może przeszkadzać. Ale nie tylko. Pasy drzew rosnące między polami wytwarzają mikroklimat, chronią przed wiatrami, nie pozwalają wysuszać gleby, są w sumie bardzo pożyteczne.

— Mamy chyba jeszcze w Polsce lasy, w których można zabłądzić?

— Oczywiście. Są jeszcze takie obszary leśne, na przykład w Beskidach, w nadleśnictwie Tarnawa, gdzie nie tylko nie można dojechać, ale gdzie dojść nie jest łatwo. Trudno dostępne partie lasów znajdują się też w Olsztyńskiem, Zielonogórskiem. Ale w naszych lasach też można zabłądzić, jeśli się człowiek nie umie orientować w lesie. Sam zresztą miałem kiedyś trudności z wyjechaniem z lasów spalskich. Fakt, iż pod Łodzią mamy lasów nie tak dużo, wcale nie świadczy o tym, że nie można w nich zabłądzić.

— A czy w łódzkich lasach żyje jeszcze zwierzyna?

— Tak. Nie mamy wprawdzie jeleni, ale mamy 70 danieli. Najwięcej ich jest w lasach koło Głowna i Wiączynia. Saren mamy 380, 100 dzików, wiosną było 1.700 zajęcy, ale teraz zajęcy jest znacznie mniej. Ciągłe deszcze powodowały, że zwierzyna była stale mokra, mniej odporna na choroby i padała. Zmniejszyła się też liczba kuropatw.

— Czy było kiedyś więcej zwierzyny w podłódzkich lasach?

— Przed „zimą stulecia" było znacznie więcej. Mieliśmy na przykład wtedy sporo bażantów. Zostało ich mało. Ale teraz już rozwijają się dobrze. Mamy w Spale bażanciarnię, która daje rocznie od 15 do 20 tysięcy sztuk. 2—3 tysiące z tego idzie wprawdzie na eksport, ale reszta do lasu.

— Kto kupuje u nas bażanty?

— Kupuje się je do Francji, do RFN i Włoch. Ale oni te bażanty wpuszczają do lasu, aby zaraz na nie polować. Coś się tam jednak zawsze z tego uratuje.

— Jaki jest wasz, leśników, stosunek do tego wielkiego pędu, jaki się ostatnimi laty obserwuje. Myślę o modzie na „dacze". Parceluje się lasy, sprzedaje czy daje w wieczystą dzierżawę i zamiast drzew rosną tam ładniejsze, brzydsze, lub w ogóle nijakie domki do których jeździ się wypoczywać.

— Dzieje się to w lasach niepaństwowych. W państwowych lasach nie ma mowy o jakimkolwiek budowaniu. Dzieje się to jednak w części — trudno mi powiedzieć jakiej — nielegalnie. Zabudowuje się lasy nie tylko wokół Łodzi. Wokół innych dużych miast również. Niestety.

— Czy zawód leśnika cieszy się popularnością?

— Sporo młodzieży uczy się tego zawodu. W leśnictwie nie brakuje w zasadzie inżynierów. Brakuje natomiast techników. Szkoły leśne kształcą techników, tylko, że oni później pracują gdzie indziej. Nie wytrzymujemy konkurencji z przemysłem, kółkami rolniczymi.

— Z okazji świąt i Nowego Roku pozwoli Pan, że na Pana ręce dla wszystkich leśników w imieniu redakcji i naszych Czytelników złożę życzenia sukcesów w waszej trudnej pracy. Oby las nie musiał ustępować dalej przed cywilizacją. Oby wszyscy nauczyli się szanować lasy.

— Dziękuję.

RYSZARD BINKOWSKI

NA ROGU

O dziesiątej Podroba przyswoił dwa wina i stanął na rogu z nadzieją, że złapie okazję do poprawki. Miał dwadzieścia lat i ponure spojrzenie, w którym tkwiła głęboka uraza do ludzi i milicjantów że nazywają go pasożytem, nierobem i awanturnikiem, co tylko zaprawia urządza matce draki i niszczy sprzęty domowe. Rozpogodził się na widok równiolatka Wasiaka, który był po piwie i przy forsie, ponieważ dorywczo łapał robotę przy rozładunku wagonów na stacji PKP w Andrespolu. Wasiak złożył ofiarę na pół litra, wypili i znowu stanęli na rogu, żeby się rozejrzeć za jakimś jeleniem.

Podroba zrobił się gadatliwy, Wasiak natomiast posępniał z minuty na minutę, ponieważ bardzo boleśnie kontemplował sytuację rodzinną. Był trzy miesiące po ślubie, żona w ósmym miesiącu ciąży, chroniczny brak pieniędzy, a z kobiety żadnego pożytku...

Natenczas z „Turystycznej" wyszła po skonsumowaniu obiadu Janina K., trzydziestoletnia panna-rencistka z ośmioletnią córką Iwoną, której z okazji wypłaty renty sprawiła rajtuzy i kilka ciastek deserowych. Była w jesionce i brązowych spodniach, twarz miała brzydką pospolitą, o zdecydowanie męskich rysach, w której dominował duży czerwony nos oraz rzadkie, tłuste, ciemne włosy. Nie wyglądała apetycznie, ale kiedy poprosiła o papierosa, skwapliwie ją poczęstowali. Podroba zagaił, czy by nie strzeliła kieliszeczek wina. Powiedziała, że owszem, ale niech kupią dwa wina, to ona zaczeka na dołach, czyli na targowisku i pomoże trochę im w piciu.

Poszli do sklepu spożywczego, Wasiak kupił „Chochlika" za 43 zł i udali się na targowisko. Janka czekała, ale oświadczyła, że nie będzie pić w miejscu publicznym, bo ktoś może zobaczyć i zaraz zepsuje jej opinię. Najlepiej golnąć gdzieś w lasku, bliżej domu.

Poszli więc polną drogą w stronę ul. Feliksińskiej. Wasiak dał Jance w prezencie foliową torbę, reklamówkę „Technozbytu" żeby miała gdzie włożyć zakupy, lecz stwierdził z goryczą, że tym gestem wcale nie zdobył jej względów. Bo przez całą drogę Podroba obejmował ją wpół i usilnie namawiał „na miłość". Janka oświadczyła, że kocha Podrobę a Wasiak jej niepotrzebny i w ogóle przeszkadza.

— Dajcie małej dwa złote i odprowadźcie — poleciła, gdy znaleźli się w lasku — bo nie będę piła przy dziecku.

Wspaniałomyślny Wasiak dał Iwonce dwadzieścia złotych, bo nie miał drobnych, i Podroba odprowadził dziewczynkę do Feliksińskiej, skąd już sama poszła do domu. Wrócił na ziwak i zaczęło się picie...

* * *

Ciotka wyszła za stodołę i zobaczyła, że w lasku na kupie gałęzi siedzi dwóch młodych chłopaków, obok których stoi Janka z butelką w ręku. Ciotka zaklęła pod nosem i wróciła do swojej roboty. Kiedy w jakiś czas potem usłyszała wołanie: „ciotka, ciotka", nawet nie wyszła za stodołę, bo pomyślała, że Janka znowu popiła i zaczyna swoje wariactwa...

Około godz. 16.00 Stanisław P., technik rolnik na rencie chorobowej, wyszedł na podwórko i został zaalarmowany przez bawiące się dzieci, że w lasku kogoś biją i, że ten ktoś rozpaczliwie wzywa pomocy. Stanisław P. zobaczył, że w stronę „Campingu" idą dwaj młodzi mężczyźni, a za nimi wlecze się trzeci, w spodniach i w kurtce, pewnie starszy i mocno poturbowany. Wsadził sąsiada do swojego samochodu i ruszyli za rozbójnikami, aby udzielić pomocy i ochronić przed nim tego trzeciego, ale on zniknął.

Dojechali do ul. Błotnistej, tamci dwaj akurat wyszli z lasu, jeden ocierał krew z twarzy. Sąsiad oświadczył, że skoro mają rysopisy, to nie warto zbójów zatrzymywać, bo może się wywiązać bijatyka, lepiej więc powiadomić MO. Zabrali do samochodu milicjanta i udali się w rejon „Campingu", gdzie ujęto dwóch ludzi na piciu oranżady. Kiedy przywieziono ich na posterunek, był tam już trzeci osobnik, którym okazała się Janina K.. Twarz miała jeszcze brzydszą, bo posiniaczoną i zniszczone odzienie. Oświadczając że zatrzymanymi są Podroba i Wasiak, zdała następującą relację z przebiegu wydarzeń w lasku.

— Jak Podroba odprowadził małą, zaczęliśmy pić wino. Jak wypiliśmy, Podroba powiedział, że za to wino muszę mu dać. Ja mu powiedziałam, że to nie jest dobre miejsce na takie sprawy. Kiedy się zrobił ostrzejszy, powiedziałam że nie będę się z nimi p....., bo nie jestem mewka. Wtedy on rozdarł mi bluzę, zaczął szarpać spodnie, bo były zapięte na klamerkę, wreszcie trzasły w kroku i on mi je zdjął. Potem ściągnął mi rajtuzy i majtki... Jak położył się na mnie, to zaczęłam bluźnić i krzyczeć, kopałam nogami i zaczęłam ich drapać po twarzach. Bo Wasiak trzymał mnie za głowę i zaciskał ręką usta, a Podroba dwa razy trzasnął mnie pięścią między oczy. I już prawie byłoby po mojej cnotliwości, bo traciłam przytomność, ale wtedy nadeszła jakaś kobieta i oni uciekli... Nie wiem, dlaczego poszłam z nimi do lasku i odprawiłam córkę do domu. Myślałam, że żartują. A poza tym dostałam apetyt na wino bo lubię wypić. Nie myślałam, że mogą mnie zgwałcić, bo przecież ich znałam...

* * *

Podroba twierdzi, że nie miał względem Janki żadnych planów seksualnych. Był na zwolnieniu lekarskim, miał uszkodzoną lewą dłoń, nie mógł więc gwałcić. W lesie wypił trochę wina, dał Wasiakowi, a ten dał resztę Jance. Ale ona najpierw nie chciała pić. Potem znowu chciała wypić wszystko, więc jej nie dali. A jak się położyła na murawie, to Podroba wziął ją za jedną nogę, Wasiak za drugą, i rozciągnęli. Podroba drugą ręką podstawił jej do ust butelkę z winem, ale zacisnęła wargi i wino się zniszczyło. Krzyczała, bluźniła i drapała, więc ze złości strzelił ją w dziób...

Wasiak uważa, że Podroba był wredny jak pies. Bo jak Janka zaczęła bluźnić, kopać i drapać, to on chciał mu pomóc. Przycisnął Jance głowę, zatkał usta, ale Podroba odepchnął go i powiedział, że sam ją załatwi. Wasiak jest jednak lojalny i oświadcza, że Podroba był ubrany i miał zapięte spodnie.

Biegli stwierdzili, że obrażenia na twarzy Janiny K. są najświeższej daty, a otarcia naskórka na twarzach mężczyzn, równie świeże, powstały w wyniku drapania. A więc była próba gwałtu i Podroba z Wasiakiem idą za kratki.

Ale rodzona ciotka Janki jest zdania, że skoro Janka prawie co dzień popija, to wszystko może się jej przytrafić. Tylko nie gwałt. Bo nie z gwałtu, lecz z litości została poczęta przed ośmiu laty Iwonka. Ojciec został „między ludźmi", ponieważ przerażał go wygląd i sposób życia niedoszłej małżonki.

Jeden z sąsiadów zwierzył się szczerze, że pewnego razu pijaną Janka zaatakowała go znienacka, prowokując do gwałtu. Odepchnął ją i upadła. Pokazując zabrudzone ziemią plecy oświadczyła, że jeśli da jej tysiąc złotych, to nie pójdzie na milicję. Sąsiad jednak nie przejął się groźbą...

A jak chodzi o kobietę, która przepłoszyła gwałcicieli, to ona wyjaśniła, że owszem, znalazła się przypadkiem blisko miejsca zajścia, ale to co zobaczyła, wcale nie przekonało jej o dokonywanym tam gwałcie. Widziała, że Janka jest w dechę pijana, bo co tamci ją podnieśli, to się wywalała jak długa i wcale nie wzywała pomocy, tylko tak klęła na tych mężczyzn, że zgroza powtórzyć. W końcu zostawili ją i odeszli wolnym krokiem. Wcale nie uciekali...

No, ale nawet za nieudaną próbę gwałtu trzeba odpokutować. A wszystko przez to, że ludzie lubią zamieniać się rolami. Gryby bowiem mężczyźni nie urzędowali całymi dniami na rogu, nigdy by do tego przykrego zdarzenia nie doszło...

SPOWIEDŹ CZESŁAWA PAŁKA

Teatry łódzkie dostarczyły ostatnio widzom sporą porcję komedii. Przynajmniej jeśli idzie o systematykę gatunkową, bo mniej komediowo przedstawia się sprawa ich scenicznej realizacji. Problem w tym, że śmiechu w teatrze nigdy nie zapewni sam tekst. Choćby najprzedniejszy. Trzeba znaleźć dla niego taki wyraz sceniczny, który nie tylko ożywi i nada barwę postaciom, ale je również zinterpretuje — słowem — z dobrej wypowiedzi literackiej pisarza, uczyni równie dobrą wypowiedź teatralną reżysera. Jak różny kształt ta ostatnia może przyjmować wystarczy sprawdzić w Teatrze Powszechnym i Nowym. Przykład tym bardziej wymowny, że łączy te spektakle osoba Aleksandra hrabiego Fredry.

Czysty przypadek sprawił, że propozycje dwóch pozostałych scen łódzkich skłaniają również do ich porównawczego zestawienia. Nie o autora tym razem idzie, lecz o temat. Myślę o ostatniej premierze Teatru Ziemi Łódzkiej i prezentowanym na Dużej Scenie Teatru Jaracza „Rozwodzie" Jordanowa. Uwagami na temat bułgarskiej sztuki podzieliłem się w tym miejscu przed tygodniem; dziś chciałbym to uczynić w odniesieniu do scenicznej realizacji **„Cudzołóstwa ukaranego" Janusza Głowackiego.**

Barbara Katarzyna Radecka, reżyżyser spektaklu, sięgnęła po sztukę, która — jeśli brać pod uwagę jej warstwę literacką — jest w stanie zagwarantować teatralny sukces. Osoba autora nie wymaga przecież najmniejszej rekomendacji; prawdziwie komediowe sytuacje, wprawnym piórem kreślony rozwój akcji, a jednocześnie moment zadumy nad rolami, w jakie wtłacza nas życie — choć marzymy o zupełnie innych — stanowią o wartości „Cudzołóstwa". Nie stanie się wprawdzie ta sztuka, nawet przy największym wysiłku teatralnym, żadnym „mini «Weselem» z lat 60-tych", jak chce tego cytowany w programie Krzysztof Mętrak, ale z pewnością jest materiałem na znakomity spektakl. Obawiam się jednak, że wbrew pozornej „chwytliwości" tematu sprawa nie przedstawia się tak całkiem jasno i prosto, a utwierdza jeszcze w tym przekonaniu obejrzenie przedstawienia w Teatrze Ziemi Łódzkiej.

Największe wątpliwości rodzi, pierwszoplanowa w utworze, postać Czesława Pałka. Kwestia wyboru dla niej właściwej interpretacji ma tutaj niezwykle istotne znaczenie. Można — i w tym tkwi największa pokusa — uczynić z niego jedynie błazna, bawiącego publiczność swoją głupotą, nieporadnością i kalectwem językowym. Ale można również zbudować tę rolę tak, by groteskowy obraz romansu Pałka z inżynierową nabrał (szczególnie w kontekście skutków całej historii, także zachowania członków rady zakładowej), wymiaru prawie tragicznego.

Wydaje się, że w kierunku takiej właśnie interpretacji zdążała również koncepcja reżysera spektaklu. Grający rolę Czesława Pałka — **Bogusław Marczak** niezupełnie sprostał temu zadaniu. Szczególnie w akcie pierwszym, zbyt mocno akcentował komediowe jedynie rysy odtwarzanej postaci. Bawił co prawda widzów, lecz odbywało się to kosztem niepełnej i niewystarczającej z pewnością charakterystyki bohatera. Akt drugi przyniósł natomiast wyraźną korektę w sposobie gry, która utrzymując się na tym poziomie do końca spektaklu, znacznie lepiej przystawała do nie najweselszego przecież zakończenia. Również **Barbara Dzido-Lelińska** w roli Gosi mimo, że prezentująca grę bardziej wyrównana i lekko stonowana nie wykroczyła poza granice aktorskiej poprawności.

Nie bez powodu wspomniałem wyżej o tematycznym podobieństwie komedii Głowackiego i „Rozwodu" Jordanowa. Łączy bowiem te utwory pewna, wspólna zasada konstrukcyjna. Akcja sztuki Jordanowa toczy się przed trybunałem sędziowskim. Głowacki natomiast umieszcza swego bohatera przed nie mniej ważnymi, bo również feruującym wyroki trybunałem rady zakładowej. Spowiedź Czesława Pałka nie tylko prowokuje jego słuchaczy do zajęcia określonego stanowiska. Głowacki posuwa się dalej. Umożliwia członkom wymienionej rady odegranie ról „grzesznej pary" i wtedy okazuje się, że każda z nich kreowana jest w inny sposób. Na światło dzienne wychodzą dzięki temu prawdziwe kompleksy i marzenia ludzi którym przyszło rozpatrywać sprawę Czesława Pałka. Jest to zarazem bardzo dogodny moment dla prezentacji indywidualnych możliwości aktora. Nie cały zespół wykorzystał jednak tę okazję. Do najbardziej udanych propozycji należy bez wątpienia rola **Mieczysława Szargana**, który umiejętnie wydobył możliwości ekspresyjne tkwiące w postaci Zahorowanego.

Walentyna Sakkilari zaprezentowała nienaganne aktorstwo. **Marian Harasimowicz** natomiast, sięgnąwszy po wypróbowane środki wyrazu z przesada operując głosem i gestem, stworzył interesującą postać Starego Robociarza. Również **Kuba Geiger** jako lekko ironiczny i pełen dystansu inżynier Anglik wyróżniał się na tle zespołu. Nie stanęła natomiast na wysokości zadania — przynajmniej w dniu premiery — **Anna Jaros**. Rola Sexi to znakomity materiał aktorski, który przy odpowiednim wykorzystaniu może z pewnością dać na scenie znacznie lepszy rezultat.

Myśle zatem, że przy drobnych niedomaganiach spektaklu, okazja do wysłuchania tekstu Głowackiego, o który tak trudno nawet w prowincjonalnej księgarni i kilka niewątpliwie dobrych propozycji aktorskich, to wystarczające argumenty, przemawiające za wizytą w Teatrze Ziemi Łódzkiej.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Janusz Głowacki: „Cudzołóstwo ukarane. Reżyseria: **Barbara Katarzyna Radecka.** Scenografia: **Józef Napiórkowski.** Premiera 28 listopada 1978 roku.

ROK URODZAJNY W SERIALE

I oto kończy się nam rok telewizyjny. Nie podjąłbym się jego generalnej oceny, zwłaszcza w felietonie na 150 wierszy. Przecież roczny program TVP to kilka tysięcy godzin emisji. Jak ogarnąć te wielość i wielorakość form telewizyjnych? Jak wyważyć sądy krytyczne i aprobujące? To zadanie dla komputera, a wasz sprawozdawca nie korzysta jeszcze z takich udogodnień technicznych.

Uważny czytelnik moich felietonów wie, że gros uwagi poświęcam teatrowi telewizyjnemu, czując się w pewnym sensie wyspecjalizowanym w odbiorze tego rodzaju programu. Coraz bardziej przekonuje się jednak, że ta forma podawcza mocno się przeżyła, może nawet już kończy w naszej telewizji swój zasłużony żywot, dogasa, podobnie jak to miało miejsce w wielu telewizjach zagranicznych.

Na plan pierwszy wysuwa się film telewizyjny, a zwłaszcza jego koronna odmiana — serial. Nie potrzeba wielkiego aparatu socjologicznego, by zaryzykować stwierdzenie, że seriale — oczywiście te udane — należą do najbardziej oglądanych programów telewizyjnych.

Pod tym względem upływający rok dostarczył nam sporo pokarmu. Rozpoczął się III seria „Czterdziestolatka" Jerzego Gruzy i Krzysztofa T. Toeplitza. Specyficzny typ humoru reprezentowany przez autorów może nie odpowiadać wszystkim, ale czy do pomyślenia jest w ogóle program, który podobałby się wszystkim telewidzom, których liczy się w miliony? Faktem jest, że rodzina państwa Karwowskich cieszyła się wielką popularnością i sympatią.

Nie wybrzmiały jeszcze dźwięki tytułowej piosenki „Czterdzieści lat minęło..." w wykonaniu Andrzeja Rosiewicza, a już na nasze ekrany wkroczyli inni bohaterowie, tym razem z importu, których losy na długie miesiące zawładnęły naszą wyobraźnią. A więc brytyjska „Saga rodu Palliserów" według powieści Anthony'ego Trollope'a z niezapomnianym Philipem Latham (ks. Plantagenet) i Susan Hampshire (Lady Glencora). To był serial niemal modelowy, w miarę rzetelny, w miarę wesoły, w miarę przygodowy, a przy tym ukazujący zręcznie mechanizm życia politycznego wiktoriańskiej Anglii. Na ogół podobał się.

Dziełem innego formatu były „Noce i dnie" według Marii Dąbrowskiej zrealizowane przez Jerzego Antczaka. Decydował o tym już sam walor materii literackiej. Wydaje się jednak, że i rodzina Niechciców, mimo pewnej zamierzonej rozlewności, zapisała się dobrze w naszej pamięci.

Nie można tego chyba powiedzieć o serialu francuskim „Panie na Mogadorze" według powieści Elisabeth Barbier. Być może w licznej rzeszy telewidzów i on miał swoich zwolenników nie stanowili oni jednak z pewnością większości. Sentymentalizm zbyt ławy, tandetny, bohaterowie nieautentyczni.

Kolejny wielki serial: „Lalka" według Bolesława Prusa w reżyserii Ryszarda Bera. Osobiście wypowiadałem się na jego temat pozytywnie, dopatrzyłem się dużo rzetelnego wysiłku włożonego w wierną adaptację wielkiej powieści, który zaowocował interesującym freskiem zagospodarowującym nasze niedzielne wieczory.

Już po opublikowaniu własnych refleksji przeczytałem w „Perspektywach" felieton Witolda Fillera, który rozprawiał się z telewizyjną „Lalką" bezkompromisowo („Brzydkie zabawy lalka"). Szczególnie mocno dostało się Małgorzacie Braunek, ale nie tylko jej. „Berowa Izabella Łęcka — pisał Filler — zachowuje się jak dama z półświatka. Berowy kuzynek Starski — jak fornal. Berowy Wokulski z kolei jak emerytowany pułkownik brytyjskich sił kolonialnych..." Autor felietonu powołał się też na opinię, że pani Braunek należałoby posłać na lekcje salonowego bon tonu do Niny Andrycz.

Nie zamierzam polemizować z Fillerem, ale odnotowuję swoje votum separatum. Daleki jestem od zachwytów nad aktorstwem Małgorzaty Braunek, nie odsądzałbym go wszakże tak jednoznacznie od czci i wiary. Pewnie, że filmowa Izabela, Beata Tyszkiewicz, była i piękniejsza i niewspółmiernie bardziej dystyngowana. Wydała mi się jednak wewnętrznie pusta. Nie pustota Izabeli, bo to byłoby słuszne, ale brakiem aktorskiego podtekstu.

Braunek spodobała mi się w pierwszych odcinkach serialu, kiedy to panna Łęcka broni się, a Wokulski osacza ją w sposób obiektywnie rzecz biorąc niepiękny. Nie robi najmniejszego wysiłku, by pannę sobie zjednać, a stara się tylko ją kupić. Otóż w instynktownej samoobronie Izabeli sygnalizowanej przez Braunek dopatrzyłem się interesującej propozycji aktorskiej. Tyle dla sprawiedliwości. A Wokulski w wykonaniu Jerzego Kamasa może istotnie był przeciągnięty w kierunku myśliciela, ale daj nam Boże więcej takich kreacji aktorskich!

Rok, w którym seriale obrodziły na naszych ekranach, zamyka znowu polski serial — „Układ krążenia" w reżyserii Andrzeja Titkowa według scenariusza Aleksandra Minkowskiego. Nie chcę oceniać go przed zakończeniem emisji, wyobrażam sobie jednak, jak ostrza już sobie nań zęby lekarze, którzy z pewnością nie zechcą uznać postaci doktora Bognara, za polskiego Kildare, za wzorzec pracownika służby zdrowia...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

KONIEC LEGENDY

„Przełomy Missouri" Arthura Penna to, jeśli słuchać głosów naszej i światowej krytyki, film bardzo kontrowersyjny. Jedni z oceniających mają Pennowi za złe, że łamie tym filmem konwencje westernu, drudzy, że zrobił film konformistyczny i pozbawiony autorskiego piętna. Sam reżyser, bądź swymi wypowiedziami podkreśla błahość przedsięwzięcia atrakcyjnego jedynie ze względu na udział Marlona Brando i Jacka Nicholsona, bądź mówi o im zupełnie serio, określając swój bardzo osobisty, a więc autorski stosunek wobec tematu.

Znając dotychczasową twórczość Arthura Penna trudno uwierzyć w bezosobowy charakter „Przełomów Missouri". Film ten tłumaczy się wprawdzie sam, ale godzi się tu przypomnieć, że nie po raz pierwszy reżyser ten, wpisując swe filmy w pewne popularne i szczególnie skonwencjonalizowane gatunki, piętnuje je oryginalną poetyką i stylem. Prawie każdy jego film jest określoną prowokacją, łamiącą przyzwyczajenia widowni, wciągającą w dyskusje. Takie sytuacje stworzył Penny przy okazji swych sensacyjnych filmów: „Obława", „Bonnie and Clyde", czy „W mroku nocy". Podobną rolę odegrały: „Mały, wielki człowiek" oraz „Przełomy Missouri", oba filmy rozpoznawalne poprzez tradycję tematu westernowego w kinie.

„Mały, wielki człowiek" wywołał w Stanach Zjednoczonych burzę dyskusji nie tylko dlatego, że tak ostro łamał gatunkowe konwencje westernu, lecz głównie dlatego, że zakwestionował legendarną wielkość jednej z ważnych postaci amerykańskiej historii. „Przełomy Missouri", nie odnosząc się do żadnych autentycznych wydarzeń czy postaci, zdają się odkrywać to oblicze historii narodu amerykańskiego, które głównie poprzez kino uległo deformacji. Była to deformacja mitologizująca. By oblicze to odsłonić, trzeba było zatem dokonać zabiegu demitologizującego. Był on możliwy dzięki temu, że Arthur Penn podjął się wiwisekcji głównej formy kreującej popularne mity, a więc filmowego westernu.

Efekt tego działania jest taki, że istotnie trudno nazwać „Przełomy Missouri" westernem, choć zewnętrzne atrybuty gatunku zostały w nich zachowane. Z tego też powodu wielu widzów opuszcza salę kinową z uczuciem zawodu. Gdzież bowiem podziała się piękna legenda o wspaniałych chłopcach na galopujących koniach, gdzie wewnętrzny porządek moralny tej legendy? Arthur Penn jest bezlitosny w swych pytaniach o prawdę historii kształtowania się amerykańskiego społeczeństwa.

A zaczął od prostego przypomnienia, iż nie tylko na dalekim Dzikim Zachodzie ów proces historyczny przebiegał i akcję swego filmu umieścił w rolniczej Montanie, wśród hodowców koni. Panowały tam prawa, a raczej bezprawie takie samo, jak na innych kolonizowanych terenach wielkiego kraju. To przesunięcie miejsca akcji nie ma zatem większego znaczenia, choć jest znamienne. Prawo na tej ziemi tworzono wszędzie podobnie, styl życia wyglądał tak samo. A więc bohaterowie opowieści są ci sami, lecz w filmie Pena obdarci z legendy, z legendy piękna, odwagi i swoistego kodeksu postępowania.

Budując typowy dla wielu westernów konflikt oparty o schemat: wielki posiadacz — desperaci — najemni mordercy, Penn w charakterystyczny dla siebie sposób obdarowuje wszystkich jego uczestników rysami odbiegającymi od przyjętych konwencji. Dotyczy to także, co szczególnie uderzające i na co nikt nigdy się dotąd nie zdobył, postaci kobiecych. W tych rysunkach bohaterów konfliktu szczególne miejsce zajmuje postać wynajętego mordercy, którego rewelacyjnie, z całym typowym dla siebie przerysowaniem, gra Marlon Brando. W jego wykonaniu ów morderca-psychopata, dziwnie bliski jest współczesnym sylwetkom killerów. Łagodnie w klasycznym westernie nazywany „czarnym charakterem", bohater Marlona Brando jest tu po prostu najemnym zabójcą.

Cyniczna postać posiadacza-farmera, intensywna biologicznie i charakterologicznie dziewczyna, a także grupa konfederatów, której przewodzi Jack Nicholson, to w filmie Arthura Penna ludzie, w których prawdopodobieństwo wierzyć można silniej aniżeli w takie ich wizerunki, jakie odnajdujemy w klasycznych westernach, a nawet w dotychczasowych tzw. antywesternach. W „Przełomach Mssouri" legenda jest naga i okrutna. Arthur Penn nie szczędzi widzom mocnych wrażeń, mają one inny charakter iż te, do których western nas przyzwyczaił. W ich wyolbrzymieniu odnaleźć można również ton polemiczny z samym gatukiem filmowym. I choć wielu widzów zawsze preferować będzie western spod znaku Johna Forda, i Howarda Howksa; sądzić należy, że nic już nie odwróci tego nurtu, który firmują m. in. Arthur Penn i Sam Peckinpah.

EWA NURCZYŃSKA

BOGUSŁAW KUKUĆ

BANK NIE POMÓGŁ - SEKS PRZESZKODZIŁ...

Choć nie lubię jeść „musztardy po obiedzie" udałem się do stolicy, by uczestniczyć w przekazaniu dziennikarzom oficjalnego raportu „argentyńskiego" przez PZPN. Już przed wejściem do budynku PKOl. przy ul. Frascati uścisnął dłoń red. Trzcińskiego i moją JACEK GMOCH, którego uśmiech wróżył, że przynajmniej podczas omawiania raportu społeczny konsultant PZPN nie będzie traktował żurnalistów jak „szakali" (tak ongiś mawiał).

W dusznej salce było niespełna 50 dziennikarzy (5 spoza Warszawy) i 28 butelek Coca-Coli. Zagaił red. Grzegorczyk tradycyjnie zapewniając, że nie jest rzecznikiem PZPN. Wiceprezes Związku Ostaś przypomniał obiektywne i sukiektywne powody opóźnienia raportu, podziękował dziennikarzom za współpracę z PZPN, za krytykę taką „bez taniego poklasku i ambicji". Wiceprezes Loska oparł wypowiedź na „najbardziej istotnych fragmentach sprawozdania z przygotowań i udziału reprezeentacji Polski w MŚ Argentyna 1978 r." (ten dokument otrzymał do ręki każdy z dziennikarzy).

Były selekcjoner kadry Gmoch zdobył się w fazie przeddyskusyjnej jedynie na stwierdzenie o epokowym znaczeniu... dokumentacji, jaką pozostawił po sobie. Po raz pierwszy w historii polskiego piłkarstwa pozostały wnioski dla potomnych i może to być dobry początek. Szef obserwatorów PZPN w Argentynie Koncewicz zapewnił, że wydany zostanie materiał obejmujący wnioski dla polskiego piłkarstwa. Mundial nie stanowił przełomu w dziejach futbolu, ale niektóre drużyny osiągnęły perfekcję w tym, co jest znane, miały świetnych wykonawców. Apelował o pracę nad techniką (2—3 Polaków dorównywało tylko najlepszym). Główną tendencją jest to, by w jednakowym stopniu być skutecznym pod bramką własną i rywala. Wszelkie sztuczne koncepcje „przechyłu" na którąś ze stron wzięły w łeb. Nawet grający najbardziej atakująco gospodarze nie odsłaniali tyłów, a wspomagali niepewne poczynania obrońców bocznych.

Finansowego sprawozdania nie było, gdyż FIFA nie przekazała jeszcze pieniędzy (polski sport na czysto zarobił ponad 2 mln. franków szwajcarskich). O wpływy i podział sum za reklamy sprzętu nikt nie pytał, więc i nikt nie odpowiadał.

Dyskusja rozpoczęła się niemrawo, ale siadając blisko red. Ciszewskiego i red. Zmarzlika miałem tak cięte i trafne komentarze, że gdyby ich autorzy przyozdabiali nimi swoje telewizyjne sprawozdania byliby najlepsi na świecie w swej branży a nie tylko w Polsce.

Zaczął jak przystało na prestiż gazety reprezentant „Przeglądu Sportowego" red. Skórzewski, krytykując chwalone w raporcie postawy zawodników i wskazał na atakowane przez prasę zachowanie Laty i Szarmacha w Mendozie (nie dali dzieciom autografów). Red. Grzegorczyk niczym wytrawny adwokat sparował, że ocena obejmowała „postawę patriotyczną na boisku i w oficjalnych spotkaniach poza boiskiem", a fakt wskazany przez kolegę z „PS" nie należał do takich.

Red. Smaczny był zbulwersowany faktem, że w Polsce nie ma lewonożnych lewoskrzydłowych, a to stało jak byk na papierze. Red. Cieśliński domagał się oceny każdego z członków oficjalnej ekipy PZPN, wymieniał kolejno, dobrnął chyba do dr. Garlickiego czy doktora — statystyka z SGPiS, ale wszedł mu w słowo red. Atlas i podsumował: „...no wiecie bankierów". Red. Romana nurtowały pytania: „Czy sztab przodującej myśli technologicznej był potrzebny?" oraz „Czy słuszne było tak długie milczenie o Mundialu?".

Szef sportowych dziennikarzy red. Woźniak postawił tezę, że „Mundial zachwiał dobre obyczaje między PZPN a dziennikarzami-szakalami i przypisywanie im działań przeciw polskiej piłce jest obrażające". Pytano też, czy właściwie wykorzystano doświadczenia z rekonesansu argentyńskiego w 1977 r., czy tylko była to wycieczka. Red. Atlas z uporem godnym lepszej sprawy chciał dowiedzieć się, „dlaczego naprawdę Gmoch odszedł i jak szczerze ocenia PZPN jego tj. Gmocha pracę". Red. Szczepłek próbował zahaczyć coś na temat podziału forsy między graczami w Argentynie, ale mylono się w procentach. Red. Szymkowiaka nurtował fachowy problem pracy nad szybkością w Argentynie. Red. Tomaszewski ładnie, ale dość naiwnie skrytykował wykrętność niektórych odpowiedzi. Mimo, to red. Ciszewski poprosił Gmocha, żeby wyjaśnił, co teraz robi, bo na wtorkowym spotkaniu ze społeczeństwem Łodzi na pewno go o to spytają.

Gmoch się uśmiechnął i powiedział, że nic i że jest bezrobotny. Wsparł go jednak przedstawiciel PZPN stwierdzając, że związek wysoko ocenił pracę i zaangażowanie Gmocha, przyznał mu stypendium na Politechnice w wysokości poprzednich zarobków (3800 plus wyższe dodatki). Gmoch nie ukrywał, że doktorat jest w stadium „dogadywania się", i, że może z naukowych względów uda się do Stanów, a futbol tak kocha, że nie wyklucza trenowania zespołu polonijnego. W ogóle to chciałby coś zrobić jeszcze dla „wielkiej piłki". Jak wielka miała być to piłka nie określił. Zapowiada się, że doktorat Gmocha będzie obok tego „z historii palanta" najsłynniejszy w nauce polskiej. W sprawie Argentyny Gmoch stwierdził, że zadecydował brak koncentracji, niedociągnięć w psychologii, rozłam w drużynie na tle „drobnych" spraw i sensacja... kryzys seksualny.

O ile się orientuję żadna z drużyn nie składała się z kastratów i jakoś sobie radziła. Nic dziwnego, że przyjęto wypowiedź ze śmiechem.

Oficjalne sprawozdanie podaje pięć przyczyn niewywalczenia medalu:

— niedoskonałość w wyszkoleniu technicznym niektórych naszych zawodników, zwłaszcza obrońców,

— nie najwyższy stopień wyszkolenia technicznego utrudniał drużynie realizację założeń taktycznych; w meczu z Brazylią wątpliwości budziło również opracowanie samych założeń taktycznych,

— nieskuteczność w działaniach ofensywnych,

— zachowawczy sposób gry (obawa przed utratą już zdobytych pozycji starszych i sportowo utytułowanych zawodników),

— brak pełnowartościowych lewoskrzydłowych,

Z aktualnych spraw związku podano, że na czas nieokreślony kierują drużyną w ME — **Ryszard Kulesza**, olimpijską — **Edmund Zientara**, młodzieżą do lat 21 — **Waldemar Obrębski** i juniorów — **Henryk Apostel**. Wprawdzie red. Zmarzlik wspomniał, że w „Kickerze" red. Gryszczyk podał, że reprezentację będzie wiódł do sukcesów **Jan Liberda**, ale ponieważ Zmarzlik mówił pógłosem, nikt nie zajął stanowiska.

Zadania na najbliższe lata to: czołowe miejsce w silnej grupie eliminacyjnej ME (pytałem co to znaczy, ale nie otrzymałem konkretnej odpowiedzi i być może w przyszłości nie będę się z czegoś cieszył, a inni będą), dla reprezentacji olimpijskiej — medal w Moskiewie, dla młodzieżówki — półfinał ME i dla juniorów — medal w MS w Japonii i medal w XXXII Turnieju UEFA.

Na koniec wstał Gmoch, zapiął marynarkę i pożegnał się czule z dziennikarzami, przepraszając za błędy wypływające, jak wyjaśnił z wad charakteru. Nie słyszał tego red. Ciszewski, bo nie wytrzymał i wyszedł wcześniej. Szkoda, bo miałby chłop trochę satysfakcji.

Wszyscy opuszczali salę na Frascati w przekonaniu, że wszystko co było do zdobycia w Argentynie przez ekipę w tym składzie zostało zdobyte. Chcieli jak najlepiej wszyscy, a jak dosłownie powiedziano w toku dyskusji „chciał nawet Szarmach, ale nie mógł". Po cholerę wyjechał na drugą półkulę nikt nie pytał, bo to infantylne.

JERZY RZYMOWSKI

„OSNOWA" WZNOWIONA

W roku 1971 ukazał się ostatni, siedemnasty z kolei, tom „Osnowy" — łódzkiego almanachu literackiego wydawanego od 1963 r. początkowo w odstępach rocznych, później częściej, od 1969 r. zaś co kwartał. Likwidacja „Osnowy" zaciążyła ujemnie na życiu kulturalnym Łodzi.

Twórcy i komentatorzy utracili trybunę dla wypowiedzi nie ograniczanych prasowymi limitami wielkości tekstu i warunkami szerokiej przystępności wywodu. Zrezygnowano z publicznej wymiany myśli na tematy istotne dla artysty, badacza kultury, czy — najogólniej mówiąc — każdego nietuzinkowego inteligenta interesującego się sztuką, historią, filozofią, ideologią etc. Nie mogło ujawnić się, a tym samym zaistnieć w szerszej skali społecznej, życie umysłowe środowisk artystycznych i naukowych, wtłoczone w ramy instytucji i zamkniętych związków profesjonalnych. Nie istniały możliwości oswajania młodych adeptów literatury, sztuki i krytyki z klimatem dyskusji intelektualnej, ośmielenie ich do refleksji nad swą pracą, sytuacją uprawianej dziedziny, czy choćby bieżącymi lekturami, wyrabiania samego nawyku refleksji i podsycania ambicji do wznoszenia myśli na coraz to wyższy poziom.

W ogromnym mieście, zamieszkałym przez ponad tysiąc twórców, ośrodku wielu instytutów uniwersyteckich o profilu humanistycznym i uczelni artystycznych, przez całe lata nie można było ogłosić tekstu, jeśli liczył więcej niż 10 stron, jeśli był esejem, jeśli poruszał problemy teoretyczne, jeśli analizował klasykę, jeśli oceniał dzieło powstałe poza granicami administracyjnymi miasta lub regionu, jeśli usiłował przedyskutować nasz stosunek do tradycji w okolicznościach nie uzasadniających takiego przedsięwzięcia okrągła rocznica lub innymi względami praktycznymi tkwiącymi w potrzebach dnia, jeśli był samodzielną próbą rozwiązania zadań, jakie o każdej porze i w każdym miejscu stają przed ludzkim umysłem...

I oto nakładem **Wydawnictwa Łódzkiego** opublikowany został tom **„Osnowa"**, almanach pod redakcją **Jerzego Poradeckiego**, którego kilkuletnie starania o wznowienie tego tytułu znane były dobrze w łódzkich kręgach twórczych i uniwersyteckich. Urzeczywistnianie powszechnie wysuwanego postulatu jest wydarzeniem doniosłym bez względu na opinie jakie koncepcja i zawartość tej pierwszej po 7-letniej przerwie edycji „Osnowy" wywołają wśród jej czytelników. Mamy bowiem świadomość, że powrót almanachu łódzkiego jest bardzo powolny, że zawsze był on czymś innym faktycznie niż formalnie, że nowa „Osnowa" różni się od swej poprzedniczki wyraźnie określoną koncepcją, zakładająca wieloaspektowy ogląd „zadanego" tematu", zarazem jednak selekcjonująca chętnych do zabrania głosu na temat „dowolny".

Uwaga pierwsza łatwo udokumentować spostrzegłszy, że droga od inicjatywy do ławy księgarskiej była dostatecznie długa, aby większość wierszy zamieszczonych w **„Osnowie"** zdążyła normalnym trybem ukazać się w oddzielnych tomikach autorów: w 1977 — **Filipczuk, Jarmołowskiego i Soldenhoffa**, w 1978 — **Chróścielewskiego i Waleńczyka**. Miła wszystkim myśl o cykliczności wydawnictwa wymaga rzecz prosta znacznego skrócenia wspomnianego dystansu.

Uwaga druga wynika z równie powszechnego traktowania **„Osnowy"** jako czasopisma (nawet na przekór stanowi prawnemu), gdyż tylko poczucie stabilności tego rodzaju forum wypowiedzi, potwierdzane regularnym, niezawodnym ukazywaniem się kolejnych tomów, pod obojętnie jakim szyldem i w dowolny sposób oznaczonym następstwie, satysfakcjonować może miejscowe środowisko intelektualne. Patrzymy więc na obecną **„Osnowę"** jako ogniwo w łańcuchu podobnych, dodawanych co pewien czas publikacji.

Spostrzeżenie trzecie prowadzi do spraw najważniejszych, bo merytorycznych — rodzaju i treści przedstawionej propozycji. Należałoby sobie życzyć, aby opinia o almanachu wypracowana została w toku dyskusji nad tym właśnie, nie zaś w rachowaniu, ilu w nim autorów młodszych a ilu starszych, ilu prominentów a ilu samotników, ilu naukowców a ilu literatów. Odmienność nowej „OSNOWY" od dawnej widać już na okładce. Nie dlatego tylko, że jest inna graficznie i ma nieczytelny tytuł złożony fatalnymi literami, które na pierwszy rzut oka przypominają alfabet grecki lub ciąg hieroglifów, lecz przede wszystkim z racji podtytułu „Sztuka tworzenia" wskazującego monograficzny charakter tomu. Chodzi więc o świadomość artysty, wyobrażenia twórcy o źródłach, naturze i sensie własnej pracy, stosunek do tworzywa, środków twórczych i dzieła stworzonego, autotematyzm oraz zagadnienia z zakresu ogólnej kultury filozoficznej kształtującej przekonania i wiary poznawcze, rozumienie prawdy, postawę wobec innych światopoglądów, wzorów życia i wartości moralnych.

Mamy więc w **„Osnowie"** poetyckie wypowiedzi o poezji i poecie, różne w tonacji — od manierystycznej dezynwoltury i konceptowej pseudomoralistyki (że przy zdrowym rechotaniu boki tylko zrywać i brawo bić trefnisiowi **Jarmołowskiemu**), poprzez drastyczna autorefleksję **Soldenhoffa** i **Szczepańskiego**, niekamuflowane wyznania **Nagórskiej**, kulturalny liryzm **Filipczuk**, historyczne stylizacje **Chróścielewskiego** do opanowania i prostoty niektórych wierszy **Andrzeja Strumiłły** i skąpych, stanowczych, lecz tajemniczo trafnych „zdań o Eliocie" **Waleńczyka**.

Mamy fragmenty prozy o pisarzu i pisarstwie: skomplikowany zapis **Leona Gomolickiego** na kanwie wspomnień i notatek dotyczących udziału autora w IV Dzierżoniowskich Dniach Literatury w 1973 roku, w istocie przydający wagi stwierdzeniu, że w literaturze współczesnej zapanował „jako bohater główny i jedyny — intelekt" oraz finezyjna w stylu artystycznym i rozłożeniu pierwiastków ironii opowieść **Wandy Karczewskiej** „Historia arcydzieła Myśli-królika" z lokalnymi aluziami.

Mamy wyznania i wywody dwóch znakomitych plastyków: **Stanisława Fijałkowskiego** (ilustrowane serią świetnych linorytów z lat 1965—1973) i **Kazimierza Karpińskiego** (twórcy frontonu muzeum na Radogoszczu i Pomnika Czynu Rewolucyjnego na Zdrowiu). Rozumiejąc trudności w przekazaniu tajników tworzenia językiem pojęciowym zauważmy jednak, że wypowiedź Fijałkowskiego jest miejscami mało przejrzysta, nachylona ku problematyce odbioru i konkretyzacji dzieła sztuki, nie zaś ku sprawom związanym z jego powstawaniem, że manifestuje — co można uważać za ułatwienie prowokujące do sprzeciwu — zbyt daleko posuniętą obojętność artysty dla sposobów rozumienia sensu dzieła przez widza, ryczałtową zgodę na różne, sprzeczne interpretacje.

Ponadto mamy ciekawą, skrzącą się dobrą anegdotą relację wspomnieniową **Zbigniewa Kopalki** poświęconą twórcom radiowym — reżyserom i aktorom. Mamy wreszcie nurt eseistyczny, który stanowi szkielet myślowy całości. Składa się on z „Dróg samopoznania" **Ryszarda Panasiuka**, „Wobec cudzego świata wartości" **Iji Lazari-Pawłowskiej**, „Prorocy, sztukmistrze i majsterkowicze" **Jerzego Poradeckiego**, „Poetycki operacjonizm — co to takiego jest?" **Andrzeja Biskupskiego**, „Schultz i Gombrowicz czyli literatura głębi" **Artura Sandauera**, „Historia i rewolucja" **Tadeusza Osińskiego**.

Panasiuk rozpoczyna swoje rozważania od krytycznej refleksji nad historią filozofii i w przeglądzie kilku reprezentatywnych systemów poszukuje, takiego, który ostałby się jako godny zaufania sposób dotarcia do prawdy o podmiocie poznającym i bycie jako bezwzględnej całości, która przeciwstawia się jednostce świadomej swego istnienia. Naturalnie nie znajduje, lecz śmiało stawia na inspiracje marksowską jako oczyszczającą umysł ze złudzeń co do istnienia obiektywnego ładu i sensu moralnego w bycie, jak mu to metafizyka przypisuje. Jeśli takie cechy w świecie odnajdujemy, to natrafiamy jedynie na ślady aktywności człowieka, a więc twory sztuczne (kultura, idee, życie społeczne). Rezygnacja z uproszczeń „starej metafizyki" to, w ujęciu autora, tragedia optymistyczna. Co prawda nieswojo jest bytować w świecie odczuwanym jako obcy, obojętny i niemy wobec nas, ale za to można oprzeć swój światopogląd na gruncie pewnym i czystym, to znaczy — uczynić świat takim, jakim chcemy żeby był według ludzkiego projektu. Tylko w świecie ludzkim, a zatem w cywilizacji, społeczeństwie i kulturze, uzyskać możemy harmonię z rzeczywistością. Drogi samopoznania wiodą przez uzyskanie samoświadomości czyli wyrugowanie mitów metafizycznych i przez wyrastającą na podłożu tej prawdy praktykę urządzania świata ludzkiego, nie stawiającego w tym układzie — jak można wnosić z wywodu — zasadniczych trudności poznawczych. Z rzeczy dygresyjnych interesująca jest nadspodziewanie wysoka ocena filozofii przyrody lekceważonej często na rzecz analiz subiektywności. Również utrzymujący się do pewnego momentu respekt dla starogreckiej idei „logosu" (wiecznego rozumu przenikającego świat), godzącej sprzeczności między filozofią podmiotu a ontologią pozostaje jako myśl chyba nie w pełni skompromitowana „happy-endem". Gdyby autor w następnej pracy w równie frapujący i jasny sposób przedstawił stanowiska myśli dwudziestowiecznej wobec naczelnej kwestii swego szkicu, byłoby to przedsięwzięciem cennym w dziale filozoficznym **„Osnowy"**.

Okazuje się jednak, że w niektórych kulturach możliwe jest osiągnięcie szczęścia mimo uświadomienia sobie sprzecznych światopoglądów i bez zanegowania cudzych jako fałszywych. Do takiego wniosku doprowadza nas piękny szkic Iji Lazari-Pawłowskiej, znawczyni filozofii hinduskiej i dziejów etyki. Autorka objaśnia mechanizmy myślenia tamtejszych mędrców, prowadzące do unieważnienia naszych kryteriów, w myśl których sąd jest albo prawdziwy, albo fałszywy, zaś rozumowanie antynomiami nie do przyjęcia w naukowej wiedzy o świecie. Następuje pyszna — jak to na Wschodzie — przypowieść o słoniu macanym przez kilku ociemniałych, z których każdy na podstawie cząstkowego poznania empirycznego wyrobił sobie ogólne wyobrażenie o kształcie słonia. Oczywiście błędne. Wybuchły namiętne spory, gdyż każdy ufał sobie. „Wówczas król oznajmił: Tacy właśnie jak ci ślepcy są ludzie, którzy się opierają o swoje zawężone racje, nie rozumiejąc, że każdy z nich uchwycił mały fragment wielkiej wspaniałej Prawdy". Poznanie subiektywne jest prawdziwe jako fragmentaryczne. Całość bytu poznać można innymi metodami, a mianowicie przez pozarozumowe stany skupienia. Nie każdego one rzecz prosta nawiedzą, trzeba tu mieć pewne dyspozycje wewnętrzne i kulturę introspekcji, bardzo przydają się poza tym stare księgi, zresztą wieloznaczne, przeto potwierdzające niejeden intuicyjny pomysł. Autorka czyni ważne zastrzeżenie: otóż tak skrajnie tolerancyjny wobec odmiennych poglądów jest styl filozofowania Hindusów, nie zaś rozumowanie nastawione na zadania praktyczne, przeczy mu zaś krzykliwie konserwatyzm idei i stosunków społecznych (kasty!) będący jednym z największych w dzisiejszym świecie przejawów niesprawiedliwości i nietolerancji. Dla pisarza, jakże często stającego w swej pracy przed koniecznością wyrażenia sytuacji konfliktowych, rozstrzygnięcia w kategoriach dobra i zła, dania świadectwa prawdzie o starciu jednej Pychy z drugą, jednej wiary z drugą, nie może być bagatelną konkluzja szkicu: „A my? Po obcowaniu z daleka od nas kultura na pewno świadamiamy sobie, że wielkim dobrem jest niekrępowanie myśli ludzkiej poszukującej odpowiedzi na pytania, w tym również na pytania ostateczne, ale nie mniejszym dobrem jest tolerancja w zakresie codziennego życia. I że, pośród licznych racji na jej rzecz przytaczanych — metafizycznych, metodologicznych, pragmatycznych — najważniejsza jest owa prosta racja moralna nakazująca szacunek dla osobowości drugiego człowieka. Jak tyle innych dóbr niestety i tolerancja również musi mieć swoje granice. Zakreślenie tych granic możliwie szerokie chciałabym traktować jako wskaźnik moralnej „kultury". Cóż bowiem warta jest filozofia wolności w myśl której — albo ostrożniej: w „zgodzie" z którą — zniewala się całe rzesze ludzi?

Rozprawa **Artura Sandauera** o kompleksach erotycznych i niebezpiecznych uwikłaniach światopoglądowych Schulza i Gombrowicza z hitleryzmem rzekomo, prowadzących w przypadku Schulza do rzekomo takiego stopnia sparaliżowania instynktu samozachowawczego, iż pragnął miał śmierci z ręki gestapowca — rozprawa jak zwykle zwięzła, błyskotliwa intelektualnie i szybko doprowadzająca do uogólnień — unaocznia, jak naprawdę kontrowersyjne są metody psychoanalizy adaptowane do badań literackich, o czym skądinąd głośno słychać ale z czym rzadko możemy zapoznać się w pracach polskich literaturoznawców. Naturalnie to nie kłopot Sandauera, że część jego wniosków odczytywana będzie w sposób wulgarny, strach jednak pomyśleć, ile szkód można wyrządzić np. młodym ludziom uczącym się o Gombrowiczu, jeśli przyjmą oni jako oczywistość i rzeczywistość pokrewieństwo duchowe autora „Ferdydurke" z najstraszniejszą ideologią zbrodni. Wydaje się, że tak delikatne tezy warto pomieszczać z większą egzemplifikacją — również tą, która obraz komplikuje — oraz staranniejszym wycieniowaniem i zrelatywizowaniem tez obciążonych taką grozą moralną. Jednak Gombrowicz to nawet nie Hamsun. Jak łatwo go jednak takim „zrobić" posługując się autorytetem prof. Saudauera! Jest taki, pożal się Boże, teatr, który to chętnie uczyni.

Wiele uroku i smaku ma natomiast podróż, do której zaprosił czytelnika redaktor almanachu — **Jerzy Poradecki**. Poznajemy trzy koncepcje aktu twórczego: 1) akt twórczy przekazuje wolę (inspirację) boską, poeta jest więc medium, pośrednikiem między światem idealnym a ludźmi, swego rodzaju kapłanem i to nie szeregowym, lecz — prorokiem (kapitalny przykład Słowackiego który nie ośmiela się zmienić — w mistycznym okresie swego życia — ani słowa w napisanym wierszu, wierzy bowiem, że utrwalił głos Boga); 2) akt twórczy, nawet uwikłany w podszepty pochodzącego od Boga natchnienia, jest poważnym zadaniem językowym, którego wykonanie wymaga doskonałego warsztatu, poeta zatem jest sztukmistrzem (koncepcja ta może mniej lub bardziej obrastać w metafizykę, podkreśla wszelako rangę pracy, wiedzy i umiejętności w procesie tworzenia); 3) akt twórczy jest konstruowaniem, kombinacją korzystającą z całej rekwizytorni poetyckiej, jaką pozostawiła tradycja, poeta jest majsterkowiczem. Poradecki czyni też pewne uwagi o relacjach między filozofią słowa a filozofią czynu, której wpływy od minionego stulecia rosły sprowadzając kryzysy wiary w poezję i podniecały myśl poetycką do szukania nowych idei i formuł sensu poezji, od których omówienia obiecująco autor uchyla się (zna, ale nie ma miejsca) przeto — jak w przypadku Panasiuka — pożądane byłyby kontynuacje wywodu na terenie współczesności.

Do równie pożywnych umysłowo szkiców należy praca **Tadeusza Osińskiego** o pojęciach „historii" i „rewolucji" w mentalności społecznej i teoriach okresu rewolucji francuskiej XVIII wieku i w Europie porewolucyjnej. Zainteresowanie tą epoką, np. myślą Tocqueville'a czy młodych heglistów jest w łódzkim ośrodku poważne. Toteż otrzymaliśmy rzecz, która niespecjalistów zapewne zaskoczy w kilku punktach wskazaniem oryginalności niektórych znaczeń owych pojęć i ich zmiennymi losami.

Pewne kłopoty nastręcza mi natomiast omówienie pracy **Andrzeja Biskupskiego** o poetyckim operacjonizmie. Niektóre ustalenia autor uważa za oczywiste, gdyż odsyła do swych rozpraw wcześniejszych. Wydaje mi się jednak, że powtórzenie ich lektury nie niweluje sprzeczności w definiowaniu zakresu owego operacjonizmu. Początkowo na pytanie tytułowe „co to takiego jest?" Biskupski odpowiada: „Jest metoda określonego typu postępowania interpretacyjnego w odniesieniu do utworów poetyckich". Wkrótce wszakże omawia nie ukończone dzieło Mallarmego „Księga" w sposób, z którego jasno wynika, że operacjonizm poetycki jest metodą twórczą, stosuje go nie krytyk, lecz poeta. Jeśli zaś jeden i drugi, to termin staje się niebezpiecznie zaborczy. Istotnie zaraz okazuje się, iż operacjonizmem może być: 1) „teoria budowy utworu poetyckiego", 2) „program ruchu poetyckiego" zdolny do sformułowania, 3) „nowej estetyki poezji", 4) nowej „kompozycji" a także 5) „nowego światopoglądu artystycznego w ogóle" oraz 6) „nowego rozumienia kultury w jej całościowym ujęciu". Pachnie już filozofią, zresztą operacjonizm jest właśnie kierunkiem filozoficznym wywodzącym się z krytyki pojęć naukowych dokonanej przez Percy W. Bridgmana. Biskupski głosi tezę „o niegotowości oraz niedostateczności sensu wypowiedzi artystycznej, gdy mowa o jej sensie całościowym". W jego ujęciu swoboda odbiorcy w coraz to innym, dowolnym zestawianiu części utworu i wymuszaniu ta metoda nowych sensów, bez oglądania się na intencje autora i sens historyczny dzieła, jest niczym nieograniczona, pomóc jej zaś może dodatkowo specyficzna kompozycja utworu umożliwiająca ogromnie wielką ilość dowolnych kombinacji jak w toto-lotku. Przyznajmy lojalnie, że operacjonizm taki nie propaguje deformacji znaczeń wynikających z niewiedzy czytelnika z jego niskiej kultury, i nie popiera manipulowania tekstem dla celów doraźnych, np. w propagandzie politycznej. Mimo to odbiorca nie douczony, jak również pisarz nie posiadający własnego zdania o świecie byłby najśmielszymi uczniami w tej szkole. Pewnie, że wieloznaczność i modyfikacje sensów w zależności od sytuacji i kultury odbioru są nieuniknione i ciekawe, może nawet świadczą o żywotności utworu. W sumie jednak wątpię, czy uczynienie z literatury (jeśli chodzi o budowę dzieła i formę jego wydania) czegoś w rodzaju układanki klockowej dla dzieci bez jednoznacznie dającej się odczytać osobowości piszącego (poza tym, że jest to osobowość „otwarta" na wszystko), poszerza w sposób wartościowy możliwości literatury. Raczej ją deprecjonuje i wyrządza jej niedźwiedzią przysługę.

Nawiasem mówiąc, gdy spojrzeć całościowo na nową „Osnowę", dostrzec można, że nad niektórymi tekstami (zwłaszcza Biskupskiego i Fijałkowskiego) unosi się aura tęsknoty do absolutnej wolności w nadawaniu sensu wypowiedziom artystycznym, uwznioślanie nijakości. Chce być dobrze zrozumiany. Świadomość relatywistyczna pozwala głębiej i mądrzej ujrzeć zjawiska, jest cenna, równie jednak potrzebna jak światopogląd i osobowość twórcy. Pewnie niełatwo dzisiaj o wybór (tyle wątpliwości nas osacza w każdej sprawie), ale nie przesadzajmy, nie kapitulujmy twierdząc, że wszystko może znaczyć wszystko. Gdy układa się nowy szyfr, to pewnie tak, język jednak choć konwencjonalny nie przeżywa zmian rewolucyjnych, a tylko takie mogłyby go uczynić sprawnym narzędziem dowolnych manipulacji znaczeniowych. I nie tęsknijmy za tym, by książka była talią kart, bo to poniża pisarza, czytelnika zaś anarchizuje.

Jak widać — wobec nowej „Osnowy" nie można zachować życzliwej obojętności. Jej lektura daje dużo satysfakcji, potwierdza prawdę o dużych możliwościach łódzkich środowisk artystycznych i naukowych. Wieść niesie że za jakiś czas przeczytamy o „sztuce odbioru", a potem o „tradycji". Doprawdy obiecujące!

„Osnowa" Almanach. Sztuka tworzenia. Oprac. Jerzy Poradecki. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, stron 142, cena 20 zł.

Z HISTORII POLSKIEGO WYWIADU

Sprawy historii wywiadu znacznie częściej trafiają na karty sensacyjnych powieści, aniżeli poważnej literatury naukowej. Jest to zupełnie zrozumiałe. Historyk badając jakąś problematykę musi odnaleźć i krytycznie zanalizować możliwie szeroki zakres różnego rodzaju źródeł do których jakże często wprost nie sposób jest dotrzeć. Nie wystarczają mu nawet najciekawsze, najlepiej — zdawałoby się — udokumentowane relacje czy wspomnienia. Musi je skonfrontować z całkiem prozaicznymi, choć niemniej dlań interesującymi dokumentami, dalekimi od sensacyjnych opowieści. Musi krytycznie zweryfikować różne mity i legendy którymi jakże często sprawy wywiadu są owiane.

Dlatego warto zwrócić uwagę na najnowszą książkę Leszka G o n d k a, zatytułowaną „Wywiad polski w Trzeciej Rzeszy 1933—1939," opublikowaną przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej (1978), która o sprawach znanych dotąd najczęściej z zasłyszeń i pogłosek opowiada w sposób kompetentny, w oparciu o skrupulatnie zgromadzoną przez autora dokumentację. Jest ona bogata, choć z pewnością nie aż tak obfita, jakby sobie tego życzył zarówno autor, jak jego czytelnicy. Historyk tylko w niewielkiej mierze mógł uwzględnić akta Oddziału II Sztabu Głównego WP. Stało się tak nie dlatego, że nie mógł do nich uzyskać dostępu. Okazało się po prostu, że akta te w swej większości po prostu... nie istnieją.

Losy akt Oddziału II Sztabu Głównego WP stanowiły do niedawna prawdziwą zagadkę. Już koła kierownicze tej instytucji dysponowały jedynie szczątkami jej akt, kiedy po klęsce wrześniowej opracowywały dla władz odpowiednie służbowe raporty. Tę część papierów, jaka znalazła się na emigracji, na przełomie 1939/1940 r. osoby kompetentne oceniały już jako „bardzo małą". Dlaczego? Co się stało z ich resztą? Do niedawna krążyły na ten temat rozmaite pogłoski, niektóre z nich trafiały również na łamy naszych periodyków. Przed kilkoma laty na łamach „Perspektyw" przedstawiono dzieje pozostawienia przez Oddział II w Forcie Legionów — używanym jako składnica różnych akt wojskowych — materiałów rzekomo zdezaktualizowanych.

L. G o n d e k nie zadowolił się pogłoskami. Zaczął badać akta strony niemieckiej, która z zupełnie zrozumiałych względów jak najbardziej interesowała się odnalezieniem materiałów archiwalnych polskiego przedwojennego wywiadu. I oto ujawniła się przykra sprawa: w ręce hitlerowskiego okupanta dostała się znaczna część zasobów archiwalnych Oddziału II, takich jak akta polskich attachatów wojskowych za granicą oraz Ekspozytury III Oddziału II Sztabu Głównego w Bydgoszczy. Prawda, że strona niemiecka nie znalazła wszystkiego, co ją interesowało, do jej rąk dostało się jednak sporo materiałów.

Ewakuacja akt Oddziału II w 1939 roku odbywała się w sposób kompromitująco nieodpowiedzialny. W rezultacie hitlerowcy w oparciu o zagarnięte akta ujęli ponad stu współpracowników polskiego wywiadu wojskowego, z których wielu doczekało się następnie surowych wyroków Sądu Wojennego III Rzeszy. W ten sposób został zdekonspirowany agent polskiego wywiadu, pracujący w centrali Abwehry, także inny agent działający w Berlinie itp.

„W spojrzeniu na genezę kulisy i bezpośrednie przyczyny klęski w wojnie obronnej 1939 roku — powiada Eugeniusz S t a n c z y n k i e w i c z w przedmowie, otwierającej książkę L. G o n d k a — nie znalazł, jak dotąd szerszego i bardziej wnikliwego naświetlenia problem polskiego wywiadu, tych jego ogniw, które działały na kierunku niemieckim i z zewnątrz z głębokiego przedpola, miały ochraniać interesy państwa oraz sygnalizować szybko postępujący wzrost agresywnych przygotowań zachodniego sąsiada." Te właśnie sprawy starał się w sposób spokojny i udokumentowany wyjaśnić L. G o n d e k. Autor nie dał się ponieść zbytniemu optymizmowi, ani też nie poddał się pesymistycznym nastrojom, gdy przyszło mu oceniać habet i debet, tej tak ważnej przecież dla bezpieczeństwa państwa służby. Odsłonił wiele mankamentów i niefrasobliwości faktów świadczących o politycznej ślepocie kół kierowniczych i braku poczucia odpowiedzialności. Pokazał jednocześnie kształt i rozmiar poświęcenia ludzi, którzy pracując na najtrudniejszym odcinku, mimo wszelkich utrudnień uczynili wiele aby w 1939 r. przybliżyć — jak obrazowo powiada L. G o n d e k — polskim kołom rządzącym skalę zagrożenia ze strony hitlerowskiej III Rzeszy. I dlatego książka ta wnosi wiele do naszej wiedzy o tych ważnych, ale wciąż mało znanych stronach naszej przedwrześniowej historii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TAJEMNICE JEZIORA TOEPLITZ

Jedna z najbardziej zagadkowych kart historii II wojny światowej wiąże się z nie wyjaśnioną do końca tajemnicą jeziora Toeplitz w Alpach Austriackich. Na dnie jeziora, jak opowiadają naoczni świadkowie tych wydarzeń, hitlerowcy ukryli sfałszowane funty szterlingi, zapasy złota gromadzonego przez gestapo, tajne archiwa i dokumenty nazistowskiej służby bezpieczeństwa. Po zakończeniu wojny poszukiwania tych nazistowskich „skarbów" przekształciły się w bezlitosną, konkurencyjną walkę wywiadowczych służb krajów zachodnich. Nieraz o tym pisano i sporo faktów już wyjaśniono. Ostatnio jednak ujawniono wiele nowych interesujących szczegółów dotyczących tajemnic tego malowniczego jeziora, ukrytego wśród alpejskich szczytów. Informuje o tym, m. in., mediolański tygodnik „Storia Illustrata".

We wrześniu 1956 roku, w niektórych austriackich księgarniach pojawiła się książka pt. **„Operacja Bernhardt"**. Tytuł książki mówił niewiele, ale jej treść okazała się sensacyjna. Nazwiska autora — Walter Hagen — nikt nie znał. Jednak wyjaśniło się rychło, iż pod tym pseudonimem ukrywa się jeden z najbardziej doświadczonych współpracowników hitlerowskiego kontrwywiadu — Wilhelm Heutl. Mieszkał on wówczas w małym austriackim uzdrowisku Bad Aussee, gdzie był nauczycielem w miejscowej szkole.

Grupie dziennikarzy udało się z nim spotkać w jego mieszkaniu. Mimo ubioru na bawarską modłę, starczych worków pod oczami i sporego brzucha był to niewątpliwie ten sam Heutl, świetnie zorientowany w wielu największych tajemnicach wojskowych służb wywiadowczych hitlerowskich Niemiec a przede wszystkim w tajemnicach wydziału VI F RSHA — Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Wydział ów zajmował się wywiadem, a kierował nim Schellenberg. Pracownicy wydziału opracowywali także „środki techniczne" — od mikroprzekaźników do urządzeń neutralizujących systemy podsłuchowe przeciwnika, układali nowe szyfry i odczytywali szyfrowane informacje wroga.

„Operację Bernhardt", o której opowiada w swojej książce Heutl, powierzono do wykonania oddziałowi „środków technicznych". Chodzi tutaj o machinację finansową, jedną z największych w historii. O jej charakterze świadczy znany fakt, kiedy to wywiad hitlerowski kupił od niejakiego Eliasza Bazna (szpiegowski pseudonim „Cicero"), kamerdynera brytyjskiego ambasadora w Ankarze w 1943 roku, ważne informacje za astronomiczną, jak na owe czasy, sumę 20 tysięcy angielskich funtów szterlingów. Wypłacone banknoty były fałszywe, ale podrobione tak znakomicie, że nawet w Banku Tureckim nikt nie wykrył fałszerstwa. Warto wspomnieć na marginesie, iż w książce „Operacja Cicero", wydanej w Londynie w 1950 roku, jej autor, były attaché niemieckiej ambasady w Turcji pisze, iż Bazna otrzymał od niego 300 tys. funtów szterlingów, z których lwia część była fałszywa.

ZAGADKOWA ŚMIERĆ KPT. WKG

Zarówno te funty, jak i miliony innych użytych do tych samych celów, były właśnie wynikiem operacji „Bernhardt", o której nie wiedziałby świat, gdyby nie książka Heutla. Niedaleko od Bad Aussee, gdzie mieszka Heutl, leży opasane wysokimi górami niewielkie, lecz przepiękne jezioro Toeplitz. Do tego jeziora prowadzi malownicza dróżka wijąca się wśród jodeł i strzelistych sosen. Podziwiając ten uroczy twór przyrody trudno wprost uwierzyć, iż kryje on w swym wnętrzu tyle ponurych tajemnic. Ot, choćby zagadkowa śmierć dwóch inżynierów z Linzu — Meyera i Piechlera. Ich zwłoki znaleziono w marcu 1946 roku na stoku góry, niedaleko od jeziora. W toku dochodzenia ustalono, iż w czasie wojny obaj pracowali na „stacji meteorologicznej" usytuowanej na brzegu jeziora.

10 sierpnia 1950 roku miało miejsce jeszcze jedno tajemnicze wydarzenie. Mieszkaniec Hamburga, doktor Herens, spadł ze stumetrowej wysokości południowego zbocza góry Reichenstein, wznoszącej się nad jeziorem Toeplitz. Z początku uznano to za nieszczęśliwy wypadek, jakich wiele w górach, ale okazało się niebawem, że chodzi tutaj o zupełnie coś innego. Otóż Herens swego czasu również pracował na „stacji meteorologicznej". Podczas wspinaczki na górę towarzyszył mu niejaki Keller, który po „wypadku" uciekł w nieznanym kierunku. Jak ustalono podczas śledztwa, Keller także był pracownikiem „stacji meteorologicznej"...

Trzy lata później zaczęto w Austrii mówić o chłopcu, który przypadkiem znalazł na brzegu jeziora Toeplitz paczkę banknotów. Były to wycofane już z obiegu dolary amerykańskie, które, jak twierdzi chłopiec, pływały po prostu na wodzie. O tej całej historii dowiedziało się dowództwo wojsk amerykańskich, stacjonujących w Zachodnich Niemczech. Niebawem na brzegu jeziora pojawili się amerykańscy nurkowie. Szybko, bez zbędnej gadaniny, zainstalowali potrzebne urządzenia, pompy, sprężarki powietrza itp.

Na pierwszych nurków, którzy pogrążyli się w lodowato zimnej wodzie jeziora, czekała nieprzyjemna niespodzianka. Toeplitz jest jedynym jeziorem w Europie, w którym, między powierzchnią wody a dnem, na głębokości około 40 metrów, stale utrzymuje się gruba warstwa tysięcy pni drzew, które staczają się z urwistych stoków gór, lub spływają do jeziora porywane przez gwałtowne wiosenne potoki. To swego rodzaju pierwsze dno jeziora jest niebezpieczną pułapką dla każdego śmiałka, który by probował na nim stanąć: warstwa pni rozewrze się na moment i wpuści nurka do środka, lecz zamknie się nad nim natychmiast i na zawsze! Właśnie to pierwsze dno stało się przyczyną śmierci, w każdym razie tak utrzymywano w oficjalnym komunikacie, amerykańskiego nurka W. K. G. (Amerykanie chyba już nigdy nie podadzą jego nazwiska). Jego zwłoki odnalezione po upływie dwudziestu godzin intensywnych poszukiwań. Jednakże dopiero wiele lat później okoliczności śmierci nurka, który — jak się okazało — był w rzeczywistości oficerem amerykańskiego wywiadu, mimo wszystko wyjaśniono: wąż gumowy doprowadzający powietrze do skafandra został przecięty nożem...

O śmierci kapitana W. K. G. zamieszczono artykuły w wielu gazetach. Wśród nich także w dusseldorfskiej „Mittag".

„Podczas schodzenia do wody kapitan amerykańskich sił zbrojnych — pisał autor artykułu w „Mittag" — zastosowano się do wszystkich wymagań instrukcji. Absolutnie wyklucza się możliwość dywersji ze strony personelu pomocniczego, odrzucono także hipotezę, jakoby wąż doprowadzający powietrze był niesprawny...".

Poza te ogólne stwierdzenia „Mitag" nie wychyliła się. Ale już w tym samym czasie tu i ówdzie otwarcie mówiono o zabójstwie, dokonanym przez grupę neonazistów, którzy nieoczekiwanie zaatakowali amerykańskiego nurka. Widocznie — mówiono w Austrii — całą akcję przeprowadzono dlatego, żeby przeszkodzić Amerykanom w wyjaśnieniu, co ukryto pod „drewnianym" dnem jeziora.

JESZCZE JEDEN NUREK...

Jedna z gazet informowała, iż w ostatnich tygodniach wojny z rzek Górnej Austrii: Enns i Traun wyławiano paczki fałszywych funtów szterlingów. Ponieważ obie te rzeki biorą początek niedaleko od Bad Aussee, uważano, iż pieniądze fabrykowano w strefie trójkąta: Hallstaetter See — Bad Ischl — Bad Aussee. W górach tego rejonu w 1945 roku wykryto dziesiątki pieczar przebudowanych na magazyny. W dawno zawalonych kopalniach znaleziono skrzynie z mieniem ogromnej wartości, zagrabionym przez okupanta w niezliczonych miastach Europy. Wspomniana już düsseldorfska gazeta „Mittag" pisała później, iż w rejonie jeziora Toeplitz nieustannie kręciły się podejrzane indywidua, całymi nocami błyskały światełka elektrycznych latarek, błądzące pośród gór.

Halucynacje?

Skądże znowu. W 1963 roku ginie tajemniczo jeszcze jeden nurek, który ośmielił się zanurzyć w topiel jeziora. Tym razem był to Niemiec, niejaki Alfred Egner. W nocy z piątego na szóstego października tego roku widziano w tym rejonie słynnego niegdyś Otto Skorzennego, oficera SS, któremu Hitler poruczał najbardziej delikatne sprawy. Skorzenny nie żyje. Minęło też wiele lat od śmierci Waltera Schellenberga, który z pewnością znał wiele tajemnic jeziora Toeplitz.

Istnieje jednak pewien fakt, o którym dowiedziano się dopiero po upływie wielu lat: w samym jeziorze i w górskich pieczarach naziści ukryli dziesiątki, a być może setki skrzyń. W początkach maja 1945 roku, wymijając oddziały amerykańskie, przybyła do tego rejonu kolumna niemieckich ciężarówek. Wyładowano z nich w wielkim pośpiechu i schowano w przygotowanych uprzednio kryjówkach skrzynie ze sztabami złota i klejnotami, z bronią i dokumentami wydziałów podległych Himmlerowi, z rysunkami rakiet wystrzeliwanych z łodzi podwodnych. Można sobie to wyobrazić na podstawie dokumentów, informacji i opowiadań naocznych świadków: Długa kolumna samochodów ciężarowych z oficerami i żołnierzami SS podjeżdża do jeziora Toeplitz. Tutaj już od dawna działa laboratorium eksperymentalne, zamaskowane pod nazwą „stacji meteorologicznej". W laboratorium prowadzi się prace nad skonstruowaniem rakiet o niewielkim promieniu działania. Cały najbliższy rejon jest otoczony drutem kolczastym i pilnie strzeżony. Do wyładunku przybyłych ciężarówek dopuszczono tylko żołnierzy SS. Potwierdził to później dowódca plutonu ochrony laboratorium, Albrecht Heinswinkler, który po wojnie „przekwalifikował się" na agenta ubezpieczeniowego w Bad Aussee.

Jego informacje były nader interesujące. Kolumna samochodów ciężarowych, jak się teraz okazało, powinna przyjechać do Radstadt, gdzie oczekiwał na nią Otto Skorzenny. Ale ponieważ drogę prowadzącą do tego miasta zajęli już Amerykanie, kierowcy samochodów, pragnąc możliwie najszybciej pozbyć się cennego ładunku, pojechali drogą polną, wiodącą prosto do jeziora Toeplitz. Heinswinkler zeznał również, że wśród ludzi rozładowujących samochody było kilku więźniów z obozów koncentracyjnych. Właśnie oni zdejmowali z ciężarówek skrzynie z matrycami i fałszywymi banknotami, wykonanymi w ramach operacji „Bernhardt".

OPERACJA „ANDREAS"

Na czym polega istota tej operacji i jaka jest jej prehistoria?

Już w 1939 roku specjaliści tajnych służb Trzeciej Rzeszy przygotowywali operacyjny plan, który otrzymał szyfrowaną nazwę „Operacja Andreas". Jej celem było wywołanie ekonomicznego chaosu w krajach toczących wojnę przeciwko nazistowskim Niemcom. Idea nienowa, już w latach I wojny światowej Anglicy zrzucali na terytorium Niemiec worki z fałszywymi kartkami żywnościowymi. Ale naziści postanowili pójść dalej: pomyślano o fabrykowaniu banknotów wykonanych z taką dokładnością żeby bez najmniejszego podejrzenia przyjmowali je pracownicy banków krajów neutralnych, a przede wszystkim Szwajcarii.

Pierwsze próby realizacji tej myśli zlecono Heutlowi. Eksperymenty wypadły pomyślnie: kanały, przez które można upłynniać fałszywe pieniądze już istnieją, a „rynek" przyjmie je chętnie. Teraz ma nastąpić następny etap operacji — drukowanie podrobionych banknotów, to jest najdelikatniejszy moment w realizacji całego planu, wymagający ścisłej tajemnicy. W Berlinie, w pomieszczeniu należącym do wydziału VI F RSHA, zainstalowano urządzenia do spektograficznej analizy papieru oraz studiowano sposoby przygotowania znaków pieniężnych w różnych krajach. Część urządzeń wykorzystywano do „produkcji" fałszywych paszportów na użytek agentów wywiadu. Wszystkimi pracami kierował kapitan SS, dr Krüger. Nosił imię Bernhardt. Z tego też względu operację „Andreas" przemianowano niebawem na operację „Bernhardt".

Początki były nader obiecujące, ale już niebawem pojawiły się pierwsze trudności. Na określonym etapie operacji postanowiono sfałszować dużą partię angielskich funtów. Ale w 1940 roku Skarb Angielski używał do drukowania bankontów jakiś szczególny papier, być możne nawet ręcznie wykonywany, i podrobienie go było zadaniem niezmiernie trudnym. Do rozwiązania tego problemu wprzęgnięto, w wielkiej tajemnicy, najlepszych specjalistów niemieckiego przemysłu papierniczego. Wyniki ich badań i wnioski były bardzo rozbieżne. Zgadzali się tylko co do jednego, a mianowicie, iż do przygotowywania papieru na którym drukuje się funty szterlingi, używa się, oprócz wszystkich innych komponentów, lnianego płótna. Oczywiście, takie stwierdzenie nie wystarczało jeszcze żeby można przystąpić do następnego etapu — przygotowania płyt i drukowania banknotów.

„Żeby ustalić z jakiego papieru wykonywano angielskie funty — pisze w swojej książce świadek i uczestnik operacji „Bernhardt", Wilhelm Heutl — pocięto i dosłownie zmielono wiele autentycznych pieniędzy. Ich szczątki przesyłano do analizy w laboratorium stołecznego uniwersytetu... Minęło bardzo dużo czasu nim podano nam bardziej prawdopodobne dane o prawdziwym składzie papieru. Był to specjalny rodzaj papieru przygotowywanego ręcznie z lnianego płótna".

W tym czasie nie było już w Niemczech rzemieślników znających tajemnice ręcznej produkji papieru. Trzeba było kilku miesięcy, żeby znaleźć wykwalifikowanych specjalistów, którzy by pomogli w znalezieniu wyjścia z tej trudnej sytuacji. Koniec końców małą grupę dobrze już podstarzałych ludzi udało się zebrać w fabryce papieru, niedaleko od berlińskiego przedmieścia Eberswalde.

„Po upływie wielu długich miesięcy — pisze Heutl — udało się wreszcie przygotować papier. Nawet przez mikroskop nie można go było odróżnić od autentycznego. A jednak pod lampą kwarcową dawały się zauważyć pewne różnice: oba papiery były koloru lila, ale na oryginale jego tony były świetliste i żywe, podczas gdy na podrobionym — wyblakłe i nieco brudnawe".

Nie pomogło stosowanie środków chemicznych. Pożądanego wyniku nie osiągnięto nawet po sprowadzeniu z Turcji partii specjalnego rodzaju lnu (ustalono, że właśnie ten rodzaj lnu używali angielscy specjaliści). W końcu przecież zagadkę rozwiązano: Anglicy stosowali używane płótno lniane... Fałszerze cięli więc turecki len na szmatki, brudzili go, a następnie poddawali wybielaniu. I w ten sposób otrzymano papier identyczny jak angielski.

KTO STRZEŻE TAJEMNIC TOEPLITZ?

Po tym przystąpiono do końcowego etapu operacji „Bernhardt". W fabryce trzeba było utrzymać stały poziom wilgotności powietrza i temperatury, żądano ogromnych ilości lnianych ściereczek. Obawiano się, iż wartość fałszywych funtów może przewyższyć cenę autentycznych banknotów, wymienionych na złoto w jednym z krajów neutralnych. Znaleziono proste wyjście — jeśli już fałszywe pieniądze kosztują tak drogo, to należy wydrukować ich tyle, żeby z naddatkiem pokryć straty.

Operacja nabrała tempa, kiedy „inżynier" Friedrich Schwendt znalazł na terenach okupowanych przez nazistów trzech „wysoko wykwalifikowanych" fałszerzy pieniędzy. Niebawem cała trójka znalazła się w obozie koncentracyjnym Oranienburg, a ściślej mówiąc w „baraku specjalnym" nr 19. W rzeczywistości mieściło się tutaj poligraficzne laboratorium, wyposażone w najnowocześniejszą w owym czasie aparaturę techniczną. Więźniowie Schwendta po przeprowadzeniu licznych prób przygotowali płyty do powielania banknotów. Numery serii były częściowo nowe lub powtarzały numery, wydrukowane na autentycznych banknotach. Pieniądze papierowe z „prawdziwymi" numerami przeznaczono do najbardziej terminowych spłat, pozostałe — do prześledzenia dróg rozpowszechniania fałszywych pieniędzy i ich wyjścia na rynek.

Pierwsze banknoty wydrukowane w Oranienburgu pracownicy banku w krajach nautralnych przyjmowali bez cienia nieufności. Doszło jednak do paradoksów: nieraz obiektem podejrzeń były paczki z prawdziwymi funtami szterlingami, zdawanymi w bankach wraz z podrobionymi banknotami. Jednakże na próby stracono takie mnóstwo czasu, iż w momencie pojawienia się na rynku funtów angielskich wykonanych w Niemczech, wojna przyjęła dla nazistów bardzo niepomyślny obrót. Niemniej operacja „Bernhardt" przebiegała zgodnie z nakreślonym planem. Tyle tylko, że tymczasem sfabrykowano także nie odróżniające się od oryginału dolary amerykańskie. Poczynając od wiosny 1943 roku tajne służby hitlerowskich Niemiec nie odczuwały najmniejszych trudności w sferze finansów. Świadczy o tym fakt, iż usługi ich agentów działających w różnych krajach opłacano wyłącznie w funtach szterlingach i dolarach. Niezwykła hojność mocodawców wzbudziła zaniepokojenie niektórych agentów prowadzących działalność szpiegowską w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Żeby uniknąć dalszych podejrzeń i zwyczajnego fiaska całej operacji, Niemcy powrócili do poprzednich „taryf".

Świeżo przygotowane banknoty specjalnie mięto, żeby wyglądały na egzemplarze znajdujące się w obrocie. Nie spuszczano oka z najmniejszych szczegółów: przed ekspedycja pieniędzy nie zapominano o przemieszaniu banknotów różnych serii i numerów. Operacja „Bernhardt" wydawała oszałamiające plony. Już miliony fałszywych funtów szterlingów i dolarów krążyło po światowych rynkach. Jednakże wojna miała się ku końcowi i z rozkazu dowódcy RSHA — Kaltenbrunnera, wszystkie materiały związane z operacją „Bernhardt" należało przewieść do obozu koncentracyjnego w Ebenssee w Austrii, a ściślej mówiąc do jego filii w Redl Zipf. Kiedy jednak, jak już wspomniano wcześniej, po przejechaniu bez przeszkód połowy Niemiec (Oranienburg znajduje się 20 km od Berlina) kolumna samochodów ciężarowych znalazła się na terytorium Austrii, okazało się, że teren penetrują Amerykanie i kolumna, klucząc, musiała się skierować nad jezioro Toeplitz.

A jeśli chodzi o przyczyny tajemniczych śmierci w okolicach jeziora Toeplitz i w jego wodach. Kto był najwięcej zainteresowany w trzymaniu nazbyt ciekawych śmiałków z dala od niezbadanych wód jeziora? Utrzymuje się opinia, iż głównymi „bohaterami" tej tajemnicy są ludzie Kaltenbrunnera i Schwendta, którzy poszli na wszystko, żeby tylko zlikwidować niebezpiecznych konkurentów lub zbyt ciekawych poszukiwaczy skarbów.

(STOK)

ILJA WARSZAWSKI

WYSTRZAŁ

— Nie znam się na pańskich tenzorach — powiedział Sceptykow — lecz jestem przekonany, że wszystkie te matematyczne wykrętasy wymyślono specjalnie po to, by skołować człowieka chcącego posługiwać się zdrowym rozsądkiem. Żadnego ujemnego prawdopodobieństwa nie ma, a czas zawsze płynie w jednym kierunku.

Mózgaczow nachmurzył się. Bezowocny spór z profanem zaczął go irytować. Właściwie na tym można byłoby skończyć, lecz wszyscy wynalazcy są bardzo ambitni.

— Pan się myli — powiedział gniotąc nie zapalonego papierosa. — Moja idea znalazła realne wcielenie. Skonstruowałem aparat, na którym można podróżować w przeszłość i jestem gotów udowodnić to panu! Chodźmy!

Aparat przypominał kryształowe jajo umieszczone pomiędzy dwoma biegunami ogromnego elektromagnesu.

Poprzez przezroczyste ścianki Sceptykow ujrzał dwa niewielkie fotele i tablicę pełną przyrządów. „Diabli wiedzą do czego w końcu zdolni są fizycy" — pomyślał mimo woli z szacunkiem.

Mózgaczow uniósł pokrywę jaja.

— A więc, jeśli pan gotów, proszę zająć miejsce w kabinie.

Ogłupiały Sceptykow wlazł do środka tajemniczego aparatu. Nagle wydało mu się, że setki słońc eksplodowały przed jego oczami. Ogromny guz — wynik uderzenia o kolbę myśliwskiego winchesteru kaliber 12 — powoli, lecz ciągle rósł u nasady nosa.

— Zapomniałem pana uprzedzić, że w kabinie ciasnawo — powiedział uśmiechając się Mózgaczow. — No to, jazda!

Sceptykow, przycisnąwszy chusteczkę do czoła, rozsiadł się w fotelu.

— Dobrze — powiedział zjadliwie. — Proszę mnie obudzić, kiedy zbliżymy się do starożytnego Egiptu.

— Trzeba było zawczasu uprzedzić, że interesuje się pan tą epoką — odpowiedział Mózgaczow, przesuwając ku sobie jakąś dźwignię. — Obawiam się, żeśmy ją minęli.

— Nie dam się wziąć na ten kawał — uśmiechnął się Sceptykow. — Minęło raptem parę minut, w czasie których...

— Dla nas — powiedział Mózgaczow — lecz nie dla świata istniejącego wkoło nas. Przecież w aparacie czas zatrzymał się od chwili, w której włączyłem promiennik pola. W rzeczywistości jesteśmy poza czasem. Pora wejść w przeciwnie skierowany strumień. Myślę, że odskoczymy co najmniej na sto tysięcy lat wstecz.

Mózgaczow nacisnął czerwony przycisk na suficie i odrzucił pokrywę kabiny.

— Chyba więcej niż na sto — powiedział pomagając Sceptykowowi wyleźć na zewnątrz i rozglądając się dookoła. — Sądząc według roślinności, trafiliśmy wprost do średniego paleolitu, a oto, jeśli się nie mylę, nasi dalecy przodkowie idą powitać ludzi XX wieku.

Poprzez gęste zarośla prehistorycznego lasu do podróżnych zbliżała się grupa człekopodobnych istot uzbrojonych w maczugi. Ponure wejrzenia, jakie rzucali na przybyszów z przyszłości oraz obnażone zęby nie wróżyły niczego dobrego.

Mózgaczow wyjął winchester.

— Niech pan śledzi każdy ich ruch — powiedział podając broń Sceptykowowi — a ja postaram się przekonać naszych praojców o przyjaznych zamiarach z naszej strony.

Z uniesionymi do góry rękami Mózgaczow skierował się ku neandertalczykom skupionym wokoło swojego wodza, młodego osiłka wielkości dorosłego szympansa.

Nie zdążył Mózgaczow zrobić trzech kroków, kiedy zręcznie rzucona przez młodego wodza maczuga roztrzaskała mu głowę.

W tym samym momencie Sceptykow nacisnął cyngiel i neandertalczyk, oblewając się krwią, padł na ziemię w przedśmiertnych drgawkach.

Następstwa tego wystrzału przewyższyły wybuch dziesiątków bomb wodorowych, bowiem Sceptykow okazał się być potomkiem zabitego neandertalczyka, a ten — do momentu swej śmierci — nie zdążył mieć potomka.

Zabiwszy swego przodka w linii prostej, Sceptykow natychmiast przestał istnieć, bowiem nie ma następstwa bez przyczyny. Lecz skoro nigdy nie istniał, nie mógł zabić neandertalczyka, więc neandertalczyk ożył ponownie, dając Sceptykowowi przez to prawo do istnienia, a jednocześnie możliwość raz jeszcze być zabitym, poczem wszystko rozpoczęło się na nowo.

Razem ze Sceptykowem, w układzie „istnieję — nie istnieję", znalazło się 10 milionów potomków zabitego neandertalczyka, a w tej liczbie autor niniejszego opowiadania, w wyniku czego nie widzi on żadnej możliwości zakończenia tej opowieści, dopóki nie ustanie ten cały galimatias.

Jedno, co autor obiecuje czytelnikowi — to nigdy więcej nie wysyłać swoich bohaterów w przeszłość.

Przełożył: E. IWANICKI

U PRZYJACIÓŁ

Postać Borysa Polewoja jest w naszym kraju równie dobrze znana, jak i jego książki. Znakomity radziecki pisarz odwiedzał nas wielokrotnie. Ostatnio zaproszony został przez Polski Oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej do wygłoszenia odczytu na temat „Lew Tołstoj, a zagadnienia współczesności". Warto przypomnieć, że autor „Opowieści o prawdziwym człowieku" jest prezesem Radzieckiego Oddziału SEC.

— Trudno mi policzyć, która to już jest moja wizyta w Polsce — powiedział Borys Polewoj w rozmowie z dziennikarzem PAP. — Pierwszy raz poznałem ją jako żołnierz Armii Czerwonej, który uczestniczył w zwycięskim marszu na Berlin. Później byłem na Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju, który odbył się w 1948 roku w zrujnowanym przez wojnę Wrocławiu. Wtedy to poznałem się i zaprzyjaźniłem z wieloma wybitnymi twórcami polskimi, m. in. Władysławem Broniewskim, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Jerzym Putramentem. Dzięki działalności w SEC miałem szczególnie wiele okazji do spotkań z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Odbywały się one nie tylko w Polsce, czy Związku Radzieckim, ale także w różnych miastach Europy i innych kontynentów, m. in. w Indiach.

— Odzywają się niekiedy głosy twierdzące, że temat wojny został już w literaturze wyczerpany. Czy Pan zgadza się z tymi sądami?

— Cały świat pragnie pokoju. Moim zdaniem, aby utrzymać pokój na ziemi, trzeba, aby nie tylko moje pokolenie, które odczuło na sobie cały ciężar wojny, ale również nasze dzieci i wnuki wiedziały, czym naprawdę jest wojna. Zgadzam się jedynie z opinią, że może za wiele jest, zwłaszcza na Zachodzie, książek i filmów, a szczególnie seriali telewizyjnych, traktujących ten temat powierzchownie i ukazujących wojnę, jako swego rodzaju „przygodę", zamieniających wielką tragedię narodów i ich zmaganie z hitlerowskim najeźdźcą bardzo często w zabawę. Młodzież, oglądając te filmy, czy czytając tego typu książki, wyrabia sobie często mylne poglądy na tamte lata. Należy więc wojnę ukazywać taką, jaką była naprawdę. Jestem przekonany, że pojawi się jeszcze dużo wielkich książek, mówiących o II wojnie światowej. Przecież „Wojna i pokój" Lwa Tołstoja, jedno z najwybitniejszych dzieł literatury światowej, poświęcone obronie pokoju i ojczyzny, powstało dopiero w kilkadziesiąt lat po opisywanych wypadkach i napisane zostało przez człowieka, który nie brał w nich udziału.

— Czym obecnie Pan się zajmuje?

— Dużo uwagi poświęcam pracy w literackim piśmie „Junost", którego jestem naczelnym redaktorem. „Junost" to kuźnia młodych talentów, wrota, którymi młodzi pisarze dostają się do wielkiej literatury. W piśmie tym rozpoczynało swoją literacką działalność wielu znanych dziś szeroko prozaików i poetów. Młodzi twórcy żyją dniem dzisiejszym swego kraju, a dzisiejszy dzień w Związku Radzieckim to wielkie budowle komunizmu związane z zagospodarowywaniem obszarów Syberii i Dalekiego Wschodu. Dla wielu ich budowniczych są to czasy nie mniej heroiczne, niż lata wojny. Dla młodych pisarzy zaś jest to okazja do utrwalenia na kartach książki piękna pracy ludzkiej, ludzkiego wysiłku wkładanego w zmagania z surową syberyjską przyrodą.

Niedawno ukazała się moja opowieść o miłości „Aniuta". Druk mojej nowej książki „Najbardziej pamiętni" rozpocznie się w styczniu. Jest ona historią reportaży, jakie pisałem w ciągu pięćdziesięciu lat mojej pracy, dziejami powstawania i tych udanych prac i tych nieudanych.

POLONICA KULTURALNE

Niedawno w moskiewskim wydawnictwie „Chudożestwiennaja Litieratura" ukazał się w nakładzie 50 tys. egzemplarzy obszerny, starannie edytorsko opracowany tom, zatytułowany „Polskie powieści". Zawiera on powieści: Wilhelma Macha „Życie duże i małe", Wiesława Myśliwskiego „Nagi sad" i Jerzego Wawrzaka „Linia".

* * *

W Paryżu rozpoczęły się obchody 85-lecia paryskiej stacji Polskiej Akademii Nauk; jednej z sal stacji nadano imię małżonków Marii Skłodowskiej i Piotra Curie. Otwarto wystawę polskiej książki naukowej.

* * *

Polski pianista jazzowy, Adam Makowicz, został zaprezentowany przez telewizję USA. Nakładem wytwórni „Columbia" ukazała się płyta Adama Makowicza. Willis Conover w przedmowie do albumu pt. „Adam Makowicz" napisał, że polski pianista jest od trzech lat numerem jeden wśród europejskich muzyków jazzowych.

Podróż w przyszłość

NA BENZYNIE CZY ELEKTRYCZNOŚCI?

Niewykluczone, iż przyszłość należy do samochodu o napędzie elektrycznym, którego idea zrodziła się już w minionym stuleciu. W wielu krajach świata prowadzi się prace nad skonstruowaniem samochodu o napędzie elektrycznym, który, zdaniem specjalistów, może z powodzeniem zastąpić samochody z silnikiem spalinowym. Na tej drodze osiągnięto już poważne sukcesy, niemniej, żeby lekki samochód z silnikiem elektrycznym zdobył sobie prawo obywatelstwa trzeba jeszcze rozwiązać szereg skomplikowanych problemów technicznych.

Wielu ludzi wyobraża sobie taki samochód jako wózek golfowy dużych rozmiarów. Inni znów widzą w nim samochód przyszłości. Wielu specjalistów w Detroit nazywa je „stonką ziemniaczaną" i ma nadzieję iż ciągoty do samochodu „na elektryczności" znikną któregoś pięknego dnia. Ale nie mają racji i, jakby go nie nazwali, najprawdopodobniej już w 2000 roku po amerykańskich drogach — jak przewiduje z kolei futurolodzy — będzie jeździć około 20 milionów samochodów o napędzie elektrycznym. A niektórzy, najbardziej realistycznie myślący liderzy przemysłu automobilowego, już dziś myślą nad możliwością masowej, komercyjnej produkcji takich samochodów.

Nie zanieczyszczają one atmosfery, jest im niepotrzebna benzyna. Koszta ich eksploatacji obniżą się stopniowo do kilku centów za półtora kilometra przejazdu. Ulepszone akumulatory, dysponujące większą ilością energii i małą wagą, zabezpieczą podaż energii elektrycznej w ilości dostatecznej do kilkusetkilometrowej podróży z szybkością około 90 km na godzinę. Ładowanie akumulatorów, jeśli zajdzie taka potrzeba w drodze, będzie można dokonać przez zwykłe podłączenie samochodu do sieci elektrycznej. Specjalny system będzie wytwarzał prąd elektryczny podczas hamowania samochodu i będzie go przekazywał do akumulatorów, powiększając tym samym zapas energii. Koła zamachowe, wykonane z lekkich materiałów i obracające się w próżni, będą gromadzić energię dopóty, dopóki jej uzupełniająca ilość będzie potrzebna, na przykład, przy wjeżdżaniu pod górę lub wymijaniu innego samochodu.

Kongres USA — jak informuje „Science Digest" — podjął już decyzję w sprawie opracowania, skonstruowania i wypróbowania samochodów o napędzie elektrycznym. W związku z tym postanowieniem, na opracowanie technologii i wyprodukowanie samochodów elektrycznych oraz zademonstrowanie możliwości ich komercyjnej produkcji, asygnowano już znaczne środki. W ubiegłym roku prezesa Urzędu do Spraw Rozwoju Źródeł Energetycznych (USRZE) zobowiązano do przedłożenia analizy, dotyczącej stanu prac nad opracowaniem samochodów elektrycznych. Pierwsze modele tych standaryzowanych samochodów miały być gotowe w 1978 roku. Postanowienie Kongresu USA zobowiązuje bowiem USRZE do wypuszczenia w grudniu tego roku na drogi Stanów Zjednoczonych pierwszych 2500 samochodów o napędzie elektrycznym. W ślad za nimi, do października 1984 roku, powinno wyjechać na amerykańskie autostrady dalszych 5 tysięcy samochodów tego typu. Kilkanaście kompanii opracowuje już modele samochodowe, które będą zaopatrzone w takie nowości, jak koła zamachowe, „regenerujące" systemy hamulcowe, elektroniczne systemy sterowania mocą silnika i mikrokomputery wielkości pudełka od zapałek, regulujące podaż energii elektrycznej z akumulatorów do silnika.

W 1899 roku belgijski samochód o napędzie elektrycznym (z akumulatorami ważącymi dwie tony!) ustanowił światowy rekord szybkości na lądzie, osiągając ponad 103 km na godzinę. W początkach tego stulecia w Chicago liczba samochodów o napędzie elektrycznym przewyższała ponad dwukrotnie liczbę samochodów z silnikami na benzynę. Ale pojawienie się lekkich samochodów z silnikami spalinowymi i mnóstwo benzyny spowodowały, że wkrótce po I wojnie światowej większość samochodów elektrycznych poszła na śmietnik. Jednakże problemy zanieczyszczenia środowiska, szczególnie ostre w latach 60 oraz kryzys energetyczny lat 70 znów skierowały uwagę na samochód o napędzie elektrycznym. Dziś eksploatuje się w USA ponad 500 tysięcy samochodów tego rodzaju, jako wózki do golfa, samochody załadowcze, furgonetki pocztowe i autobusy do przewożenia pasażerów transportu lotniczego. Kilka kompanii amerykańskich wypuszcza samochody o napędzie elektrycznym pierwszego pokolenia do ruchu kołowego na drogach pozamiejskich, a ponad sto innych firm zajmuje się badaniem lub opracowywaniem, albo jednym i drugim, podobnych samochodów.

Porównywanie kosztów eksploatacji może mylić, ale — jak utrzymują inżynierowie elektrycy, którzy już od kilku lat jeżdżą na tych samochodach — koszt ten wynosi 1,5 centa na ponad półtora kilometra jazdy, podczas gdy benzyna na tym samym przejeździe kosztuje 4 centy. Jeśli jednak porównać cenę eksploatacji akumulatorów z ceną paliwa, to wydatki w obu wypadkach okażą się mniej więcej jednakowe. Główna i decydująca różnica między samochodami o napędzie elektrycznym a zwykłymi polega na ich charakterystykach eksploatacyjnych. Małe przyśpieszenie przy ruszaniu z miejsca, niedostateczna szybkość, kłopoty z wjeżdżaniem pod górę i trudności w kierowaniu — oto, na co najczęściej narzekają kierowcy samochodów o napędzie elektrycznym.

Dlatego też, żeby samochód z takim silnikiem mógł konkurować z samochodem spalinowym, utrzymują fachowcy, jego „rodzinny" model powinien mieć zasięg jazdy (bez ładowania akumulatorów) około 350 km i średnią szybkość około 90 km na godzinę. Obecnie średni samochód z silnikiem elektrycznym rozwija maksymalną szybkość 80 km na godzinę, a przebieg między ładowaniem akumulatorów wynosi od 48 do 64 km. W tej sytuacji uczeni mają jeszcze nad czym popracować. Ale dziś wiadomo, że chcą oni już w pierwszej partii samochodów z silnikiem elektrycznym uzyskać taki model, który by przełamał bariery psychologiczne: a zatem — zasięg przebiegu 120 km, maksymalna szybkość około 90 km na godzinę i zwiększenie szybkości z 16 km do 45 w przeciągu 10 sekund, „ładowanie" 6 godzin, wszelkie wymogi bezpieczeństwa oraz cena nie wyższa niż 5 tys. dolarów, według cen 1975 roku.

USRZE planuje, iż drugi model, który powinien się już pojawić w 1984 roku, będzie miał zasięg przebiegu 160 km i — co najważniejsze — będzie wyposażony w szereg technicznych nowości. Oznacza to przede wszystkim ulepszone akumulatory. Akumulator o wadze 5 i pół kg gromadzi taką samą ilość energii, jaką zawiera kieliszek benzyny. Dlatego też bez tanich akumulatorów, zdolnych do gromadzenia wielkiej ilości energii, mówią specjaliści, samochód o napędzie elektrycznym nigdy nie będzie na tyle atrakcyjny, żeby produkować go masowo. Na razie, mimo ogromnych nakładów, droga do „idealnego" akumulatora jest tak samo daleka, jak była 10 lat temu.

Wymarzony akumulator powinien zabezpieczyć duży zasięg przebiegu i bardziej intensywnie „zwracać moc", zapewniając szybkie ruszanie z miejsca i dużą szybkość. W tym celu uczeni próbują używać takich „egzotycznych" pierwiastków, jak sód, siarka i lit, wyróżniających się wysokoenergetycznymi właściwościami. Stworzono już i wypróbowano energetyczne elementy, do których użyto niektórych spośród wymienionych wyżej pierwiastków chemicznych, jednak tylko niewiele z nich „sprowadzono" do wymiarów akumulatora. Mimo to, takie akumulatory są nieprzydatne do masowego użycia, ponieważ mogą pracować tylko przy wysokich temperaturach rzędu ponad 300 stopni Celsjusza. Tak wysokie temperatury sprzyjają z kolei intensywnej korozji powłok hermetyzujących akumulator. Tym częściowo można wyjaśnić fakt, iż wiele prowadzonych dziś badań ukierunkowano na uzyskanie materiałów zdolnych do wytrzymania niezwykle trudnych warunków eksploatacyjnych. Laboratoria różnych wielkich firm amerykańskich próbują pośrednio rozwiązać ten trudny problem, opracowując tzw. niklowo-cynkowy system. Problem polega na tym, kiedy będzie on opracowany i kiedy wdrożony do produkcji krótkiej serii. Odpowiedź brzmi: od jednego do pięciu lat. Jedynym systemem nadającym się do komercyjnego użytkowania w dzisiejszych samochodach o napędzie elektrycznym jest ołowiowo-cynkowy akumulator. Jego minus polega na niskiej wydajności energetycznej, która warunkuje bardzo mały zasięg przebiegu. Jak wykazały badania, w celu zapewnienia normalnego ruchu w warunkach miejskich, waga ołowiowo-cynkowego akumulatora powinna wynosić połowę ogólnej wagi samochodu, co pociąga za sobą zmniejszenie miejsca dla pasażerów i bagażu. A więc?...

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

▲ Bratobójczy konflikt w Północnej Irlandii w ciągu ostatnich 10 lat pochłonął setki ofiar. Jedną z nich jest także brytyjski system praworządności. Przekonawszy się, iż nie są w stanie narzucić Ulsterowi politycznego uregulowania konfliktu, okupacyjne wojska brytyjskie wprowadziły szczególny rodzaj wymiaru sprawiedliwości wobec każdego, kogo tylko podejrzewa się o udział w aktach terroru przeciwko wojskom angielskim. Z wiarygodnych źródeł otrzymaliśmy dokumentalne dowody represji i tortur, stosowanych przez brytyjskie siły bezpieczeństwa. Poważne międzynarodowe organizacje także posiadają bezsporne dowody nieludzkiego stosunku władz wobec irlandzkich więźniów politycznych. Mimo to prezydent Carter, który w toku kampanii przedwyborczej obiecał wystąpić w obronie praw człowieka w Północnej Irlandii, dotąd ignoruje protesty poszczególnych osób i organizacji, zaniepokojonych tymi nadużyciami, których dokonuje armia brytyjska na tej rozdartej ziemi. („Washington Post").

▲ Stany Zjednoczone, które wydają na zbrojenie więcej pieniędzy niż kraje Wspólnego Rynku i Japonia razem wzięte, stale zmniejszają asygnacje na badania naukowe w sferze potrzeb cywilnych. Wskutek tego USA tracą wiodącą rolę w technice i pomniejszają swój udział w światowej puli produkcji i wymiany. Chociaż wszystko wskazuje na to, iż Stany Zjednoczone są nadal silne w dziedzinie technicznej, to jednak inne fakty świadczą, iż pozostają one w tyle za resztą świata. Doradca prezydenta do spraw nauki i techniki, F. Press, powiedział w wywiadzie: „Ujawniają się tendencje, które wzbudzają niepokój... Kompanie nie opracowują takich nowości, z których słynęły dawniej". („Newsweek").

▲ Rozwijając znaną, choć także kontrowersyjną teorię o kosmicznym pochodzeniu życia na Ziemi, dwaj uczeni: F. Hul i C. Wikramasingh przypuszczają, iż zarazki epidemii mogą się przenosić na naszą planetę podczas spadania na nią elementów komet. Na powierzchni jąder komet, jak uważają ci obaj znani uczeni, istnieją „idealne warunki do powstawania życia z martwej materii, i w tym także chorobotwórczych wirusowych i bakteryjnych „agentów". Nagły początek i szybkie rozprzstrzenianie się po całej kuli ziemskiej jest charakterystyczne dla wszystkich niemal pandemii. Taką szybkość trudno sobie wyjaśnić, skoro infekcja może się przenosić albo od człowieka do człowieka, albo za pośrednictwem takich przenosicieli, jak wesz, kleszcz itp. Nasza teoria — twierdzą uczeni — jeśli jest ona oczywiście prawdziwa, będzie miała ogromne znaczenie biologiczne i medyczne. Być może, iż trzeba będzie zorganizować w stratosferze stałe obserwacje mikrobiologiczne, żeby zapobiegać chaosowi, jaki może spowodować wtargnięcie pozaziemskich organizmów. („New Scientist")

▲ Po kolejnej analizie indeksów kosztów utrzymania, Organizacja Narodów Zjednoczonych opublikowała długi wykaz miast, w którym jako najdroższe miasto świata wymienia się Tokio. Wykaz zawiera nazwy 125 stolic i wielkich ośrodków. Za punkt wyjścia bierze się koszty utrzymania w Nowym Jorku oznaczone indeksem 100. Drugie miejsce po Tokio (162) zajęła stolica Zairu, Kinszasa (161), trzecie — stolica Ghany — Akra (145). Dalej do dziesiątki miast z najwyższymi kosztami utrzymania weszły: Bruksela (144), Panama (141), Bonn (138), Kopenhaga (135), Haga (133), Paryż (130) i Wiedeń (również 130). Spisu nie można uważać za pełny, nie obejmuje on bowiem ani jednego miasta w Izraelu, gdzie tempo wzrostu inflacji jest jednym z najwyższych w świecie. („Guardian").

(E)

■ PEŁNE POPARCIE STANOWISKA
■ ZAPOWIEDŹ DWÓCH KRYZYSÓW
■ JESZCZE JEDNO FIASKO

Obradujące w ub. tygodniu XIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR na temat pełnej realizacji przyszłorocznych zadań społeczno-gospodarczych i odpowiedzialności za jakość pracy, warunkującej jakość życia — **przyjęło także uchwałę, aprobującą stanowisko naszej delegacji na moskiewskiej naradzie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego.**

Uchwała ta stwierdza m. in., że „przyjęta na naradzie deklaracja, potwierdzone w niej dotychczasowe propozycje i nowe inicjatywy wspólnoty państw socjalistycznych, wskazują jedynie słuszną drogę ku pogłębieniu procesu odprężenia i integralnej realizacji helsińskiego Aktu Końcowego...". Podkreśla też, iż „rozwój sytuacji międzynarodowej wymaga dalszego doskonalenia funkcjonowania. Układu Warszawskiego, braterskiego sojuszu polityczno-obronnego, który stoi na straży dorobku wszystkich krajów socjalistycznej wspólnoty oraz odgrywa wielką rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa i pokoju w Europie".

Deklaracja i zawarte w niej propozycje — jak pisaliśmy — wzbudziły duże zainteresowanie. Dokument ten uznany został za jeden z najważniejszych w ostatnich czasach i **zyskał określenie „nowego pokojowego aktu socjalizmu".** Pod adresem Zachodu wysunięty został program odprężenia militarnego, które może stać się faktem wówczas, gdy po obu stronach nastąpi równomierne zahamowanie zbrojeń i ich redukcja.

Niestety — by posłużyć się słowami Edwarda Gierka na Plenum — „zwłaszcza od pewnego czasu państwa NATO zmierzają we wręcz odwrotnym kierunku. Przyjęty został przez nie i jest realizowany długofalowy program intensyfikacji zbrojeń, wsparty założeniem corocznych wzrostów budżetów militarnych — poza inflacją i ponad nią".

Jedyny aktualnie jaśniejszy punkt na tym polu — to **przewidywanie ukończenia rozmów SALT II** — tzn. ostateczne przygotowanie tekstu nowego porozumienia o ograniczeniu ofensywnych zbrojeń strategicznych. W minionym tygodniu, w wywiadzie telewizyjnym J. Carter dał wyraz przekonaniu, że to porozumienie zawarte zostanie „całkiem niedługo", co komentowane jest jako wejście dwustronnych rokowań w końcową fazę.

A teraz nieco o innych aktualnościach. Z pewną systematycznością powracamy na tym miejscu do wydarzeń politycznych w Portugalii. Odnotowujmy więc trzeci już kongres konserwatywnego Centrum Demokratyczno-Społecznego. Czynimy to dlatego, że jego decyzje oznaczają dalszy zwrot na prawo **linii politycznej tej partii.**

Wyraziło się to i w wyborze nowych władz i w wypowiedziach na kongresie. Niektórzy dyskutanci stwierdzali na przykład, że w Portugalii nie ma miejsca dla rządów socjalistycznych lub też domagali się rewizji konstytucji, przypominając, że CDS w 1976 roku głosowała przeciw jej przyjęciu. Jest ona ponoć marksistowska. Powołano również „gabinet cieni" — najwidoczniej z myślą o stworzeniu w przyszłości monopartyjnego rządu.

Przypomnijmy, że przez pewien czas CDS tworzyło łącznie z socjalistami wspólny gabinet, jednak różnice programowe spowodowały szybki jego upadek. Teraz w Centrum nastąpiło dalsze przesunięcie na prawo — w trosce, jak to wynikało z jednego przemówienia, o prawicę portugalską, która „jest dziś osierocona".

W minionym tygodniu w dwóch parlamentach — brytyjskim i włoskim — doszło do głosowań, które nieść mogą zapowiedź kryzysów rządowych.

Gabinet Jamesa Callaghana poniósł dwie porażki, gdyż Izba Gmin nikłą większością przyjęła poprawki opozycyjnej partii, co równa się z przegraną rządu. Premier zapowiedział w tej sytuacji postawienie kwestii zaufania i zagroził rozpisaniem przed terminem nowych wyborów. Natomiast **rząd Andreottiego uzyskał wprawdzie poparcie dla swej decyzji przystąpienia Włoch do zachodnio-europejskiego systemu walutowego od 1 stycznia, ale przy 228 głosach przeciw** (za padło 270). Po raz pierwszy od marca br., kiedy to sformowany został nowy rząd, wspierany przez większość parlamentarną, komuniści głosowali przeciwko niemu, a socjaliści wstrzymali się od głosu. Zdaniem wielu obserwatorów — rozbicie to może mieć poważne następstwa, tym bardziej, że w styczniu dojdzie do konfrontacji na temat planu 3-letniego i polityki inwestycyjnej. Od tych spraw — jak oświadczył członek kierownictwa WPK — komuniści uzależniać będą swoje poparcie dla rządu.

Niektórzy komentatorzy twierdzą, że **nagła wolta Andreottiego w sprawie udziału Włoch we wspomnianym systemie walutowym już uruchomiła mechanizm kryzysowy,** którego najprawdopodobniej nie uda się zatrzymać.

Czyżby więc w W. Brytanii i Włoszech zanosiło się na upadki rządów, a może nawet przedterminowe wybory?

Ostatni dziś temat — to **niepowodzenie misji sekretarza stanu C. Vance na Bliskim Wschodzie.** Miał on zadanie przełamania impasu w rokowaniach egipsko-izraelskich. Celu nie osiągnął, powracając z niczym. Kair natomiast i Tel-Awiw zaczęły się wzajemnie obarczać odpowiedzialnością za fiasko negocjacji. Co więcej — prez. Carter wykluczył możliwość powtórzenia szczytu z Camp David. Czuje się on rozczarowany stanowiskiem obu stron i zawiedziony faktem, że jego wielomiesięczne wysiłki mediacyjne poszły na marne.

A przecież można było się tego spodziewać...

W. SŁAWSKI

ANDRZEJ JÓŹWIAK

DOCENT ROZRYWKI NA BROADWAYU

Śniło mi się, że brałem udział w Bardzo Ważnej Naradzie na temat tak niepoważny jak rozrywka, festiwale piosenki, muzyka estradowa itp. Działo się to gdzieś w górach, nad jakimś jeziorem, w zamku, na którego wieży wisiała flaga z napisem show-business. Brakowało tylko fosy i zwodzonego mostu.

W naradzie udział brali: Doc. dr hab. K. ULTURALNY z Wyższej Szkoły Rozrywkowej, krytyk muzyczny mgr N. AIWNY, dyrektor Naczelnego Instytutu Zagranicznych Stosunków Estradowych mgr I. N. TELEKTUTLISTA, mgr Z. DOLNY (do niedawna docent) dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Artystyczno-Estradowego (Kombinat w Budowie), mgr XYZ Nasz Przedstawiciel Estradowy na Kolumbię, Ekwador z delegaturą w księstwie Banialuki. W naradzie brał również udział MŁODSZY RADCA, też zresztą magister.

A oto zapis stenograficzny dyskusji:

K. Ulturalny: — W rozrywce jest coraz lepiej. Jesteśmy w stanie stworzyć własną kompletną wersję sprawnego systemu jeżeli otrzymamy konkretne materiały do dyskusji. Mamy dobrą Rodowicz, Demarczyk, Laskowskiego, Frąckowiak, Kunicką, Niemena, Rosiewicza, a ci z telewizji od Bardiniego też nie są źli. To co było nierealne staje się realnym. Na przykład Sośnicka otrzymała Grand Prix w Sopocie. Tylko dziennikarzy musimy troszkę podciągnąć za brak patriotyzmu, bo piszą że niesłusznie.

Z. Dolny: — Jak na przykład ONI mają Szajnę, Grotowskiego, Hanuszkiewicza, Holoubka, Dejmka, Gawlika, TAMCI mają Kordę, Rowickiego, Krenza, Skrowaczewskiego, Satanowskiego. Czyża, to MY — powiedzmy ewentualnie — mamy...

XYZ (przerywa mu, siedzi całkowicie rozluźniony): — Oczywiście że my też mamy. Najważniejsze to chcieć i móc, ruszyć sprawę do przodu. I my też mamy nazwiska, ale po co się chwalić. Jest coraz lepiej i cieplej. Na przykład u nas w Kolumbii tydzień temu było 45 stopni w cieniu, a ludzie się ruszali. Zresztą chcąc mieć słabość do kobiet, trzeba być w sile wieku, prawda, Młodszy Radco? **(śmieje się: he! he! he!).**

Z. Dolny (puka w stół uspokajająco i ostro przerywa): — Polskie Nagrania są coraz lepsze, Pagart też, piosenki też są coraz lepsze, tylko żeby może tak stworzyć Fundusz Branżowy Inwestycji Piosenkarskich, restytucyjnych i przyrostowych w grupie zakupowych. Mamy już ZAKR, ZAIKS, SPAM, ZKP, PSJ, SME, ZPR, Pagart, Polskie Nagrania, Pronit i Estrady przydałby się i FBIP. Musimy utworzyć zjednoczenie, z budowy przejść do rozbudowy, jesteśmy nowocześni, płyniemy po szerokich wodach. Na przykład: Łabędź jest — powiedzmy ewentualnie — sobą tylko dzięki wodzie. Prawda? Odbierzcie mu wodę a będzie gęsią. Prawda? No właśnie.

Z. Dolny: — Musimy odciąć się od słowa show-business w sposób kategoryczny, nie fascynujmy tym słowem, ono jest nam obce, myślę, że jeśli zaczniemy zamiast show-business mówić przemysł rozrywkowy to będzie lepiej niż jest teraz.

XYZ (Nasz przedstawiciel na Kolumbię): — **mówi krótko:** — Słusznie! **(Rozlewa coca-colę, częstuje papierosami Marlboro, a potrącając stojący na stole krajowy koniak na licencji francuskiej mówi krótko i po męsku)** Sorry. **(Siada podciągając dżinsy).**

I. N. Telektualista: — Anno Domini tego roku, jak i w poprzednich latach mamy w rozrywce i w estradzie znakomitą, naprawdę znakomitą kadrę dyrektorską. Na przykład ja jako nowoczesny dyrektor jestem bardzo obiektywny w ocenie show-busin... przepraszam, przemysłu rozrywkowego. Ja — niestety — mam talent chociaż primo: za piosenką nie przepadam, po drugie: naprawdę nie lubię jak mi śpiewają w radiu, telewizji, na scenie, czy do ucha, a po tertio: no po prostu nie znoszę...

Młodszy Radca (z entuzjazmem): — Szefie! To ostatnie zdanie można by wykorzystać w każdym podręczniku filozofii.

N. Aiwny (z zadumą): — Padło tu zdanie, że mamy dobrą kadrę dyrektorską. Otóż dla nas dziennikarzy typ dyrektora jakiego poszukujemy to: wybitny specjalista od przemysłowych zasad eksploatacyjnych, techniki produkcji widowisk rozrywkowych, energiczny, twardy jak skała, silny fizycznie i psychicznie, wiek około 35—40 lat, muzykalny, przyjemna powierzchowność, poczucie humoru, znajomość języków obcych.

Ja (wtrącam się do dyskusji po raz pierwszy i — jak się potem okazało — ostatni): — To drobiazg. Musicie po prostu zaangażować zespół naukowców od organizacji przedsiębiorstw, zarząd spółdzielni pracy „Lingwista", dyplomowy rok wyższej szkoły muzycznej, drużynę bokserską „Legii" i Waldemara Koconia. **(Wiążą mnie i z kneblem w ustach wkładają do szafy. Dalszy ciąg narady podglądam przez dziurkę od klucza).**

XYZ: — Musimy być mocarstwem estradowym. Jako Wasz Przedstawiciel Estradowy na Kolumbię, Ekwador i Banialukę stwierdzam, w sposób kategoryczny, iż tamto środowisko estradowe oczekuje utworzenia u nas zjednoczenia, Broadway też wyraża swoje zadowolenie. Na razie pracuję tam jak szatan. Nie szczędzę sił i środków, zwłaszcza środków. Pracuję jak (szuka słowa) wiatrak. Robię wiatr.

Młodszy Radca: (Lekko podchmielony. Nikt nie zauważył w ferworze dyskusji jak Młodszy Radca pociągał krajowy koniak na licencji francuskiej): — Nie mylić ze znanym dowcipem: „Co to jest? Trzech w pokoju, a jeden pracuje? Dwóch urzędników i wentylator!

(Młodszy Radca zostaje związany i wrzucony obok mnie do szafy. Cichutko nuci sobie pod nosem melodyjkę „Save your Kisses for me" przebój Festiwalu Eurowizji z 1976 r. Przeboju Interwizji „Malowany dzban" nie jest w stanie zanucić, bowiem edukację muzyczną przerwał już na trzecim roku PWSM).

XYZ (kontynuuje): — A kiedy już nasz przemysł rozrywkowy doszlusuje do poziomu Kolumbii, może byśmy zakupili licencję, albo oddali w ajencję... **(nagle zmienia temat)** oh Calcutta, oh Kolumbia, jedyny kraj Ameryki mający dostęp do dwu oceanów: Spokojnego na zachodzie i Atlantyckiego, przez Morze Karaibskie, na północy, stolica Bogota, dzieli się na 22 departamenty, 3 intendencje, 5 komisariatów, **(XYZ rozmarza się)** język urzędowy hiszpański, Oh Eviva Espana **(Nasz Przedstawiciel Estradowy na Kolumbię zupełnie się rozkleja mówiąc):** jedna stk monetarna peso kolumbijski.

(Młodszy Radca śpiewa w szafie: Bye bye baby bye bye don't cry honey, don't cry...).

K. Ulturalny: (rzuca okiem w szafę. Radca milknie). — Sądzę, że z uwagi na brak protokolanta możemy zakończyć naszą naradę. Mądre i konstruktywne wypowiedzi, ogólna zgodność poglądów. Wszystkie sugestie wnioski i postulaty zostaną załatwione. Rozrywka jest u nas dobra, tylko trzeba powołać zjednoczenie lub zakupić licencję, żeby było jeszcze lepiej, otworzymy delegatury w Gwinei i Nigerii. Na tym naradę uważam za zakończoną.

— O nie — **zaprotestował red. N. Aiwny** — brak elementów krytycznych. Za dużo w dyskusji pozytywów, za mało krytyki.

Zapanowała cisza, nikt — widząc jak jest dobrze — nie chciał krytykować. W tym miejscu docent wyciągnął mały rewolwer kaliber 32 i bezlitosnym głosem powiedział: — Wezwać Agenta nr „209-91" wewnętrzny 13" i rozwiązać Młodszego Radcę.

Agent wszedł. Przed chwilą w sąsiednim pokoju nucąc cały czas „Kolorowe Jarmarki" gimnastykował się, a potem przez dziesięć minut stał pod strumieniem wody: najpierw lodowatej a potem wrzącej. I tak na przemian. I jak już powiedziałem agent wszedł. Był męski choć w samych spodniach i bez koszuli. Jego muskularny tors lśnił. Na jednym ramieniu miał wytatuowany napis: „Niech żyją Polskie Nagrania", a na drugim „Kocham tatusia i mamusię". W olstrach typu Lighting lśnił pistolet marki „Walter PPK 7,65 mm automatic — p". Literka „p" symbolizowała, że na licencji wyprodukowała go fabryka w Sarbinowie woj. koszalińskie.

Agent leciutko zwilżając wargi, dał upust sadyzmowi rozbijając jednym uderzeniem drzwi od szafy. Wystraszony Młodszy Radca wypełzł na czworakach z szafy, oczy miał prawie szalone z przestrachu.

— Mów czarnuchu (Radca był brunetem — przyp. A.J.) o tych truskawkach — **powiedział agent nr 209—91 wewn. 13 kopnięciem wywracając dębowe krzesło.**

— Powiem — **zacharczał Młodszy Radca, a w przekrwionych oczach błysnęła mu iskierka nadziei.** — Powiem jak na spowiedzi. Powiem więcej niż wiem... Otóż czytałem w The New York Times Magazine, a może to było w Harald Tribune, że kiedy piorun uszkodził pierwszą linię wysokiego napięcia, generatory mocy w Indian Port wyłączyły się, a w 4 minuty później wysiadł cały system. W ciągu paru minut Nowy Jork pogrążył się w ciemnościach, a 9 milionów ludzi przeżyło 25 godzin horroru. O mam tu przy sobie „Newsweek" z 25 lipca i tam tak piszą o tym piekle „Pilot prowadzący samolot transportowy przez rozjaśnioną księżycowym blaskiem noc, obniżał właśnie lot, by wylądować na międzynarodowym lotnisku Johna F. Kennedy'ego z ładunkiem truskawek, gdy nagle Nowy Jork zniknął mu w dole. „Gdzie lotnisko Kennedy'ego?" — pytał bezradnie przez radio. „Kieruj się na Filadelfię" — odpowiedziano z wieży kontrolnej. „A co z truskawkami?" — spytał pilot. „Zjedz je sam" — odpowiedziała wieża.

— Otóż to! — **powiedział Agent.** — Otóż to! Marnotrawstwo i niegospodarność. Skandal. I dopiero tym jakże pozytywnym akcentem krytycznym możecie zakończyć waszą naradę.

Agent nucąc „spod igiełek kwiaty rosną, mknie za ściegiem ścieg" wyszedł z pokoju.

Doc. dr hab. K. Ulturalny uśmiecha się do Dyrektora Z. Dolnego, Dyrektor odwzajemnia uśmiech i uśmiecha się do red. N. Aiwnego, który również uśmiech odwzajemnia. Dyr. I. N. Telektualista uśmiechnął się do mgr XYZ (Naszego Człowieka w Kolumbii), który odwzajemnia ten uśmiech i szeroko śmieje się do wszystkich. Zebranie upłynęło więc w miłej i serdecznej atmosferze. Miło było patrzeć jak wszyscy znajdują się w dobrej formie. Wesoło, choć golo; głupio, ale zdrowo!

KABARET WEDŁUG JANA

Foto: M. Zajdler

Program jest dobry, chwilami nawet bardzo dobry, będziemy przeto pisać o nim z należną atencją, wyłaniają się wszelako kwestie formalne, proceduralne i czort wie jakie jeszcze, z których najsamprzód PT Czytelnikom czuję się w obowiązku wyspowiadać.

I tak oglądałem rzecz nie na premierze prasowej, z całą galą i wystrojem należytym, a na zwykłej tj. prawdziwej premierze, na której byli zwykli tj. prawdziwi ludzie, ci zaś — trudno wykluczyć — śmiali się być może nie zawsze w miejscach należytych, myląc tym recenzenta i skłaniając do współuczestnictwa.

Po wtóre: tuż przed rozpoczęciem spektaklu spotkałem w foyer Pietrzaka, Jana zresztą, który okazał się nie tylko człowiekiem sympatycznym, ale — jak to autor — był najzwyczajniej zdenerwowany, zaklinał się też, biedaczysko, iż rzecz wyszła mu jakby odrobinę przydługa, tak więc do „prasówki" musi program o te 10—15 minut skrócić. Co do pewnych dłużyzn — zgoda, o co jednak Pietrzak — reżyser skróci Pietrzaka — autora, nie mam zielonego pojęcia (osobiście w pierwszym rzędzie wyrzuciłbym historyjkę z zamaskowanym porywaczem), tak czy siak pisze jednak w strachu, iż chwaląc pochwalę przypadkiem to, czego już nie ma.

Po trzecie: nie obejrzą Państwo samego Pietrzaka, na premierze wystąpił zaś w tzw. „okienku dla gościa", no i był, co tu dużo gadać, znakomity. Zwracam uwagę nie tyle na słowo „znakomity", co na „był". Pietrzak bowiem nikogo ani nieczego nie gra, wchodzi na estradę i jest, umie pewno swoje własne teksty, ale wydaje się, że improwizuje je na naszych oczach.

Chcąc nie chcąc od Pietrzaka muszę tedy mierzyć, gdy ten jest wszelako po prostu sobą, to **Stanisław Kwaśniak** gra Pietrzaka, gospodarza, konferansjera i aranżera kabaretu „Pod Egidą". Zadanie to karkołomne, Kwaśniak jednak — lekki, pełen wdzięku, zdolny do iście błyskawicowych metamorfoz — wywiązuje się z niego wręcz świetnie, raz za razem zbierając burzliwe i zasłużone oklaski.

Cały dziesięcioosobowy zespół spisał się zresztą bardzo dobrze, nikt nie ma tu jałowych przestojów w oczekiwaniu na własną solówkę, wszyscy — nie bójmy się tego słowa w odniesieniu do teatru — pracują na scenie uczciwie, solidarnie, z autentycznymi zaangażowaniem. Natomiast z owymi solówkami bywa już rozmaicie, jak kabaret kabaretem teksty pisywane są bowiem z reguły dla określonych wykonawców i przenosząc je na inną scenę nie zawsze możemy trafić idealnie, bądź odwrotnie — nie zawsze najlepszy nawet aktor znajdzie coś naprawdę dla siebie. Uwielbiam ostre, odważne aktorstwo **Ewy Mirowskiej** (do dziś pamiętam na przykład myjącą nogi w balii Czerstwą Kobietę z „Aktu przerywanego"), ale „Pod Egidą" nie ma pewno „drugiej Mirowskiej", więc ta pierwsza też nie miała szczególnego pola do popisu. Owszem, jako skretyniała pani magister bardzo zabawnie wykręcała stopy podczas wywiadu telewizyjnego, ale to niestety było też prawie i wszystko.

Więcej szczęścia miała **Barbara Marszałek**, która ładnie i z temperamentem wykonała kilka zadziornych tekstowo piosenek, doskonale mówił **Andrzej Herder** monolog zaczynający się bodaj od słów „Urodziłem się, patrzę: chłopiec", **Jacek Zejdler** fiknął imponującego kozła w tył i zabawnie wykonał piosenkę o mięczakach. Pozostali wykonawcy — **Alicja Krawczykówna, Hanna Molenda, Ireneusz Kaskiewicz** i **Marek Kolaczkowski** — również znaleźli coś niecoś dla siebie, drugą natomiast, obok Kwaśniaka, bohaterką wieczoru była bez wątpienia **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska.**

Wspaniała dziewczyna, wzięła na siebie — jeżli tak można powiedzieć — cały ciężar pozytywnego dowodu, finały obu części prowadząc z takim dramatyzmem pasją i przejęciem, że uwierzyliśmy, musieliśmy uwierzyć w szczerość autorskich intencji, w oczyszczającą siłę śmiechu, który pomaga żyć i każe z wiarą spoglądać w przyszłość.

Pietrzak się nie patyczkuje, dostrzega kolejki, w których nie zawsze jest po co stać, bywa na zebraniach, na których nie zawsze gada się do rzeczy, czyta gazety, w których nie zawsze jest co czytać i ogląda telewizję, w której nie zawsze jest co oglądać. Ale nigdy, nawet gdy ton jednego czy drugiego dowcipu zdaje się dość zuchwały, nie schodzi na pozycję kibica i taniego prześmiewcy, tkwi w środku, czuje się współodpowiedzialny, gdy coś boli, mówi że boli, gdy gniewa, mówi że gniewa, wciąż z upartą myślą, żebyśmy tę naszą wspólną Polskę poprawili, udoskonalali, robili taką, jaką pragniemy mieć.

Nasze miejsce po stronie
Odwagi bezbronnej

— bardzo pięknie, bardzo szczerze śpiewa Małgorzata Rogacka, a gdy się wsłuchać, to człowieka łapie za gardło —

Naszej wiary znicze płoną
Niegasnącym ogniem
Naszych sumień nie pogrąży
Wszechobecne błoto
Oto nasza pieśń serdeczna
Oto.

A potem, w finale, aż trzykrotnie powtarzanym zresztą na premierze, ten sam ton serdecznego zaangażowania powraca jeszcze pełniej.

Matki żony w mrocznych izbach
Wyszywały na sztandarach
Hasło: „Honor i Ojczyzna"
I ruszyła w pole wiara!
I ruszyła wiara w pole
Od Chicago do Tobolska
Żeby Polska, żeby Polska
Żeby Polska była Polską!

Udał się nam kabaret według Jana (Pietrzaka), za co autorowi, reżyserowi, pozostałym współrealizatorom i wykonawcom piękne składam dzięki, zachęcając i jednocześnie widzów do obejrzenia wystawy rysunków satyrycznych **Andrzeja Krauzego** w foyer teatru.

JERZY PANASEWICZ

TEART im. JARACZA, SCENA 7.15 — Jan Pietrzak: „Jednak kabaret" — Reżyseria: **Jan Pietrzak** — Scenografia: **Andrzej Krauze** — Kierownictwo muzyczne: **Piotr Hertel** — Choreografia: **Janina Niesobska** — Premiera 10 listopada 1978.

„MASKARADA" CZYLI REWIA O SHOW-BUSINESSIE

Czas między kolejnymi premierami Teatru Estrady skraca się w tempie zadziwiającym, za to wydłużają się tytuły. Najnowsza — grudniowy spektakl nosi tytuł **„Maskarada czyli opowieści z wyższych sfer estradowych, które porwane przez zbrodniczych handlarzy żywym towarem i narkotykami z gimny Wólka Dolna k/Sieradza, odzyskane zostały dzięki natychmiastowej interwencji organów i ku pokrzepieniu serc i pamięci potomnych tę powieść wierszem i prozą w formie rewii wykonują aktorzy".**

Całe szczęście, że wiadome organy odzyskały naszych estradowców na chwałę łódzkiej rozrywki. Smutno byłoby w mieście bez tego kabaretu, który wnosi nieustający element zaskoczenia, zabawy, satyry. Tym razem reżyser **Andrzej Jóźwiak** zmontował program który jest — jak sam twierdzi — „lekki, łatwy i przyjemny w przeciwieństwie do poprzednich, które były wcale nielekkie, wcale niełatwe i często nieprzyjemne".

To oczywiście nieprawda — nie o prawdę zresztą chodziło, lecz o grę słów i podkreślenie, że trzecia premiera jest ukłonem w stronę widowni bardziej masowej. Myślę, że jest to słuszna polityka repertuarowa. Nie można się przecież koncentrować tylko na jednym, dość wąskim kręgu widzów. Podobnie jak Polskie Radio, które ma, obok „60 minut na godzinę", także „Podwieczorek przy mikrofonie", obok „Studia 202" — także „Wesoły Autobus", również i Estradę, obok „Życia seksualnego dzikich" włączyła do swego repertuaru „Maskaradę".

Jest to program barwny, wesoły, z elementami satyry, a jakże! — ale raczej rewiowy niż kabaretowy. Nie jest jednak „Maskarada" całkowitym odejściem od dotychczasowej linii. To po prostu tylko gra na nieco innych strunach, w nieco innej tonacji — ale w tej samej konwencji.

Owa ciągłość podkreślana, jest przewijającą się przez dotychczasowe programy postacią Genowefy Pigwy (znakomity **Bronisław Opałko**), która tym razem występuje w charakterze nestorki scen polskich, słynnej Loli czyli Wampa Północy. Są także pięknie śpiewane przez **Jagę Paduch** ballady i jest także żywiołowa, pełna temperamentu, piękna Kubanka **Maria del Carmen Limonta.** No i seks, czyli striptis reklamowany przez dyr. Jóźwiaka jako „biust nr 7" — tym razem równie dowcipnie zaaranżowany w programach poprzednich. **Zofia Kołodziejczyk** zabawnie przeistacza się z kocmołucha z odkurzaczem w nagą Wenus... no, może nie z Milo, ale wystarczająco atrakcyjną.

Mamy więc te same elementy widowiska — w tej samej, co poprzednio konwencji, tyle że wygrane na innych strunach.

„Maskarada" jest widowiskiem opowiadającym o „show-businessie" — o jego blaskach i cieniach — może zresztą bardziej o cieniach, których nie widać w światłach reflektorów, ale które kładą się ciemną smugą, jeśli zajrzeć za kulisy. Śpiewają więc aktorzy:

„Minęła jesień, idzie zima
będzie przymrozek — nie daj Boże.
Fachowców nima, szmalu nima.
Profesor Bożyk nie pomoże..."

Więc „kupmy licencję od Chaplina", aby nie doszło do sytuacji, że nie będzie biznesu, a zostanie tylko show. Myślę jednak, że nie jest tak źle, licencji od spadkobierców Chaplina kupować nie trzeba, pożyczka w „zielonych" na ten cel niepotrzebna. Estrada Łódzka — wspólnie ze **Stowarzyszeniem Muzyki Estradowej** — wyprodukowała towar antyimportowy, na krajowych podzespołach i tranzystorach.

Plejadę gwiazd (w tym także Karela Gotta) zastąpił z powodzeniem świetny parodysta, **Andrzej Dyszak,** znany w Polsce szeroko z estrad, radia i telewizji. Duży blok parodystyczny wniósł do programu powiew wielkich Sal Kongresowych i festiwali.

Zabawna była też parodia telewizyjnej dyskusji na temat rozrywki, gdzie rozprawiano o tym, że model mamy dobry, tylko realizacja zawodzi, ale ogólnie jest bardzo dobrze. Oprócz wyżej wymienionych wykonawców program prowadzili **Wojciech Sobol** i **Andrzej Brzozowski,** którym sekundowali **Juliusz Rogulski** i **Krzysztof Stachowski.** Jeśli dodamy, że w spektakl wmontowano jeszcze występ karateków i judoków — całość rewii ułoży się w bardzo atrakcyjny widowiskowo program.

Po ostatniej, grudniowej, premierze „Maskarady" Teatr Estrady ma w repertuarze trzy programy, które mogą zadowolić bardzo zróżnicowane gusta odbiorców. Spełniły się marzenia o dobrym teatrze rozrywki w naszym mieście.

JERZY WILMAŃSKI

Foto: J. Patrzałek

Wacław Biliński

IKONY

Irena podniosła ręce, by nałożyć sukienkę. Ujrzał jej niewygolone pachy i duże piersi napinające biustonosz. Wszystkie znajome cyzie podgalały pachy. Żadna nie miała takich piersi. Gdy tak na nią patrzał, brało go. Nawet jej rzeczowość, jej chłód, pozorny zresztą, zawsze go poruszały.

Mógłby być z tym kłopot. Seks był wiecznym tematem rozmów jego kolegów. Sprawy kondycji, obowiązek dawkowania, w kółko powtarzane słowa trenera: rżnąć, chłopaki, możeta tylko wtedy, gdy pozwolę! Sztosów tylko tyle, ile pozwolę! Użalania się kumpli. Cholera, moja cyzia, albo moja żona, wciąż ma za mało. Z Ireną nie było takich kłopotów. Nigdy nie musiał się usprawiedliwiać, wymawiać. Od razu złapała ich rytm treningowy, ten ich zakonny rygor. Tylko wtedy, kiedy na pewno nie groziło to spadkiem formy, przejmując inicjatywę, preparowała wspólną rozkosz na wielkim swoim tapczanie.

A gdy po rozmowie z owym monachijczykiem przyszła jej do głowy ta myśl — Ikony! — był to jakby pomysł scenariusza, tyle teraz snuje się po ekranach gangsterskich filmów. Nawet miała ochotę opowiedzieć to któremuś ze znajomych filmowców. Jeśli zassie pomysł, zażądam scenografii. Tak właśnie pomyślała. Ale potem dostrzegła realną możliwość. Zyga, pomyślała, Zyga. Jego wyjazdy. To jest to!

Znów spotkał jej wzrok w lusterku. Irena zapinała guziki arcyskromnej, specjalnie wybranej na dziś sukienki. Wranglerowskie ciuchy upchała do walizki.

Koszulę, ubranie i buty już ci tu przygotowałam — powiedziała. — Tylko się jeszcze zaczeszę. Pomyślałeś choć raz, co będziemy robić po meczu?

— Najpierw chcę być wygrany.

— Powiedziałam ci, że go zatłuczesz. Niech ci tylko wyjdzie ten twój prawy prosty.

Czesała się na pamięć, miała twarzyczkę skromnej dziewczynki, trochę przypominającą lisi pyszczek.

— Pomyśl, co będziemy robić po meczu — powtórzyła i zaśmiała się gardłowo.

Kiedyś, gdy nic ją bokserzy nie obchodzili, walka przerażała ją i napawała odrazą. Teraz, gdy Zyga wchodził na ring, doznawała pokrewnej seksowi emocji. Gdy zwyciężał, histerycznie, czując omdlałość kolan, ze swego żoninego miejsca w pierwszych rzędach powrzaskiwała: Zyga knock-out! albo: Zabij go! Gdy Zydze szło źle, uczucia, jakich doznawała, były jeszcze dziwniejsze. Raz po takiej walce wygranej z najwyższym trudem, gdy był w drugiej rundzie liczony, a potem zrewanżował się morderczym prawym — czekając na werdykt sędziego — doznała nagle silnego i zaskakującego ergazmu. Wydało jej się, że wszyscy to zauważyli. Była speszona. Potem zaczęły ją prześladować to sadystyczne, to masochistyczne zachcianki. W czasie tej podróży spróbuję i tego. Mój gladiator. Ależ będzie zdumiony. Każę mu. Będzie posłuszny. I jemu to na pewno zasmakuje.

— Wydoję z tego Niemca, ile się da — powiedziała uśmiechając się do tych myśli.

— A jak!

Poczuła podniecenie. Usprawiedliwiła się w myślach. Jestem wygłodzona. Dlatego wciąż o tym myślę.

— Małe hoteliki — powiedziała. — Dużo pływania. Żadnych treningów. Wina tyle, ile zechcemy. Wszystkiego tyle, ile zechcemy.

— A nie lepiej za to co kupić? Albo fermę, co? Kaczki?

— Znowu zaczynasz z tym swoim kupić co za to?

— O, raju! — powiedział.

— Niczego więcej nie chcę, tylko wydać te dolary. I pożyć! Wiesz, ile mam pomysłów? Do łóżka. Nią plażę. I w morzu. Tyle, żebym płakała. Że już nie mogę. Będziesz musiał się tak starać, żeby mi się bez przerwy nogi uginały w kolanach. Rozumiesz? Teraz ja poprowadzę, a ty się przebierz.

Zyga zjechał na pobocze, zatrzymał wóz.

— Ja się w trymiga przebiorę i dalej poprowadzę — powiedział. — Wolę przebierać się, jak wóz otwarty.

Przebiegli w rzęsistym deszczu zmieniając się miejscami Irena z przodu. Zyga z tyłu.

Droga była wciąż zupełnie pusta. Tak było lepiej. Świadkowie niepożądani, chociaż już odskoczyli z piętnaście kilometrów. Gdy to wszystko układała, nie przypuszczała, że przeżycie będzie tak denerwujące. Teraz, choć było po wszystkim, jeszcze czuła zdumiewające, nigdy nie znane napięcie. Wyobraźnia zaczęła podsuwać różne możliwości kompromitujących wsyp. Dobrze, że to już za nami. Dobrze, że deszcz tak leje. Rozpadało się jak na zamówienie. Deszcz zamaże wszystkie ślady. Dobrze, że to taki smutny dzień zapędzający ludzi pod piec.

Patrzyła w lusterko, jak Zyga przed chwilą. Lubiła patrzeć na jego ciało harmonijnie umięśnione. Najpiękniejsze męskie ciało, jakie znała. Żaden tam monstrualny, obrosły hipermięśniami, kulturysta. Ale i nie cherlak-intelektualista z kawiarni plastyków. Nie cmokier z Kanonki. Nie sflaczały podrywacz-profesjonalista. Ci byli dobrzy na swój sposób. Mieli modnie przystrzyżoną inteligencję. Obiegowe, raczej zgrane pomysły. Nawet zboczonka seryjne, banalne. W istocie były to tylko jakby wprawki. Sekszabawy bez znaczenia. Zyga najlepszy. Z nim niczego nie trzeba wymyślać. Czysty, świeży, mało używany. Towar z pierwszej ręki. Imponowała jego nieudawana męskość. Wcale nie trzeba było wspierać jej intelektem. Starczała sama za siebie. Ile warte w czasach inflacji samców? Trzeba to ocenić, chronić, przechowywać. Miała go tylko dla siebie. Wystarczało trzymać go w ryzach, prowadzić, narzucać styl gry.

A zdobyła Zygę w okolicznościach, których wspomnienie wciąż jeszcze śmieszyło. Kupiłam go, myślała, zapracowałam na niego. Kolega, specjalista od plakatów, zaciągnął ją kiedyś do sali treningowej. Popatrzysz, mówił, to trzeba raz w życiu zobaczyć. Już rzymskie matrony lubiły sale ćwiczeń. Matrony! Oburzyła się. Lepiej zrozumiesz mój pomysł, nalegał. Wiesz, jak cenię twoją wyobraźnię.

Bardzo był dumny z każdego swego pomysłu. Akurat teraz miał olśnienie. I to w przededniu mistrzostw. A prócz olśnienia i zamówienie na plakat. Właśnie — zamówienie, a nie żaden tam udział w konkursie. Dawało mu to, jak mówił, szansę. I to międzynarodową. Plakat pójdzie w świat, rozumiesz?

W ich branży wszyscy żyli nadzieją zamówienia — życiowej szansy.

W mrocznej salce ujrzała Zygę. Śmiesznie tańczył. Udawał że walczy. Była to klasyczna forma treningu, jak jej powiedział kumpel, niby to znawca boksu. Walka z cieniem.

— Nie lubię boksu — westchnęła Irena. — Nie lubię brutalności.

— Nie bądź takim aniołkiem — śmiał się kumpel.

— Jesteś głupi.

— Znam go — powiedział kolega. — Mieszkaliśmy kiedyś w tym samym bloku.

— Pięknie zbudowany. — Irena odkaszlnęła, bo miała tego dnia chrypkę.

— Nic z tych rzeczy! — zaśmiał się kumpel. — Mają teraz seksgłodówkę. Z powodu formy.

— A długo trwa taka ich głodówka? — Uśmiechnęła się. — Ja bym poczekała.

— Naprawdę jesteś amatorką takiego surowego mięsa?

— Czy ja wiem? Może i spróbowałabym — powiedziała szczególnym tonem. — Jestem teraz bez przydziału.

— Chcesz, to zrobimy interes — zaproponował.

— Jaki?

— Pomożesz mi przy plakacie. Koncepcja. Dyskusja. Sama wiesz co i jak. Potem ci to zaaranżuję. Chcesz?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Co do potem, to się jeszcze namyślę. Ale przy plakacie pomogę.

— Ręka?

— Ręka.

Plakat zdobył nagrodę miesiąca. Irena zobaczyła go na rogu Alei i Nowego Światu. Kolega miał pracownię na Kubusia Puchatka. Gdy zadzwoniła do drzwi, kolega otworzył i zrobił znaczące oko.

— Irka, ja muszę na pół godziny wyskoczyć! — zgrywał się. — Zabaw gościa. Kolega. Mieszkaliśmy w tym samym punktowcu. Sportowiec, wyczynowiec. Znaczy, niegroźny dla dziewcząt. Prawda, Zyga? — i w przejściu szeptem do Ireny: — Wrócę za trzy godziny. Macie dużo czasu.

Teraz w lusterku widzi Irena, jak Zyga zręcznie zawiązuje włoski, kolorowy krawat. W ogóle Zyga jest bardzo zręczny. Jego palce mają jakby własną, autonomiczną inteligencję. Jest już w jasnym garniturze. Irena bardzo go lubi w tym uniformie. Nie żaden tam goryl, gladiator, pan z obstawy, jak go złośliwie nazywają koledzy z Akademii, a młody i raczej przystojny, jasnowłosy mężczyzna z łagodną twarzą, której uderzającej miękkości, nieprawdopodobnej u boksera, przywodzącej na myśl jednego z bohaterów „Myszy i ludzi" Steinbecka nie pozbawia nawet nos o złamanej chrząstce, spłaszczony brzydko i zdradzający profesję.

— Jestem gotów — powiedział i zaciągnął zamek walizki. — Tej Praksyteles, czy jak ją, nie da się schować do walizki. Za duża.

Ostrożnie kładł pakiet z ikonami pod oknem, za siedzeniami.

— Uważaj, żeby się nie zniszczyły — ostrzegała. Pamiętaj, że ta farba ma swoje lata. Lepiej owiń to jeszcze w plastik.

— Jest przecież w worku z folii.

— Owiń jeszcze w ręcznik. Będzie bezpieczniej.

Zrobił to. Sprawdziła, o ile posunęła się strzałka na zegarze.

— Mamy czas — orzekła. — Jesteśmy do przodu o pół godziny.

— To dobrze.

Osunęło się z niej napięcie, zniknęło poczucie grozy i absurdalna myśl o świętokradztwie.

— Miałabym pomysł na te pół godziny — powiedziała cicho. — Świetny pomysł.

— Twoje pomysły! — nastroszył się Zyga.

Szybko przebiegł na przednie siedzenie, sprawdził, czy nie zabłocił butów, zatrzasnął drzwiczki, rozsiadł się wygodnie za kółkiem. Nie spojrzał w jej stronę. Włączył motor.

Jestem podniecona — powiedziała Irena. — Nic na to nie poradzę.

Wzruszył ramionami. Ruszyli gwałtownie, pacyny błota biły w tył wozu. Zyga wyprowadził go na środek szosy i nacisnął gaz. Irena przymknęła oczy, oparła kark o zagłówek. Oddychała głęboko.

— Co się ze mną dzieje? — powiedziała. — Dlaczego jestem taka poruszona? Co, Zyga? Czuję sie, jakby na moich oczach... Jakbym przeżyła coś sprośnego. Coś cholernie podniecającego.

— Odbiło ci znowu?

Co za dziwny romans, myślała. Co właściwie nas łączy. I dlaczego to takie silne? Nikt tego nie może zrozumieć. Nikt z moich. Najmniej Halina. Ale i ojciec. Nikt z jego kumpli. Ja sama też tego nie rozumiem. Zresztą co tu rozumieć?

Nachylony nad kierownicą, milczał. Znała swą władzę nad nim. Był bezwolny w jej rękach. I miał to wypisane na swojej chłopięcej twarzy. Prowadził wóz z wielką szybkością, czuła jak fiat raz po raz zarzuca na zakrętach.

— Gdzie jest ten koniak? — spytała.

— W schowku, pod mapą.

Sięgnęła tam po płaską piersiówkę Stocka.

— Chyba nie będziesz piła? — nastraszył się.

— Dlaczego nie?

Odkręciła metalowy kapsel i pociągnęła z butelki dwa pełne, głębokie łyki, które sparzyły jej usta i przełyk. Gorąco rozlało się w żołądku i od razu poczuła, jak alkohol uderza do głowy, do oczu, bo właśnie oczy pierwsze zareagowały, tak jakby nagle zrobiło się więcej światła i widoczność się poprawiła, i brunatnoszary koloryt jesieni nabrał ciepłego blasku. Jeszcze raz przyłożyła butelkę do ust.

— Nie pij tyle.

Zakręciła butelkę i schowała ją.

— Jeśli mój pan sobie życzy, żebym nie piła — powiedziała — to nie piję.

Głos jej miał szczególną nutkę.

— Nie zaczynaj!

Zjeżdżali w pogórza serpentynami, ryzykownie biorąc wiraże. Otoczyły ich lasy, a szosa wymyta deszczem była zupełnie pusta. Wycieraczki pracowały w nerwowym pośpiechu, padało coraz gwałtowniej.

— Powinniśmy się na chwilę zatrzymać, żeby deszcz umył wóz — powiedział. — Tył jest cały w błocie.

Już wiedział, do czego zmierza. Irena, pełna zwycięskiej wesołości, a zarazem w przyjemny sposób, na gorąco, wilgotnie, pożądliwie omdlewająca, cała zwróciła się w stronę Zygi i sięgnęła ręką.

— Mój pan — powiedziała.

— Nie wygłupiaj się!

— Mój centaur. Mój gladiator. Czuję się jak te patrycjuszki... Żebyś jeszcze cuchnął czosnkiem, baraniną, kwaśnym winem...

Było tak, jak tego pragnęła.

— Widzisz — powiedziała. — Ty też chcesz. — Jej palce szamotały się z eklerem.

— Ale moja forma...

— Wyśpisz się.

— Radeberger! Kurdebelans, jakby on to widział!

— Ale nie widzi.

— Przecież nie tu — powiedział i zatrzymał wóz na poboczu drogi. Oparł kark na zagłówku, przymknął oczy.

— Właśnie tu — zadecydowała i rozpięła ten oporny zamek.

— Co ty ze mną robisz — powiedział bezradnie.

— Ty zrób to ze mną — zaśmiała się. Naciskając lewar, położyła oparcie fotela. Musiała cofnąć rękę i to przyprawiło ją o jeszcze ostrzejsze pożądanie. Opierając się o tylne oparcie dyszała, gorączkowała się, lecz nie pomagała mu w niczym. Czuła, jak jego twarde palce, dygocące z pośpiechu, obnażają jej biodra. Uklękła szerzej. Moment oczekiwania, od którego serce traciło rytm. I zaraz gorące, brutalne rozpychanie, bez żadnych pieszczot, bez gry miłosnej, wtargnięcie w głąb jej ciała, ruchy, które były samym instynktem, starym jak gatunek, i mącąca myśl fala przyboju. I to poniżenie, że nic nie znaczy bez niego. I niekontrolowane własne wychodzenie naprzeciw. Uczucie wzlotu, gwałtownego spadania, kurczowe zaciśnięcie powiek, zagryzanie warg, palce wbite w plastyk oparcia. Pulsujące w podbrzuszu spełnienie. Ciężar zwalającego się na nią bezwładnego ciała. Ciężki jego oddech. Wolno gasnący spazm, jak wiele kolejnych, coraz niżej opadających, gorących wodospadów.

— O raju! — jęknął — Co ty ze mną robisz?

Chwilę trwała bez ruchu, z twarzą w oparciu. Wreszcie odgarniając spódnicę, usiadła na zimnym plastiku. Tkwił już za kierownicą. Mocował się z zamkiem spodni. Miał ponurą minę.

— Ręce mi się trzęsą — powiedział. — W mózgu mi chlupie. Będę wyglądał!

— Ty mój byku! — powiedziała. — Jak ty to robisz? Czuję ciebie aż tu, wysoko.

— Klacz — powiedział. — Piłować, żeby rozpękła. Mogę mieć mecz z głowy.

— Możesz mnie nawet uderzyć — zaśmiała się. — Czuję to w całym ciele. Jak ja to lubię. Jak ja tego potrzebuję — i zaraz z troską w głosie: — Chcesz, to ja poprowadzę, a ty sobie pośpij.

— E tam... — żachnął się. — Piłaś. Jesteś wlana.

— Wciąż jeszcze czuję ciebie o, tu — powiedziała i położyła jego rękę wysoko na swoim brzuchu. — Pulsujesz tu, we mnie.

Szarpnęła dźwignią i oparcie fotela podniosło się.

— No to jazda! — powiedział już zwykłym głosem. — Czujesz się na orbicie, co?

— Czuję się dobrze obsłużona — zaśmiała się. — Jest mi dobrze. Mam wszystko, czego chcę. I jak chcę. Będę tego miała, ile zechcę. O, raju, te chłopaki przed toba to były gówniarze. Ruszaj, na co czekasz?

KONIEC

Powyższym odcinkiem kończymy druk fragmentów powieści Wacława Bilińskiego „Ikony". Książka w najbliższych dniach ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

‚MIASTO Z MORZA'

Ryszard Ciemiński — „Miasto z morza", KAW, Warszawa 1978, str. 176, cena zł 20.—

Wiadomości o morzu nigdy nie jest za dużo. Mamy teraz tego morza więcej niż mieliśmy po pierwszej wojnie światowej i nie zawsze potrafimy sobie zdawać z tego sprawę, czym dla naszej gospodarki jest dostęp do morza, czym są morskie porty dla handlu zagranicznego i dla przemysłu stoczniowego, z którym przecież kooperuje wiele innych gałęzi przemysłu krajowego. Nigdy więc nie jest za wiele tego, co się pisze i drukuje o morzu i gospodarce morskiej w prasie codziennej, tygodniowej i w książkach.

60 rocznica odzyskania niepodległości zwróciła uwagę na sprawy Gdyni, tym bardziej, że i od powstania portu i miasta, a właściwie od nadania praw miejskich Gdyni minęło w 1976 roku równe 50 lat, czyli pół wieku. Stary to już port, ciasnawy choć technicznie nie ustępuje innym. Trzeba go rozbudowywać, tak zresztą jak i wszystko inne w kraju. Ale jest i nadal fascynuje swoją przeszłością.

Właśnie o tej przeszłości, a i o teraźniejszości Gdyni i tej części wybrzeża polskiego, traktuje książeczka Ryszarda Ciemińskiego „Miasto z morza" która ukazała się staraniem i nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej. Popularny wykład dziejów miasta i problemów morza zainteresuje niewątpliwie każdego komu sprawy te są bliskie lub powinny być bliskie. Książka ukazała się w nowej serii KAW: „Człowiek na morzu". Serii dodajmy bardzo potrzebnej.

DOKUMENT

„Manifest Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej", opracował Jan Lewandowski, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1978, str. 41, cena zł 10,—

Wydawnictwo Lubelskie wydało interesującą książeczkę, niewielką ale bardzo cenną. Jest nią „MANIFEST TYMCZASOWEGO RZĄDU LUDOWEGO REPUBLIKI POLSKIEJ" który ukazał się w serii „Dokumenty naszej tradycji". Książeczka zawiera fascimile plakatu z tekstem „Manifestu", jego pełny tekst oraz komentarz Jana Lewandowskiego, w którym autor przedstawia dokładnie warunki, jakie poprzedziły powstanie Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie w listopadzie 1918 roku. Pisze on także o dalszych losach tego rządu.

O Tymczasowym Rządzie Ludowym z 1918 roku pisano i pisze się w różnych opracowaniach, wykazując na ile miał on postępowy charakter, na ile wyrastał z rewolucyjnych nastrojów mas i na ile nie leżał w interesach burżuazji, która wówczas sięgnęła po władzę. Ale nic tak nie pokazuje tego, jak bezpośredni kontakt z dokumentem. I to właśnie jest cała zasługa Wydawnictwa Lubelskiego, cały pożytek z tej książeczki.

‚TYMCZASOWE ŻYCIE

David Storey — „Tymczasowe życie", przełożyła M. Zborowska, Książka i Wiedza, W-wa 1978, str. 290, cena zł 36,—

Autorem powieści „Tymczasowe życie" jest dramaturg i prozaik angielski, David Storey, którego twórczość polscy czytelnicy mieli już okazję poznać. W polskim przekładzie ukazały się wcześniej dwie jego powieści: „Pasmore" i cieszące się sporą poczytnością „Sportowe życie".

Bohaterem powieści „Tymczasowe życie" jest były bokser, później malarz i nauczyciel rysunków, Colin Freestone, który za wszelką cenę pragnie zachować indywidualość, własną godność. Sensu życia szukają również inni bohaterowie „Tymczasowego życia" — młodziutka uczennica Colina i jego żona. Fabuła powieści rozgrywa się zarówno w drobnomieszczańskim środowisku prowincji angielskiej, jak i wśród miejscowej elity artystycznej i finansowej.

W „Tymczasowym życiu", podobnie jak i w innych swoich utworach angielski prozaik kreśli interesujące studium psychologiczno-obyczajowe, z którego sporo można się dowiedzieć o codziennym życiu współczesnej Anglii.

‚DOM SNÓW'

Jenő Heltai — „Dom snów", przełożyła K. Pisarska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, str. 288, cena zł 37,—

Jenő Heltai, żyjący w latach 1871—1957, to postać wiele znacząca nie tylko w węgierskiej literaturze. W latach dwudziestych zyskał sobie przydomek „ministra spraw zagranicznych węgierskiej literatury". W tym bowiem czasie ten poeta, prozaik, dramaturg, dziennikarz, satyryk twórca węgierskiego kabaretu, wydawca, szef czołowych teatrów Budapesztu, „eksporter" komedii węgierskiej na sceny europejskie i amerykańskie, poprzez swoją różnoraką i dynamiczną działalność zastępuje całą instytucję kulturalną.

Przedstawiamy tego węgierskiego pisarza z okazji polskiego przekładu jego powieści „Dom snów". Powieść ta powstała w roku 1929 w okresie, kiedy w Europie staje się modna powieść psychologiczna. Akcja „Domu snów" rozgrywa się w latach 1918—1919. Jej bohater, prosty, zamożny, żyjący do czasów wojny bez większych problemów młody mieszczuch, Péter Karmel, wraca z wojny nie tylko jako kaleka bez ręki. Okaleczona została również jego psychika. Karmel traci poczucie własnej wartości, przydatności, nie widzi w życiu żadnego celu. Powieść „Dom snów" można nazwać kroniką poszukiwania samego siebie, a drobiazgowa analiza psychiki bohatera, to główny jej temat.

zdarzenia i zwierzenia

KSIĄŻKI POD CHOINKĘ

Książka jest prezentem uniwersalnym i także pod choinką bywa mile widziana. Ostatnio jednak coś nam się zablokowała tzw. podaż nowości. Tak więc felieton ten dotyczyć będzie książek, jakich nie chciałbym mieć pod choinką. Są to książki z mojej własnej biblioteki, których — co gorsza — nie mogę się pozbyć, tzn. nie mogę wymienić na inne egzemplarze, bo tytuły już dawno zostały wyczerpane.

Zadowalam się więc z konieczności tymi kalekami, w myśl zasady, że lepszy rydz niż nic.

Na początek prezentuję **„Słownik frazeologiczny języka polskiego" Stanisława Skorupki**, wyprodukowany w roku 1968 przez Drukarnię im. Rewolucji Październikowej w Warszawie. Słownik służy mi dobrze, ale tylko do strony 640. Niestety, dalej mam od razu stronę... 893. Parę arkuszy i kilkaset haseł diabli wzięli i nie oddali.

Niedawno ukazało się drugie wydanie Słownika — powinienem więc mojego inwalidę wymienić, ale... O nowej edycji wiem co prawda, że jest dwa razy droższa, ale czy mogę mieć gwarancję, że jest dwa razy solidniej wydana? Nie mogę, więc zostałem przy moim starym, z lekka amputowanym słowniku.

Pozycja druga — **„1000 słów o broni i balistyce" Stanisława Toreckiego.** Otóż mam takie głupie hobby, że się tym interesuję. Książkę tę wyprodukowała Wojskowa Drukarnia w Łodzi. Co parę stron — puste kartki. Dobre by to było na przykład na notatki, ale — niestety — na tych pustych kartkach oszukano mnie co najmniej na kilkadziesiąt haseł.

Jedźmy dalej. **Andrzeja Paczkowskiego — „Czwarta władza"** — zarys historyczny na temat prasy dawniej i dziś. Bardzo cenna (i wyczerpana zupełnie) książka, którą wyprodukowała Drukarnia Techniczna w Bytomiu.

Posiadam egzemplarz zaskakujący. Nie brakuje w nim arkuszy, nie ma w nim niezadrukowanych stronic... Jest coś zupełnie innego. Otóż czytam sobie o zasięgu i charakterze prasy, dowiaduję się o stanie czytelnictwa na przełomie wieku XVII i XVIII, aż tu raptem wpadam w zdanie: **„obróbka konturowa, w której narzędzia tnące muszą być dokładnie sterowane..."** Sterowane? Czy to wciąż o prasie? Niestety. Okazuje się, że od strony 33 do 64 mogę się upajać fragmentem książki pt. **„Zastosowania i skutki automatyzacji"**. Mogę sobie zatem porównać niektóre obrabiarki sterowane numerycznie z ich konwencjonalnymi odpowiednikami... Wszystko to w zamian za szkice o prasie angielskiej, francuskiej i niemieckiej w wieku XVIII.

Na koniec jeszcze jedna książka, której nie chcę mieć pod choinką. Jest to Feniks z popiołów — książka z gatunku tych, które odradzają się niespodzianie w innym czasie i innym miejscu — udając rzecz całkowicie nową. Praktyka dość stara: zmienia się wydawcę, tytuł i pozycja pozoruje nowość. A czasem nawet tytułu się nie zmienia.

Ów Fenisk z popiołów to **Stanisława Lewickiego „Operacja Izabella-Felix"**. Wydawca — KAW, w nowej (bardzo zresztą interesującej) serii „Zdarzenia, sensacje, zagadki".

W metryczce czytam „Wydanie I, Warszawa 1978, cena 18 zł".

Wszystko nieprawda. Sięgam na półkę i wyjmuję książeczkę **Stanisława Lewickiego „Izabella-Felix"**, wydanie I, MON 1968, cena zł 5. Przerzucam kartki obu bliźniaczych książek, aby zorientować się czy tegoroczne wznowienie — sygnowane nie wiedzieć czemu jako wydanie pierwsze — rzeczywiście jest lepsze aż o 13 złotych?

Otóż nie jest lepsze. Jest zupełnie takie samo, jeśli nie liczyć dumnej adnotacji „Copyright by Stanisław Lewicki". Moje zaufanie do interesującej serii KAW zostało znacznie podważone. W popularnej serii „Żółtego tygrysa" wydano dziesiątki ciekawych opracowań. Jeśli KAW będzie je odgrzewał w nowej szacie, to nie wróżę „Zdarzeniom, sensacjom..." zbytniego powodzenia. W każdym razie nie chcę ich mieć pod choinką.

Oto więc książki, których nie chcę pod choinkę. Książki, które zamiast tekstu prezentują mi puste karty, książki amputowane o dziesiątki stronic, książki mówiące o czym innym niż głosi ich tytuł... Nie chcę takich książek — a przecież stoją na moim regale, urągając zdrowemu rozsądkowi.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

LECH BUDRECKI

Susza!
A kroił się na jeniusza.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

TROCHĘ STATYSTYKI

Ludzie biegli w sprawach statystyki dobrze się wyrażają o naszych statystycznych wydawnictwach, twierdząc, że dajemy możliwie szybko i możliwie pełny obraz życia kraju. Pamiętam kilkanaście lat temu, kiedy jeszcze brałem udział w konferencjach prasowych GUS na temat nowej edycji rocznika statystycznego, roczny przegląd danych za rok ubiegły dostępny był w księgarniach, gdzieś na przełomie września i października, co, jak twierdza znawcy, jest dużym osiągnięciach. Ściślej trzeba to jednak określić inaczej: było dużym osiągnięciem.

„Rocznik statystyczny 1978" — jak informuje metryczka — oddano do składania 3 lipca 1978 roku, podpisano do druku w sierpniu 1978 roku, a druk ukończono we wrześniu 1978 roku. Czyli nic nie stało na przeszkodzie, aby rocznik ten ukazał się w księgarniach również gdzieś pod koniec września w najgorszym razie w połowie października 1978 roku. Zupełnie więc nie rozumiem, dlaczego mogłem go nabyć dopiero w grudniu? A dzieje się tak nie tylko z rocznikiem. Wiele książek, o których informuje warszawska prasa, które pokazywane są w telewizji, dociera do łódzkich księgarń znacznie później. Dlaczego? O ile sobie przypominam „Rocznik statystyczny 1978" też był pokazywany w telewizji znacznie wcześniej. Rozumiem, że pretensje w tej sprawie powinienem kierować nie do GUS, ale do „Domu Książki", co niniejszym czynię.

Wróćmy jednak do tego, co nam oferuje „Rocznik statystyczny 1978". Musiało minąć sporo czasu zanim wiele danych mogło ukazywać się w podziale na 49 województw i aby dane te były porównywalne. To znaczy, aby można było porównywać je do takich samych danych z lat poprzednich oraz do podobnych w innych województwach. Teraz już mamy taką możliwość, bo i sprawozdawczość GUS została do takiego podziału dostosowana.

Weźmy może na początek ilość abonentów telefonicznych, bo jest to temat zawsze interesujący, jako że tysiące ludzi czeka na upragniony aparat telefoniczny we własnym mieszkaniu. Bezapelacyjny prym w tej dziedzinie, a chodzi o abonentów prywatnych a nie urzędowych, wiedzie województwo stołeczne warszawskie, gdzie jest 228,7 tys. abonentów. Na drugim miejscu jest województwo katowickie z 94,2 tys. abonentów, na trzecim gdańskie — 55,2 tys., na czwartym wrocławskie — 53,6 tys. i na piątym my, czyli łódzkie miejskie — 49,7 tys.

W kilka godzin po otwarciu trasy „W—Z" w Łodzi miałem okazję widzieć pierwszy gigantyczny korek tramwajowo-samochodowy, który od ulicy A. Mickiewicza, przez ulicę Żwirki i Piotrkowską ciągnął się aż niemal do rogu Brzeźnej. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że szybkość kursowania tramwai na al. T. Kościuszki jest w godzinach szczytu mniejsza od szybkości pieszego. Dopiero puszczenie tramwajów trasą „W—Z" trochę jakby sytuację rozładowało, ale to i tak jest mało, bo ilość przystanków na al. T. Kościuszki i ilość świateł wybitnie nie sprzyja szybkiemu kursowaniu tramwajów. Ale na to nie ma rady. Zresztą jest to inny temat.

Fakt ten, obserwowany przeze mnie (i nie tylko) zrodził moje zainteresowanie ilością samochodów, jakie posiadamy w województwie łódzkim i jakie posiadają inni. I tu znów — co jest oczywiste — przoduje województwo stołeczne z 200 788 samochodami osobowymi, bo te mnie tylko interesowały. Na drugim miejscu jest województwo katowickie z 189 297 samochodami, na trzecim — poznańskie z 91 741 samochodami, na czwartym — wrocławskie z 66 469 samochodami i na piątym — my, czyli łódzkie miejskie z 59 503 samochodami. Są to wszystko dane za rok 1977.

Możemy się wprawdzie cieszyć, że jesteśmy dopiero na piątym miejscu, choć jest to żaden powód do radości, zważywszy, że już z tym mamy kłopoty, bo jeszcze dochodzą samochody ciężarowe, brakuje parkingów, garaży, ulice stają się ciasne, coraz więcej spalin. A co będzie dalej, jeśli zważymy, że produkcja samochodów osobowych tylko w 1970 r. wynosiła 64,2 tys., w 1975 — już 133 tys., a więc nastąpiło prawie podwojenie, a w 1977 roku — 279 tys., czyli kolejne podwojenie i produkcja ta nadal będzie rosnąć, bo i rośnie zapotrzebowanie społeczne na samochody. Do tego dodajmy 43 576 samochodów sprowadzonych z zagranicy i odejmijmy 63297 samochody wyeksportowane, a będziemy mieli roczny przyrost, który wiele się w tym roku nie zmieni. Jest więc o czym myśleć i czym się kłopotać.

Warto tu może dodać, że w 1960 roku nasza produkcja samochodów osobowych stanowiła 0,1 proc. produkcji światowej, a w 1977 roku — 0,9 proc., podczas gdy NRD i CSRS — dawały w tym samym roku 0,5 proc. produkcji światowej.

Wiele jeszcze ciekawych rzeczy można dowiedzieć się z „Rocznika Statystycznego 1978" ale o tym przy innej okazji.

MARCIN RODAK

„RAMONĄ" O BRUK!

lewym okiem

Obfitość dóbr materialnych — już nawet nie tylko obfitość, ale wręcz lawinowy zalew przedmiotów pierwszej, drugiej i dziesiątej potrzeby, a także całkiem niepotrzebnych — sprawia, że prawie żadnej rzeczy nie użytkujemy już aż do końca, do kresu jej wytrzymałości. I oto zjawia się kłopot, o jakim nie mogło się nawet przyśnić naszym prababkom: co zrobić z rzeczami, których chcemy się pozbyć? Jak się ich pozbyć, w jaki sposób?

Tysiące rodzin przesiedla się do nowych bloków. Do nowych mieszkań ani rusz nie pasują stare meble. Ale nawet nie przesiedlając się nigdzie zmieniamy ciągle urządzenie mieszkania dla samej przyjemności zmiany, dla nadążania za modą, czy choćby dla trochę snobistycznego prestiżu. Wybór mebli na naszym rynku nigdy nie był za duży, kupowało się zawsze to, co akurat można było dostać. Nagle pojawia się tapczan, który nam się podoba. Nie ma co, kupujemy i zaczynamy się martwić, jak upchnąć wersalkę, która nie chce się otworzyć, ale i te całkiem nowe też nie chcą.

Od bardzo niedawna liczne księgarnie w Łodzi skupują do dalszej rozsprzedaży używane książki. Jest to znakomity pomysł wobec śmiesznie małych nakładów i momentalnego znikania z półek większości nowo wydanych tytułów. Natomiast jest w wielkim mieście Łodzi tylko jeden jedyny punkt komisowej sprzedaży używanych mebli, punkt — co tu gadać, obskurny, zapchany do niemożliwości, liczący chyba tylko na bardzo niewybredną klientelę. A przecież podaż mebli jest stosunkowo dużo mniejsza niż podaż książek. Ludzie miesiącami wydeptują ścieżki do magazynów, organizują skomplikowane systemy kolejkowe, płacą — i to jak! — sprzedawcom, co nie jest dla nikogo tajemnicą i co jest w podobnej sytuacji zjawiskiem niezmiernie trudnym do uniknięcia. Jednocześnie ci sami ludzie miesiącami proszą o zabranie z ich domów mebli używanych, z których wielka część bez trudu znalazłaby amatora.

A co z tą częścią, która już nie może liczyć na amatora? Spalić? Gdzie spalić — w kaloryferze? Na kuchence elektrycznej? Wynieść i zostawić przy śmietniku? Nie wolno, dozorca nie pozwoli. Najlepiej nocą, dopłaciwszy parę setek, wywieźć na jakiś pusty plac — tak podobno robi się od lat w Ameryce i w Anglii. Niech przy tym ktoś powie, że nie doganiamy Zachodu!

Zmieniłbym sobie radioodbiornik na mały i modny. Moja dotychczasowa „Ramona" prezentuje się świetnie, działa bez zarzutu, co z nią zrobić? Sumienie nie pozwala grzmotnąć z balkonu o bruk. W sklepie przy zakupie nowego odbiornika może by mi uznali sto złotych za zwrot starego. Sto złotych kosztować będzie taksówka, którą „ramonę" zawiozę do sklepu, przy czym wcale nie mam pewności, czy w ogóle zechcą ze mną gadać zgodnie z owym przepisem o zwrotach. — Niech panu da sto złotych ten, co ogłaszał zarządzenie, — powiedzą — i co? Raczej więc nie kupię nowego odbiornika.

Zwlekam z kupnem dywanu, bo nie wiem, co zrobić ze starym; jest w dobrym stanie i niebrzydki, tylko mi się sprzykrzył. Wykładzina za parę tysięcy złotych zawiodła niektóre moje oczekiwania. Za taką wykładziną uganiają po sklepach setki ludzi. Moja jest prawie nowa, chętnie bym się jej pozbył, ale co zrobić z nią i z dywanem — wynieść na śmietnik? Szukać nabywcy przez ogłoszenie, z całym rejwachem jaki wtedy powstaje w spokojnym na ogół domu?

Sprawa dóbr długiego użytkowania prosi się o jakieś śmiałe rozwiązania. Myślę, że bardzo pożyteczną rolę spełniłby tu sektor prywatny, ale nie jarmarczny, tylko solidny, osiadły, ze stałym adresem i z ogłoszeniami w prasie. Kto go zachęci, kto wywoła inicjatywę, która miałaby przecież — społecznie licząc — same dobre strony? —

ĆWIEK

sport

ICH PRYWATNA SPRAWA

Ciężkie czasy przyszły na trenerów. Do tego wniosku skłania mnie nie tylko los, jaki ostatnio spotkał byłego trenera Stali Mielec — dr Konstantego Pawlikańca, o czym pisałam tydzień temu, ale ogłoszenie, jakie znalazłam kilka dni temu w „Przegladzie Sportowym". Oto ono:

„Trener koszykówki (z praktyką), magister wf, poszukuje pracy. Oferty — „Prasa", Poznań..."

Można podejrzewać, że kilku trenerów z Jackiem Gmochem na czele poszukuje pracy. Ale to w końcu ich prywatna sprawa...

Do takiego wniosku łatwo można dojść, kiedy człowiek pomyśli sobie o „prywatnej sprawie" Podhala z Nowego Targu. Dziesięciokrotny mistrz Polski, nowotarskie Podhale, znana w kraju drużyna hokejowa, awansowało do półfinału Pucharu Europy w hokeju. Do dziś wszyscy wspominają z rozrzewnieniem pucharowe sukcesy piłkarskich zespołów Legii czy Górnika. Dawne to czasy, ale jak przyjemnie powspominać, tym bardziej, że teraz jakoś się naszym piłkarzom nie wiedzie. A hokeistom?

Do tej pory żaden z polskich zespołów nie awansował w pucharowych rozgrywkach aż tak wysoko. Można byłoby się więc spodziewać, że teraz zapanuje radość, kiedy podhalanie awansowali i wylosowali jako przeciwnika fiński zespół hokejowy Asaad Pori. Dobry to omen dla naszych hokejowych ambicji, które nie są przecież wcale takie małe. Reprezentacja Polski pojechała do Kanady, aby szlifować formę, uczyć się u najlepszych hokeistów. W Kanadzie bawia też radzieccy hokeiści. Nasi wprawdzie w pierwszym meczu zremisowali z uniwersytecka drużyna z Brandon, a radziecka drużyna przegrała mecz z hokeistami Edmonton Oil i wygrała z Regina Pata. Wszystko to jeszcze nic nie znaczy, gdyż wojaże po Kanadzie zarówno hokeiści z Moskwy, jak i hokeiści z Polski traktują szkoleniowo.

Natomiast dla podhalan wyjazd do Finlandii ma zupełnie inne znaczenie. Mogłoby się wydawać, że jest to sprawa prestiżowa, że wszyscy powinni się z tego cieszyć i zrobić wszystko, aby Podhale Nowy Targ wygrało z Finami i aby weszło do finału. Radość kibiców i działaczy nie powinna mieć granic. A tymczasem...

A tymczasem okazuje się, że hokeiści z Nowego Targu do Finlandii... nie pojadą. A nie pojadą dlatego, że nie posiadają... pieniędzy. Nie mają pieniędzy ani na bilety lotnicze, ani na utrzymanie gości na rewanżowym spotkaniu w Nowym Targu. Po prostu nie ma pieniędzy. Koniec, klops.

Podhale otrzymuje z Wojewódzkiej Federacji Sportu w Nowym Sączu milion złotych na działlność, a udział w Pucharze Europy kosztował już klub 1,5 miliona złotych. Gdyby Podhale nie wystąpiło w meczu z Asaad Pori, wtedy musi zapłacić karę w wysokości 5 tys. franków szwajcarskich. Klub — nie posiadając zresztą tych 5 tys. franków szwajcarskich — zwrócił się o pomoc do Polskiego Zwiazku Hokeja na Lodzie z prośbą o pomoc, wychodzac ze słusznego założenia, że łatwiej u nas o złotówki niż o franki szwajcarskie. Ale PZHL uznał, że kłopoty nowatorskiego Podhala są ich prywatna sprawa.

Trzeba przyznać, że jest to swoiste rozumowanie. Godne zresztą upowszechnienia. Tym bardziej, że sekreatrz generalny PZHL — Józef Okapiec zapytany przez Janusza Żwana ze „Sztandaru Młodych" o to, kto zapłaci owe 5 tys. franków szwajcarskich w razie oddania meczu walkowerem przez Podhale, był uprzejmy powiedzieć:

— „Skąd pan wie, że 5 tysięcy. A jeżeli nawet tyle, to będzie musiała zapłacić Polska".

Uznał widać, że jest to prywatna sprawa Polski. Janusz Żwan nie mógł tego pojąć i wcale się mu nie dziwię. Pytał więc dalej:

— „Czyli kto konkretnie?"

A na to sekretarz generalny PZHL — Józef Okapiec:

— „No my wszyscy, społeczeństwo..."

Otóż pragnę lojalnie poinformować sekretarza generalnego PZHL — Józefa Okapca, że ja, jako członek tegoż społeczeństwa, któremu każe on płacić za swoją bezradność, nie posiadam żadnych franków szwajcarskich i nie mam zamiaru uczestniczyć w tym watpliwym interesie, w który mnie i innych chce sekretarz generalny PZHL wrobić. Nic z tych rzeczy. I sądzę, że inni zgodzą się ze mna.

I mam zamiar do tego dodać jeszcze, że metodę stosowaną przez PZHL nie uważam za godną powielania i powtarzania. Zbyt wiele prywatnych rzeczy dzieje się w różnych klubach, aby można było się na coś takiego godzić. Być może jest to naiwne z mojej strony, ale podejrzewam, że PZHL po to powołano, aby pomagał klubom i pomagał w popularyzacji polskiego hokeja. I dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego, kiedy nadarza się ku temu okazja, PZHL zaczyna mówić o ich prywatnej sprawie? A może w ogóle uprawianie sportu to tylko prywatna sprawa i hobby? Tylko, dlaczego robi się to za społeczne pieniądze?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2764. I-10.

10840-A

WBP im. J. P. w Łodzi